

Marek Świerczek

DarkDark



Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ANEKS

Przypisy

MAREK ŚWIERCZEK

DYBUK

WYDAWNICTWO: AMMIT 2012

*Tak jak człowiek
porzuciwszy stare szaty
sięga po inne, nowe,
tak i ten, kto zamieszkuje ciało,
porzuciwszy stare
wstępuje w inne, nowe ciała.¹*

*I obym nie był bliżej
W sennym królestwie śmierci
Niechaj jak inni noszę
Takie umyślne przebranie
Patyki stracha na polu
Szczurzą sierść, pióra wronie
Niech jak wiatr wieje się skłonię
Nie bliżej²*

ROZDZIAŁ I

Ściana wzdłuż schodów wiodących do piwnicy była wybrzuszona od wilgoci. Ze spękań wysypywał się tynk. U podnóża ściany pełzła pleśń i wykwity saletry. U szczytu schodów stało dwóch milicjantów z karabinami na sznurkach. Jeden był gruby z czerwoną gębą rzeźnika, drugi miał ascetyczną twarz gruźlika.

- Trza jakąś lampę - mruknął chudzielec. - Gównu tu widać.

- Obywatelu Woźniak - dziwnie wysokim głosem powiedział grubas - przynieście jakąś lampę. Milicja Obywatelska nie może bez niej wykonać czynności służbowych.

Stojący za nimi mężczyzna w brudnym, roboczym fartuchu przepchnął się przez tłumek kobiet i po chwili wrócił z karbidówką. Zapalił ją i wręczył milicjantom.

- Gdzie widzieliście torbę dziewczyny?

- O tam - wskazał szponiastą dłońią w kierunku ceglanego załamania ściany. - Jażem ją tam zostawił, jak tylko przeczytałem na brulionach nazwisko...

- A jakie to było nazwisko? - przenikliwie spytał tłuścioch.

- Przecam już mówić: Bronisława Mendon na nich stało...

Milicjanci powoli zeszli do piwnicy. Uklękli przy sznurkowej torbie Grubas z trudem odcyfrował podpis na okładkach: Mendon...

- Zgadza się! - zapiszczał z triumfem.

Jego wyniszczony kolega uniósł lampę nad głowę.

- Patrz! - wskazał na czarne plamki na betonowej, spękanej podłodze. - Krew!

Obaj zdjęli z ramion karabiny. Ze ściągniętymi twarzami zaczęli iść ciemnym korytarzem, przy czym chudy nie bardzo umiał trzymać za jednym zamachem lampę i karabin, więc w końcu powiesił ją na zardzewiałej lufie. Za nimi posuwał się tłum gapiów.

Nagle chudeusz stanął jak wryty. Lampa zakołysała się. Po sklepionej powale przeleciały puchate cienie. Ktoś krzyknął.

Dziewczynka leżała na plecach, na wpół zagrzebana w mokrych od krwi trocinach. Skóra na głowie była ściągnięta i zrolowana nad brwiami, ukazując bladoróżową, obsceniczną czaszkę. Wzdłuż nóg dziecko także było oskórowane. W pachwinach zwijały się wyciągnięte, już zbiełałe tętnice. Rozwarte krocze przecinające wygięte w górę biodra z wystającymi kośćmi miednicy, było wypełnione skrzepem juchy.

- Jezu! - grubas zaczął się krztusić i wbiegł do otwartej komórki na węgiel. Jego kolega postawił ostrożnie karbidówkę na podłodze.

- Nie tłóczcie się, ludzie! - wrzasnął na napierający na niego tłum. - Ślady zabezpieczyć trza!

- Jakie ślady? - zawołał ktoś z tłumu. - Przeca wszystko jasne! Tu same Żydy w tej kamienicy mieszkają. One to dziecko zarzezali i krew na macę wzięli.

- Prawda! - potwierdziło kilka kobiet. - Żydy tu mieszkają! Ze złotem z obozów wrócili i znów się za dziecka chrześcijańskie biorą!

- Jakie Żydy? - dopytywał się zniecierpliwiony chudzielec, wyjmując notatnik i ołówek chemiczny, który zawzięcie ślinił.

- Borysowo, wy im pierzecie. Jak się te morderce Chrystusa nazywają?

- Kto by tam żydowskie szwargotanie spamiętał! - zapiała kobieta o oczach ginących w napiętym tłuszczu. - Ale oni to uczynili! Jeden z nich, to rabin jest! On to niechybnie uczynił!

- On, on! - wrzasnął tłum.

- Ale przeca rabina Thorna od dwóch tygodni u nas nie ma - zauważył Woźniak, drapiąc skołtunioną głowę. - Coś się znaczy nie zgadza?

- Co wy wiecie o rozumieniu przestępstw? - z wyższością powiedział chudy milicjant. - Jakoś mi się widzi, że chyba nie chcecie utrudniać władzy ludowej pracy dochodzeniowo-śledczej, co?

- Nie - mruknął Woźniak - nie chcem.

Stał chwilę zagryzając wargę, a potem splunął i przepchnął się przez tłum podnieconych gapiów.

Zgrzytnął zamek i stalowe drzwi uderzyły o ścianę, odbijając kawał tynku. Pod sufitem błysnęła żarówka w stalowym koszu. Z osłoniętego blachą parapetu śmignął przerażony szczur.

Trzej żołnierze w mundurach z naszywkami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego stali niezdecydowanie na korytarzu. Za nimi tłoczyło się kilku innych, którzy jednak wyraźnie trzymali się z tyłu. W końcu Jeden ze stojących z przodu wszedł do celi, ostrożnie wysuwając przed siebie drąg zakończony metalową pętlą. Za nim wpełzli jego koledzy, trzymając w dłoniach rozpostartą sieć i ciężkie, okute pałki.

Na rzuconym na wilgotną posadzkę sienniku siedział mężczyzna w zniszczonym, wojskowym płaszczu. Nad wysokim czołem z zakolami, wiły się miękkie włosy z pasmami siwizny. Długa twarz była pokryta siwiejącym zarostem. Głęboko osadzone oczy były jasne i nieruchome, niemal martwe. Z lewej strony wąskiego nosa widniała głęboka blizna kończąca się dopiero w pobliżu drobnego ucha. Drugie zbliznowacenie biegło od kwadratowej szczęki aż po zaciśnięte, pokryte drobnymi ranami usta. Na całej twarzy widać było ślady po wielokrotnym biciu.



- Ty, no! - zawarczał jeden z żołnierzy wysokim głosem. - Nie wariuj!! My tu przyszli po ciebie, bo nam kazali... Ale ino bedorn cię przesłuchiwać. Słyszysz?

Oczy więźnia w jednej chwili ożywiły się. W tęczęwkach coś zamigotało.

Żołnierze cofnęli się.

- Charakternik, kurwa jego mać! - stęknął jeden.

- Ubić skurwysyna, to spokój będzie...

- Przykazali, co by go zdrowego przyprowadzić. Ma być cały i zdrowy, kapitan Witorenko powiedział, nie chcesz chyba mieć ze starym do czynienia, co Wasyl? Mężczyzna zwany Wasylem splunął na podłogę.

- Powiedziałbym, co myślę, ale byś od razu doniósł, takiś ty i kolega, Osadczyk. Kariery ci się chce...

- Nie pierdol! - warknął Osadczyk. - Myśl ino, jak tego zwierza z nory wyciągnąć... Tak, co by nam bebeczów nie wyprał.

- Bieremy go sieciom z boku, a ty go przytrzym tym drągiem. Osadczyk przygarbił się i zaczął podchodzić do więźnia próbując przygwoździć go do ściany stalową pętlą. Po jego prawej stronie Wasyl z pomocnikiem zaczęli zachodzić z boku, także lekko wyciągając przed siebie pałki i rozpiętą sieć.

W gardle uwięzionego nagle wezbrał cichy, zwierzęcy pomruk. Zrzucił z ramion płaszcz i skulony zaczął się obracać wokół siebie, nie spuszczać z oczu strażników. Monotonny warkot zmieniał przeszedł w charkot i mężczyzna skoczył na Osadczyka. Zawirował przed stalową końcówką pręta, przepuścił ją bokiem i płynnie, ze zwierzęcą gracją dopadł żołnierza. Uderzył go pięścią w twarz, wyrwał mu z rąk kij z pętlą, złamał go na kolanie i ostrym szpicem wbił w oko Osadczyka, który zakniał jak dławiony zając.

Wasyl skoczył na niego, przygniatając go swoim ciężarem. Tuż za nim zaroilo się od krzyczących żołdatów z korytarza. W ogólnym wrzasku, wciąż słyhać było dziki warkot walczącego więźnia.

Nad ceglanym murem krążyły kawki. Wzbijały się ku nakrytej zaśnieżoną blachą wieży i próbowały usiąść na drucie kolczastym rozciągniętym między spadem dachu a szczytem muru.

Wojskowy gazik wjechał na podwórzec, hurkocząc na kocich łbach, między którymi wyrastał mech.

Z samochodu wysiadł wysoki, chudy mężczyzna w rozpiętym szynelu. Miał wydatny nos, ciemne oczy i krótkie włosy, niepostrzeżenie przechodzące w łysinę.

Niedbale przywitał się ze spoconym komendantem, który przepisowo trzymał zbielałe dłonie na szwach spodni i coś nerwowo bełkotał. Potem przeszedł wraz z adiutantem do komendantury, gdzie podpisał kilka przygotowanych dokumentów, chwilę rozmawiał z wciąż spoconym z wrażenia komendantem i wreszcie zszedł na parter do chronionej stalowymi drzwiami rozmównicy.

W pokoju znajdowało się biurko, dwa krzesła, wypełniona niedopałkami spluwaczka i drewniany wieszak, na którym przybysz zawiesił szynel.

- Wprowadźcie go - mruknął do komendanta, który towarzyszył mu wciąż z wyrazem służalczej gorliwości na zaczerwienionej części twarzowej urokliwie krągłego ciała.

- Tak jest, panie pułkowniku! - grubas odwrócił się do towarzyszących mu oficerów i wycharczał, odzyskując autorytet i stanowczość płynące z poczucia przewagi:

- Sprowadzić więźnia!

Pułkownik ściągnął bluzę mundurową i powiesił ją na oparciu krzesła. Usiadł i spojrzał wyczekująco na komendanta.

- Zaraz sprowadzą tego łajdaka - zapewnił go zdenerwowany pyknik.

- Cieszę się bardzo, ale... - zawiesił głos.

- Ale? - grube wargi ułożyły się w pełen urzędniczego uwielbienia uśmiech.

- Ale nie jesteście mi już potrzebni - wyjaśnił nowoprzybyły.

- Tak jest... Znaczy, nie jestem? Więc... sobie pójdę. Tak? - świńskie oczka mrugały w panice.

- Tak - potwierdził. - Stanowczo idźcie sobie.

- Dokąd? - z urzędniczą gorliwością spytał grubas.

- Jak się nazywacie?

- Major Kraszewski - z uśmiechem szczęścia zaświergotał komendant.

- Zatem, majorze Kraszewski - uroczyście mruknął wielkonosy, zapalając papierosa - idźcie w pizdu. Byleście mi się tu nie kręcili. I wasza głowa w tym, by nikt nas tu nie podsłuchiwał.

- Wasi pracownicy z centrali sprawdzili pomieszczenie,

towarzyszu Singer.

- Wiem, ale - tak na wszelki wypadek, gdyby okazali się partaczami - informuję was, że jeśli cokolwiek wyjdzie poza to pomieszczenie, zamienicie się miejscami ze swoimi podopiecznymi. Czy to jasne?

- Ależ towarzyszu!

- Jasne?

- Tak jest!

- Miło mi.

Kraszewski strzelił obcasami i wyszedł z rozmównicy.

- Ciebie na razie też nie potrzebuję - mruknął do adiutanta Singer.

- On jest niebezpieczny - zaczął protestować oficer, ale szybko umilkł i poszedł śladami Kraszewskiego.

Singer zapalił papierosa. Siedział przez chwilę w milczeniu, obserwując zwijające się malowniczo pasma dymu. Drgnął, gdy ktoś załomotał w drzwi.

- Wejść!

Do rozmównicy wmaszerowali trzej wartownicy, wlokąc ze sobą skutego więźnia. Za nimi z wyrazem nieodwzajemnionej miłości na twarzy szybował krągłolicy Kraszewski.

- Rozkujcie go - mruknął Singer.

- Ależ, towarzyszu pułkowniku - zaczął Kraszewski - to więzień niebezpieczny... Nawet bardzo...

- Zostawcie mu zatem kajdanki... a pas przypnijcie do oparcia krzesła, ale rozkujcie stopy. I zęgam.

- Ależ...

- Won!

Wartownicy, wraz ze swoim szefem wyfrunęli, cichutko zamykając za sobą drzwi.

Więzień patrzył przez chwilę wrogo na Singera, a potem wbił spojrzenie w podłogę. Krew z rozbitego łuku brwiowego zastygła w oczodole, tworząc upiorny strup. Był chudy i żyłasty. Jak bezpański, pokryty bliznami pies. Z ucha i z nosa sączyła się krew. Koszulę na piersiach miał przesyconą juchą i rozerwaną. Pod prawym okiem rozlewała się wybroczyna po uderzeniu, a

gałka oczna była nabiegła krwią. Kłykcie rąk miał rozbite, a paznokcie połamane, z białymi kreskami pęknięć.

- Zapali pan? - Singer wyciągnął w jego kierunku paczkę sowieckich papierosów. - Może pan to potraktować jak moralne zwycięstwo nad żydokomuną.

- Potraktuję to jak spełnienie ostatniego życzenia - nie patrząc na Singera, osadzony wyciągnął papierosa z paczki.

Singer też zapalił, podsuwając przy tym zapalniczkę więźniowi, który zaciągnął się głęboko, trzymając papierosa ukrytego w skutych dłoniach. Pokryte bliznami policzki zapadały się, gdy wciągał dym, a chuda krtań nerwowo się przy tym poruszała.

- Pewnie pana ciekawi, po co pana wezwałem?

- Ani trochę - warknął jeniec. - Czekam na wykonanie wyroku po tej parodii sądu, którą dane mi było przeżyć.

- Sądzi pan, że niesprawiedliwie został pan osądzony? Bładoniebieskie oczy straciły swój martwy wyraz. W tęczęwkach zadrgało coś na kształt szyderstwa.

- Nie - powiedział spokojnie. - To nie jest kwestia sprawiedliwości, tylko zemsty. Zemsty kundli.

Singer otworzył tekturową teczkę, która leżała na stole. Założył okulary w rogowej oprawie. Zaczął ją wertować. Po chwili zatrzymał się i zaczął powoli czytać:

Rem Sosnkowski urodzony 14 lutego 1901 roku w majątku Korowiówka pod miastem Lwów...

- Lwów - obojętnie przerwał mu Sosnkowski. Singer spojrzał na niego znad okularów i czytał dalej:

...syn Henryka i Marcjanny Wilczek... Pochodzi z zubożałej rodziny ziemiańskiej. W 1920 brał udział w walkach z Armią Konną Budionnego. Podczas bitwy warszawskiej dostał się do niewoli radzieckiej, z której uciekł zabijając strażnika... - Singer przerwał czytanie i spytał:

- Jak pan go zamordował, panie kapitanie?

Sosnkowski uśmiechnął się szeroko. Oczywiście jednak pozostały nieruchome.

- Próbowałem go zadławić - powiedział z szyderczym

wyzwaniem w głosie - ale nie tak łatwo zadusić grubego muzyka z gęstą i sztywną od brudu brodą.

- Ta kwestia techniczna powstrzymała pana? - z zainteresowaniem zapytał Singer.

- Nie na długo - Sosnkowski wypluł drobinę tytoniu z gilzy. - Wydłubałem mu oczy, a potem okręciłem mu pas od karabinu wokół szyi. To wystarczyło i na niego, i na brodę.

- Dostał pan za to order?

- Tak i przydział do zwiadu armijnego.

- Od tej pory miał pan dusić kozaków na rozkaz, a nie z potrzeby chwili?

Sosnkowski wbił nieruchome spojrzenie w Singera.

- Można to tak ująć - wycedził.

- Dużo ich pan zadławił?

Więzień wzruszył ramionami.

- Ach, przepraszam - Singer teatralnie wzniosł brwi - potem już nie trzeba było ich dusić jak kocięta, potem nauczył się pan używać noża. To dlatego koledzy nazywali pana Szpila, prawda? W skrócie mogli pana nazwać Szpilman, co?

- To tylko pańscy koledzy mogli wpaść na taki subtelny żarcik - syknął Sosnkowski. - W moich kręgach nie było wychowanych na Torze dowcipnisiów.

- A szkoda - Singer ze spokojem przyjrzał się rozmówcy - bo może wtedy nie siedziałyby pan tutaj. Zresztą, mam wrażenie, że znajomi - nożownicy jakoś mniej jeszcze pasują do... no, jak się to pojęcie nazywa? ...etosu oficerskiego? Jak widły do dupy, nie? A może się mylę?

- Miałem w oddziale chłopaka z warszawskiej Pragi, którego wojna wybawiła od stryczka. Umiał robić nożem i otwierał każdy zamek. A ja nie odrzucam żadnej wiedzy.

- Oprócz tej zawartej w Torze - zauważył spokojnie Singer. - No, ale nią nie da się wyprać flaków... Nawiasem mówiąc, skąd u pana taka niechęć do Tory i narodu wybranego? - nie czekając na odpowiedź pochylił się powtórnie nad aktami i zaczął czytać:

...oskarżony o to, że działając w reakcyjnej bandzie podziemnej był odpowiedzialny za śmierć, między innymi: Icchaka Sussa,

Moszka Sternbauma, Kalmana Cohena... - podniósł wzrok: - Sporo ich tutaj, panie kapitanie, nie sądzi pan?

- Gdybyście nie przynieśli do tego kraju sowieckiej zgnilizny - przerwał Sosnkowski - nie ginęlibyście.

- Myśli pan, że ci wszyscy zatłuczeni przez pana żołnierzy, przyjechali tutaj z radzieckich obozów treningowych dla szpiegów? Sądzi pan, że wszyscy Żydzi, obok Tory, do poduszki czytają Marksa? A jeśli nawet, to czy naprawdę uważa pan, że należy kwestie światopoglądowe załatwiać nożem? Ach, przepraszam, nie nożem! Jak czytam, pańscy ludzie używali wyciorów karabinów. To dobra śmierć dla parchów, prawda?

Sosnkowski milczał. Dłonie zacisnął w pięści, a skóra wokół ust zbielała.

- Po co ta żydowska gadanina? - wycharczał. - Już mnie skazaliście. Chcesz się naigrywać, udowadniając trupowi swoje racje? To niezbyt sportowo.

Singer zdjął okulary. Powtórnie zapalił papierosa.

- Nie - powiedział w końcu. - Tak, jak niesportowym było bicie ludzi na śmierć wyciorami tylko za to, że mieli inne poglądy i narodowość. Jednakże, ja faktycznie nie mam czasu na takie dyskusje. O sensie przekonań decyduje historia, a nie więzienna dialektyka.

- To czego chcesz? Pokuty za zatłuczonych współbraci? Sprzedaliście Polskę sowietom, choć przez stulecia mieszkaliście z nami. Karmiliśmy was, pozwalaliśmy ogłupiać i rozpijać naród, oszukiwać w sklepikach, zarabiać na lichwie... A w zamian dostaliśmy zdradę i katownie ubeckie, w których tacy jak ty mordują naszych najlepszych ludzi...

- Te stulecia współżycia, jakoś często polegały na wyrywaniu Żydom bród i pogromach, ale mam wrażenie, że jak na specjalistę od noża i batożenia wyciorami, przyjmuje pan zadziwiająco podniosły ton - zauważył Singer.

Sosnkowski wzruszył ramionami i wydał wargi.

- Ma pan rację - mruknął po chwili - zaczynam przemawiać, zamiast mówić, bo tak łatwiej mi będzie pójść na szafot.

- A może nie trzeba będzie? - Singer szybkim ruchem zdusił

papierosa. - Mam dla pana pewną... propozycję.

Więzień skrzywił się z niesmakiem.

- Nie będę szpiclem. Na tyle przyzwoitości jeszcze zachowałem.
Pomimo noża i wyciorów.

- Nie chcę zrobić z pana szpicla - Singer zaczął stukać paznokciem w blat stołu. - Chcę zaproponować uczciwą umowę. Sosnkowski milczał. Nieruchome oczy wpatrywały się w Singera bez mrugnięcia powieką.



- Chcemy, żeby pan... zabił dla nas kogoś - z wysiłkiem powiedział Singer.

Powieki Sosnkowskiego zwężyły się.

- Kogoś z podziemia?

- Nie - Singer otarł twarz z potu. - Komunistę. Żyda. Mojego przyjaciela.

Wychudzeni ludzie w wytartych ubraniach wyszli z bramy kamienicy. Naprzeciwko, na brukowanej ulicy kłębił się tłum. Ludzkie mrowie szumiało jak podniecony wyrojem ul. Kobiety mówiły coś podniesionymi głosami. Mężczyźni zaciskali zyłaste pięści i patrzyli spode łba.

- Żydy wyszły! - krzyknął ktoś wysokim głosem. - Morderce dzieciak chcom uciec!

Krzyk kobiet zagłuszył go. Zamknął w bąblu cichego porozumienia.

Z grupki ciemno ubranych Żydów oderwał się wysoki, stary mężczyzna w czarnym kapeluszu. Miał na sobie wytartą marynarkę. W ręku ścisnął książkę w skórzanej oprawie i tekturową torbę. Podniósł rękę i zaczął coś mówić.

Ludzie zaczęli podawać sobie wzajemnie kamienie z hałdy zdjętego bruku. Z brukowcami w rękach przepychali się na czoło gromady. Pierwszy kamień uderzył starca w pierś. Drugi zrzucił mu z głowy kapelusz, odsłaniając łysinę okoloną siwymi włosami. Pozostali Żydzi zaczęli się kulić pod ścianą, uciekając przed gradem kamieni.

- Nie dajcie im uciec! - zawyła gruba kobieta w wyplamionym, kolorowym fartuchu. - Smakowała im krew chrześcijańska, niech za nią zapłacą!

Tłum ruszył ławą na skulonych pod ścianą domu Żydów. Twarze zaostrzyły się, straciły ludzki wyraz. U wylotu ulicy zawizżały opony i z warkotem przed tłumem zatrzymały się dwie wojskowe ciężarówki. Z pak wysypali się sowieccy żołnierze w piaskowych mundurach i niepoważnych furazerkach. W większości mieli mongolskie rysy i krótko obcięte, sztywne włosy. Patrzyli na tłum obojętnie, mrużąc oczy w szybującym nad dachami kamienic słońcu. Nie byli wrodzy, ale pepesze trzymali skierowane w tłum, który zatrzymał się niezdecydowanie.

Jako ostatni z samochodu wysiadł chudy, ciemnooki oficer w wielkiej, zgniłozielonej czapce. Przeszedł wzdłuż kordonu swoich żołnierzy. W zupełnej ciszy słyhać było jak jego wysokie, zapastowane buty kruszą drobinki piasku na bruku. Stanął przed

skulonymi pod kamienicą ludźmi. W milczeniu wskazał im ciężarówkę. Bez wahania Żydzi zaczęli wpełzać na paki, ściskając swoje wytarte na krawędziach tekturowe torby. Tłum milczał, wpatrując się w lśniące twarze żołdatów.

- Zróbcie coś! - zakrzyczała jakaś kobieta. - Morderce dzieci ucieknom!

- Uciszcie te głupią! - warknął chudy mężczyzna w nasuniętej na oczy czapce z daszkiem. - Z Ruskimi szpasów nie ma!

Gdy Żydzi ulokowali się na pakach, na znak oficera żołnierze sprawnie i szybko wskoczyli na ciężarówkę, które ruszyły gwałtownie, plując spod kół drobinkami piasku w twarze stojących w milczeniu ludzi.

- No i uciekli - powiedziała z rozczarowaniem chuda kobieta. - Ruskie im pomagają, mordercom.

- Oni nigdy nie uciekną - szepnął mężczyzna w kaszkiecie. - Nigdy nie uciekną od siebie.

Sosnkowski milczał. Jego martwe oczy były utkwione w Singerze.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - mruknął w końcu.

Singer nie odpowiedział. Ze skórzanej teczki wyjął dwa dokumenty i położył na stole. Wygładził je dłonią i obrócił, tak by Sosnkowski mógł odczytać.

- Jak pan widzi - powiedział cicho - ten dokument, to decyzja o natychmiastowej egzekucji Rema Sosnkowskiego, syna Henryka, na podstawie wyroku z dnia czternastego marca 1946 roku... Sosnkowski wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział.

- A drugi dokument - kontynuował Singer - to akt łaski dla Rema Sosnkowskiego, o dziwo, też syna Henryka. Który z nich pan wybiera?

Więzień siedział skulony na krześle. Na szczęście zarysowały się gruzły mięśni.

- Kogo miałbym zabić? - mruknął w końcu.

- To ja rozumiem! - rozpromienił się Singer, przybierając akcent żydowskiego sprzedawcy - szanowny pan nie masz w głowie małe rybki...

- Nie przywykłem do błaznowania w takich momentach! - warknął Sosnkowski.

- A szkoda - poważnie powiedział Singer - bo może mniej by było tych zasieczonych wyciorami. Podsunął więźniowi kartkę papieru i położył obok pióro.

- Piszcie: *w pełni świadom przyjętego zobowiązania, decyduję się na udzielanie pomocy Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego oraz na zachowanie tegoż faktu w tajemnicy...*

- Zaraz, zaraz - przerwał mu Sosnkowski - a jaką mam pewność, że nie będziecie chcieli ode mnie wydania współtowarzyszy z AK?

Singer przymknął oczy w uśmiechu.

- Mógłbym powiedzieć - zaczął - że wasza klęska jest historyczną koniecznością, więc nie martwi nas to, że jeden z przedstawicieli umarłej klasy waha się przed przyśpieszeniem tego procesu, ale - parsknął śmiechem - jak sądzicie, jak to się stało, że schwytaliśmy was?

Oczy więźnia pociemniały. Wzdłuż ust pogłębiły się ostre bruzdy.

- Mieliście szpicla! - zawarczał. - U mnie w oddziale!

- Wszędzie są ludzie, którzy zdają sobie sprawę z nieuchronności przemian historycznych - już bez uśmiechu powiedział Singer.

- Ludzie robią to, czego wymaga od nich historyczna konieczność. Tego uczą nas towarzysze Marks i Engels...

Sosnkowski z wysiłkiem zapanował nad twarzą. Ścisnął dłonie tak, że zbieleły paznokcie.

- To nie prościej po prostu poczekać - powiedział z wysiłkiem - aż historia załatwi za was brudną robotę? Bez katowni, rozstrzeliwań i szpicli?

- Upraszczenie zagadnienie - Singer z ironią w oczach patrzył na próby opanowania ciała przez Sosnkowskiego. - Ludzka historia nie toczy się sama, lecz jest kreowana przez ludzi. To człowiek jest źródłem tego, co się wydarza, a nie bóg, duch historii czy los.

- Po co ten wykład?

- Powinien pana zainteresować - oczy Singera nie straciły złośliwego blasku - w pańskich aktach przeczytałem, że dwa lata studiował pan filozofię. Jak rozumiem, były to wczasy od noża?

- Niech pan wyciąga z tego dowolne wnioski.

Singer spoważniał.

- Chciałem tylko powiedzieć, że my wierzymy w człowieka, który sam tworzy siebie i własną historię. *Homo creator*. Demiurga, stawiającego samego siebie w miejsce ponurego i zazdrosnego starca ze Starego Testamentu...

- Z filozofii schodzimy na teologię?

- Nie - Singer spoważniał. - Chcę tylko przypomnieć panu, że wybór należy do pana. Jeden z okazanych panu dokumentów stanie się faktem, a drugi zostanie zapomniany. Który to będzie, zależy tylko od pana.

- Chce pan powiedzieć, że albo dzisiaj podpiszę to zobowiązanie albo dzisiaj zadyndam?

- Można tak to ująć - bez uśmiechu potwierdził Singer. - Choć nie brzmi za dobrze, to jednak trafnie to ujęliście.

- Ale to tylko papier? Jeśli wam ucieknę?

- I znów zacznie pan batożyć starozakonnych komunistów?

- Można tak to ująć, choć nie brzmi to dobrze.

Singer pogrzebał w swojej teczce i wyjął z niej dużego formatu zdjęcie dziewczynki o włosach spiętych w kucyk. Spod grzywki patrzyły łobuzersko jasne oczy. Pokazał fotografię Sosnkowskiemu, który drgnął i zamarł wpatrzony w dziecko na niej.

- Poznaje pan, prawda?

Więzień kiwnął głową.

- To pańska córka, prawda?

Twarz Sosnkowskiego ściągnęła się. Między wargami błysnęły zęby.

- Zwodisz mnie, Żydzie! - zawarczał. - Ona nie żyje! Singer nie zmienił pozycji, jedynie zmarszczki wokół oczu wyraźnie się pogłębiły.

- Znalaziono ją w Otwocku - powiedział. - Przygarnęła ją po powstaniu lokalna pijaczka. Miała z czego żyć, bo mimo wojny,

wciąż umiała pędzić taki bimber, że nawet niemieccy żołnierze go kupowali.

- Ale Joanna... moja... była żona - zginęła, gdy zawalił się dom, po niemieckim bombardowaniu. Widziałem gruzy... i czułem smród gnijących ciał - powiedział z uporem więzień. - Jakim cudem Kasia mogła przeżyć?

- Mówi, że poszła z dziewczyną o imieniu Basia po wodę... Pańska żona była chora na tyfus, więc nie mogła się ruszać, a Kasia, jako że miała dziesięć lat, mogła już przydźwigać garnek...

- Basia Bauer - szepnął Sosnkowski - Bogu niech będą dzięki!

- Ta Basia nie ma za co dziękować - cicho powiedział Singer. - Kasia mówi, że dopadli ją własowcy, gdy wszyscy opuszczali Warszawę... zgwałcili ją w kilku, a potem poderżnęli jej gardło.

- Gdzie ona jest? Gdzie moja córka?

- W jednym z państwowych sierocińców - mruknął Singer. - Jeśli zrobi pan, o co prosimy, zwrócimy panu wolność i... córkę, albo zostanie wychowana w ochronie państwowej na dobrą obywatelkę ludowej Polski. Przyszłość zależy w tym wypadku tylko od pana.

Sosnkowski w milczeniu wziął do ręki pióro.

- Niech pan dyktuje - wychrypiał. - Zabiję dla was tego człowieka.

ROZDZIAŁ II

Drzwi posterunku otworzyły się gwałtownie. Zanim gruby szeregowiec zdążył schować flaszkę z mętną wódką i przybrać urzędową minę, do poczekalni weszło dwóch żołnierzy w mundurach z naszywkami Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i chudy oficer, mimo gorącego dnia w długim, spranym płaszczu. Miał toporną, pokrytą bliznami po ospie twarz, rzadkie blond włosy i nieprzyjemnie świdrujący wzrok.

- Baczość! - warknął. - Gdzie wasz komendant?!

- Towarzysz Gil?

- A macie innego komendanta?

- Nie, towarzyszu majorze!

- Uprzedzić go, że z Warszawy major Wyczuch przyjechał, no już!

Grubas wybiegł z za biurka, zrzucając butelkę, która o dziwo nie rozbiła się, tylko potoczyła po drewnianej podłodze pod wysokie buty Wyczucha, który podniósł ją i bez słowa wyrzucił do kosza, po czym podążył za spoconym tłusciochem. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, jeden z żołnierzy eskorty wyjął wódkę i włożył ją za pazuchę.

Wyczuch wmaszerował do gabinetu komendanta posterunku, który stał na baczość i spocony coś mamrotał pod nosem. Jego tłusta twarz miała wypieki pod świńskimi oczkami, a łysina pokryła się potem.

- Siądźcie już! - warknął major - i dajcie mi akta sprawy zabójstwa tej dziewczynki, którą tu u was ostatnio znaleźli.

- Kozik Sylwii, towarzyszu? Ale to tylko dzieciak, to nie sprawa dla Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego...

- To nie wy decydujecie, co jest sprawą dla nas! - zasyczał Wyczuch.

- Tak jest, wybaczcie.

- Akta!

- Tak jest! - podbiegł do szafy w kącie. Szamotał się chwilę z pękiem kluczy Otworzył zardzewiałą kłódkę i dostrzegłszy, że wartownik wciąż stoi wyprężony pod drzwiami, kazał mu się wynosić. Potem wyjął z szafy plik papierów. Lękliwie spoglądając przy tym na Wyczucha, czy nie dostrzegł upchniętego w kącie szafy krucyfiksu, podał mu wyplamiony woskiem plik papierów.

Wyczuch wyjął z kieszeni na piersiach druciane okulary i założył je na garbaty nos. Starannie, kartka za kartką przejrzał notatki.

- Ciało tej Kozikówny znaleziono w żwirowni, tak?

- Tak jest!

- Widzieliście ciało? Tak, jak tu piszecie?

- Tak.

- Opiszcie mi, jak wyglądała.

- Wszystko tam wypisane stoi...

- Chcę to słyszeć od was! No, już!

Łyson przestąpił z nogi na nogę. Pod pachami wykwitły mu plamy potu.

- Leżała o tak - rozkrzyżował ręce i odchylił głowę, rozchylając usta. - A cipę, znaczy się, tę dziurę... między nogami, co baby majom...

- Srom.

- Że co?

- Nieważne, mówcie dalej.

- Znaczący tę szparę miała szeroko rozciętą... aż po brzuch. Ktoś jej zerwał włosy z głowy i wytoczył krew, jak ze świni w świniobiciu.

- Dużo było tej krwi?

- Nie, towarzyszu majorze. Jak mówiłem, to było choby na świniobiciu, jak się krew do kaszanki zbiera... Tu też ktoś musiał juchę zebrać, bo było jej mało, a on jej przecież skórę z nóg zdarł i cycki odciął...

- Rozumiem - warknął Wyczuch - mieliście jakichś podejrzanych?

- No pewnie, jakże to, podejrzanych nie mieć? Potośmy som

milicja, żebyśmy podejrzanych mieli.

- Kogo?

- Józek Kozok. On tu od trzydziestu lat świnie pasa. Głupek taki wsiowy.

- Zabił kogoś wcześniej?

- Nie no skąd!?! Józek, przecież to głupek! Żeby na wódkę dostać całuje, jak mu wiejskie chłopaki każą, padłe szczury w pysk, albo gównno zje...

Ubek drgnął i się skrzywił, a komendant mówił dalej:

- Nawet go kiedyś spytałem o to gównno, a on mi na to, że to nie takie straszne, ino w zęby wchodzi...

Wyczuch zbiełał i wrzasnął:

- Co wy mi tu!?! Z jakiej przyczyny wyście, kurwa, tego gównnojada za podejrzanego uznali?!?

- A kto inny mógłby coś takiego zrobić? Przecież to nieludzkie jest? U nas ludzie normalne - czasem ktoś kogoś siekierą siepnie, z fuzji postrzeli albo czerwonego kura na dach puści, ale dzieciaka ze skóry obdzierać, to nie... Nie takie u nas ludzie, towarzyszu majorze. Proste. Takich rzeczy nie robiom.

- Przyznał się?

- Po prawdzie to nie, ale jak trzeba będzie, to się przyzna.

- Nie wątpię - mruknął Wyczuch. - Czy ktoś obcy kręcił się w okolicy, gdy zginęła ta Kozik?

- Nie, żadnych włóczęgów nie było.

- Nie pytam o włóczęgów. O obcych się pytam.

- Nie, nikt. Żadnego elementu podejrzanego. Mieli my wtedy ino wizytę towarzysza z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Jak wy, towarzyszu, posterunki sprawdzał.

Wyczuch zapalił radzieckiego papierosa w długiej, kartonowej gilzie.

- Pamiętacie nazwisko tego kontrolera? - spytał cicho.

- Oczywiście, jakże bym mógł zapomnieć, towarzyszu... Pułkownik Stallmann, towarzyszu. Widać, że to sprawdzony towarzysz.

- Jak wyglądał? - Wyczuch miał przymknięte oczy.

- Noo, miał ciemne włosy i taki dziobaty nos... i rudy zarost...

No, jak to Żyd, towarzyszu. Chciałem, znaczy powiedzieć...

- Aha - mruknął Wyczuch - wiem, co chcieliście powiedzieć...

Zgasił papierosa w popielniczce z łuski pocisku armatniego i wstając mruknął:

- Jeśli komukolwiek wspomnicie o tej rozmowie...

- Ale, co wy, towarzyszu - zapewnił go komendant - ja wiem, co to tajemnica! My tu na wsi, ale wiemy, co znaczy służba.

- To wam się chwali - Wyczuch wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

- Służba nie družba, towarzyszu! - krzyknął za nim spocony grubas, a potem usiadł z rozmachem na opróżnionym przez gościa krześle i otarł pot z czoła.

Sosnkowski skończył pisać. Postawił kropkę z taką siłą, że złamał stalówkę i rozbryznął atrament na kartce. Singer wziął zobowiązanie, włożył je do teczki i podsunął więźniowi pudełko papierosów. Obaj zapalili.

- Dlaczego ja? Czemu go po prostu nie aresztujecie, jak tylu innych?

Singer drgnął, jakby się obudził. Powoli wypuścił dym w kierunku desek podłogi.

- Bo to znany człowiek w ministerstwie jest - mruknął. - Ma poparcie towarzyszy doradców.

- Doradców?

- Radzieckich oficerów.

Sosnkowski przygryzł wargi, ale nic nie powiedział.

- Oficjalnie nie możemy go aresztować...

- Ale możecie go zabić. Na ulicy. W samochodzie. Gdy będzie wychodził z burdelu albo pijany z knajpy? Macie takich ludzi, jak ja. Ja to wiem i pan to wie.

- Potrzebujemy kogoś, kto potem wyjedzie i... będzie milczeć. Niepotrzebny mi nadambitny ubek, który prędzej czy później będzie chciał wykorzystać tę wiedzę. Nie chcę ciągnąć za sobą zabójcy, który całe życie będzie oczekiwał nagród...

- Ja nie będę oczekiwał nagród?

- Wy wyjedziecie z Polski - powiedział spokojnie Singer. - Wraz

z córką i pieniędzmi na zagospodarowanie. Znikniecie. Nie powiecie nikomu, bo jak tu się przyznać do tego, że mordowało się dla czerwonego? Wy - kapitan AK, były oficer Oddziału II Sztabu Generalnego przyznalibyście, że zamordowaliście jednego czerwonego Żyda na prośbę drugiego, równie czerwonego starozakonnego? Przyznacie, że to źle brzmi? Koledzy podczas spotkań wspominkowych ręki by nie podali, prawda? A być wygnańcem z Polski i nie móc nawet z Polakami rozmawiać, to nawet jak na mój, międzynarodalny umysł, za dużo.

- A jeśli po prostu zniknę? Wypuście mnie, a ja wrócę do oddziału?

Twarz pułkownika stwardniała. Między oczami pojawiły się dwie pionowe linie.

- Po pierwsze - mruknął cicho - dopadlibyśmy was w ciągu kilku tygodni. Raz to już zrobiliśmy... Myślę, że nie zapomnieliście?

- Nie zapomniałem.

- To dobrze. A po drugie... - oczy Singera pociemniały - Kasia wyląduje w pierwszej kibitce jadącej do Kazachstanu. Wiem, jak to brzmi, ale skoro tak uczciwie postawiliście sprawę, to i ja pozwolę sobie na szczerść, choć i mnie przy tym zbiera się na mdłości.

- Dość nieoczekiwana wrażliwość u kogoś takiego, jak pan - z szyderczym uśmiechem powiedział Sosnkowski.

Singer wstał i podszedł do zakratowanego okna. Patrzył przez chwilę na krążące wokół budki strażniczej kawki. Ręce miał z tyłu pleców. Dłoń zaciskała się spazmatycznie na nadgarstku.

- Wiem, co chce pan powiedzieć - rzekł przez zaciśnięte zęby.

- Mógłbym po prostu przeczytać pański akt oskarżenia. To by pewnie wystarczyło za odpowiedź na tak postawioną sugestię. Mamy wojnę domową. Najgorszą z możliwych...

- To nie wojna domowa - przerwał mu Sosnkowski. - My, Polacy walczyliśmy przeciwko najeźdźcy ze wschodu. Przeciwko azjatyckiej dziczy, która wlewa się do Europy.

- Nie jestem azjatycką dziczą - wszedł mu w słowo Singer - przed wojną byłem nauczycielem gimnazjalnym w Warszawie. Z

paroletnią przerwą, kiedy to sanacyjna kontra wsadziła mnie za rzekome szpiegostwo do więzienia.

- Nie szpiegowaliście?

- Nie.

- Ale teraz jakoś jesteście pułkownikiem UB z sowieckiego nadania?

Twarz Singera pobladła jeszcze bardziej.

- Pańscy koledzy, którzy mnie bili podczas przesłuchań, też tak mówili - mówił chrapliwie, przerywając, jakby nie mógł złapać tchu. - Nie mieli oporów moralnych. Byłem dla nich tylko czerwonym Żydem. Nikim... jakoś nikomu nie przyszło do głowy, że wtedy, kopiąc mnie na przesłuchaniach po brzuchu, z lewicującego nauczyciela zrobili zdeklarowanego komunistę. Tacy jak pańscy koledzy nie męczą się myśląc perspektywicznie. Wystarczają im podkute buty na cudzej twarzy. Nie przychodzi im do głowy, że w gruncie rzeczy ich brutalność, obelżywość i prostackie poczucie wyższości, produkują nieprzejednanych wrogów. Ja wtedy zrozumiałem, że ten dziki prostak, który pluł mi w twarz i wyzywał od jęwejskich komuchów, należy do tejże azjatyckiej dziczy, o której był pan łaskaw wspomnieć, tyle że wierzy przy tym w swoją cywilizacyjną wyższość. Więc, jeśli teraz utrzymuje pan, że siekąc wyciorami na śmierć PPR-owskich działaczy politycznych i mordując milicjantów, staje pan po stronie dobra i reprezentuje pan cywilizację łacińską w tytanicznej walce z żydowsko-azjatycką satrapią, to zapewniam, że dla mnie dzicz i satrapia, to tamta sanacyjna Polska, w której Żydom rwało się brody, a Ukraińcom i Białorusinom zabierało cerkwie... To tylko walka o władzę i przywileje garstki degeneratów, którzy teraz nie wahają się używać haseł narodowych, byle tylko uchronić własne majątki przed parcelacją i móc dalej rozdzielać między krewnych posady rządowe... A pan, którego tamta władza odepchnęła, gdy tylko odważył się pan zadać pytanie, kto jest odpowiedzialny za zostawienie archiwum wywiadu w Forcie Legionów, nie powinien tak bezmyślnie zarzucać mi zdrady. To pański rząd w 1939 roku zdradził ten naród. Gdy ludzie pokroju kapitana

Raginisa strzelali sobie w łeb, byle tylko nie poddać się Niemcom, generalicja, rząd, bankierzy i reszta tego zdegenerowanego bydła uciekała szosą zaleszczykowską... zostawiając nawet Niemcom akta z agenturą Dwójki. Wie pan, ilu ludzi zginęło, gdy Gestapo przeczytało te akta?

- Kilkuset - powiedział głucho Sosnkowski. Nie patrzył na Singera.

- Ścinali ich toporem. Także kobiety i starców. Wszystko dlatego, że kilku panów zbyt się spieszyło, by spakować srebra rodowe, więc zabrakło czasu, by móc spalić akta. Jest pan pewien, że dla takich kanalii warto zabijać i umierać?

Sosnkowski milczał przez chwilę.

- Zostawmy ten temat - powiedział wreszcie - zwłaszcza, że dla was też mam zabić. Kwestie ideologiczne zostawmy na boku. Proszę powiedzieć, kto ma umrzeć?

Singer podszedł do biurka i ciężko usiadł na rachitycznym krześle.

- Aaron Stallman - szepnął. - Mój... przyjaciel.

- Dlaczego chce go pan usunąć? - usta Sosnkowskiego leciutko drgnęły. - Przeszkadza w awansie?

- Nie - z trudem wykrztusił Singer - ma umrzeć, bo to nie jest on. To nie Aaron.

- A co, Stallman się tak bardzo zmienił?

- Aaron Stallman - dziwnie uroczyście głosem powiedział Singer - umarł w 1945 roku. Prawdopodobnie w styczniu. Pan ma zabić to, co z niego zostało. Ciało, w którym żyje ktoś zupełnie inny.

Nad głowami mężczyzn siedzących wokół nakrytego zielonym sukniem stołu, kłębił się ostry dym z sowieckiego tytoniu. Na obłazącej z tynku ścianie wisiał orzeł, któremu ktoś ostrym narzędziem zdrapał koronę.

Było gorąco. Wysokie kołnierze mundurów były rozpięte, a słabe światło z wiszącej na drucie żarówki w porcelanowej obsadce odbijało się w spoconych czołach i łysinach.

- To niemożliwe - powiedział grubas z wiecznie podniesionymi

w grymasie zdziwienia brwiami. - To jakiś obłąd... Towarzysze, jesteście pewni?

- Śledztwo towarzysza Wyczucha nie zostawia żadnych wątpliwości - wychrypiał Singer - dlatego przypominam towarzyszom, że spotykamy się w ścisłym kierownictwie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Nic z tego, o czym dziś mówimy, nie może wyjść poza ten pokój.

- Nikt by nam nie uwierzył - powiedział flegmatycznie czarniawy oficer z pagonami majora. - To jak tania powieść.

- To nie powieść! - niski, łysy i brodaty mężczyzna w przepoconym mundurze poderwał się ze swojego miejsca - zresztą ty, Witek, zarabiałeś przed wojną pisząc groszowe kryminały, więc nie powinieneś być bardzo wstrząśnięty.

- Ty byś przyjął spokojnie, Tadku, gdyby z twojej łazienki wyszedł zniecałkowany Arsen Lupin?

- Żaden Lipę by nie wyszedł - warknął zaczerwieniony Tadek - bo zawsze mieszkałem w wynajętych poddaszach, gdzie kibel był na zewnątrz. Wyobrażasz sobie, że rano, w mrozie odmykasz haczyk sławojki... Zimno, że kurwa, szkliwo na zębach pęka, wchodzisz, ściskając w ręku jakąś gazetę, bo srać się chce. Marzysz tylko o tym, żeby mieć to jak najszybciej za sobą. A tam w środku Lipę. To nie literatura, to prawdziwy dramat - milczał przez chwilę, a potem dodał: - Do dzisiaj, jak o tym myślę, to mi się skóra na jajach marszczy na wspomnienie tego zimna...

- Dziękujemy ci, Tadku, za tak dosadny opis - mruknął major, zwany Witkiem. - Mi też się to i owo zmarszczyło. Też latami musiałem siedzieć w drewnianych kiblach, czując, jak mnie mróz w dupę kąsa. Tyle, że w Berezie Kartuskiej... Do dzisiaj boli mnie prostata i sikam krwią.

- Schodzimy z tematu - przypomniał im Singer. - Chodzi o to, że major Wyczuch udowodnił poza wszelką wątpliwość, że trasy delegacji towarzysza Stallmana pokrywają się z wykrytymi przypadkami zabójstw dzieci... Które przez zabobonną ludność są traktowane jako mordy rytualne dokonywane przez wracających z obozów Żydów.

- Noo - zająknął się Witek, nie patrząc na Singera - wybaczcie,

towarzyszu Singer, ale chyba w tym przypadku, ta zabobonna ludność ma rację? W końcu, Wyczuch sam nam pokazał wykres, z którego wynika, że ilekroć Stallman wyjeżdżał dokądś, tylekroć zabobonna ludność znajdowała jakąś dziewczkę w stanie nieco niekompletnym. Nie chciałbym być drobnomieszczańskim gęgałą... burżuazyjnym logikiem, ale przyznacie, że towarzysz Stallman jest niewątpliwie... hem, hem... Żydem?

- Ale ludność tubylcza wierzy, że Żydzi zabijają dzieci chrześcijańskie, by móc wypiekać macę na święto Paschy.

- Ale te dzieci, jak sam przed chwilą słyszałem, były pozbawione krwi! - wybuchnął Witek. - Jeśli nie dodawał jej do macy, to co z nią robił? Barwił czerwone sztandary?

- Towarzysz Solecki się zapomina - z zakłopotaniem powiedział milcząco dotąd mężczyzna z bielmem na jednym oku. - Ale naszym problemem nie jest, co Stallman robi z krwią, tylko co zrobić ze Stallmanem? Jeśli rozniesie się, że wysoki oficer MBP zabija dzieci, może to mieć poważne reperkusje polityczne.

- To nas zniszczy, do kurwy nędzy! - wrzasnął Solecki. - To nie są żadne reperkusje, to będzie klęska! Nie dość, że robią z nas żydokomunę... wybaczcie, towarzyszu Singer... to jeszcze przykleją nam zabobony światło ćmiące! A wtedy będziemy mieć wojnę ludową jak Napoleon w Hiszpanii. A taka wojna, podsycana fanatyzmem religijnym, jest nie do wygrania.

- Co robimy zatem z towarzyszem Stallmanem? Aresztujemy go?

- I oskarżamy o bycie wampirem? To absurd.

- A nie możemy o coś innego? Powiedzmy, o szpiegostwo? Przecież, jak go już będziemy mieli, to przyzna się do wszystkiego? Będziemy mieć jego zeznania na piśmie. A potem już niczego nie zdąży odwołać...

- Stallman ma poparcie Raczkowskiego i Sierowa - powiedział Wyczuch. - Jeśli go zatrzymamy i oskarżymy, to w dzień potem sami wylądujemy na przesłuchaniu. I nie ma znaczenia, o co go oskarżymy. Sierow mu ufa, a nam nie. Chcecie przejść przez rozmowę z jego oficerami?

Witek wzdrygnął się.

- Czyli nie możemy go oskarżyć o urojone zbrodnie, bo Raczkowski i Sierow uznają, że to intryga mająca na celu nasz awans... i nie możemy go oskarżyć o dzieciobójstwo, bo nawet gdyby Sierow porzucił swojego pupila, to ewentualny proces jeszcze bardziej nastawiłby przeciwko nam to ogłupione przez kler i burżuazję społeczeństwo? Dobrze zrozumiałem?

- Dobrze - potwierdził Wyczuch. - Nic dodać nic ująć.

- To co robimy? Bo coś trzeba zrobić, prawda? Jak będzie dalej zabijał, to w końcu zaczną krążyć legendy... albo go złapią i wtedy już nie powstrzymamy plotek... Towarzyszu Singer, to wasz przyjaciel... był... Co mamy zrobić?

Singer nie patrząc na nikogo, powiedział z wysiłkiem:

- Stallman musi umrzeć. I to tak, by nikt nie kojarzył jego śmierci z nami.

- Czy ktoś ma inny pomysł?

Zapadła cisza.

Wyczuch wydmuchnął dym przez zaciśnięte zęby.

- No, to mamy jasność - mruknął.

- Co pan przez to rozumie? - Sosnkowski uważnie spojrział na Singera. - Jeśli to nie Stallman, to kto? Singer rzucił niedopałek na podłogę i zadziwiająco długo go zdeptywał. Potem sięgnął do swojej torby i wyciągnął z niej zdjęcie młodego mężczyzny w czarnym mundurze ze srebrnymi czaszkami i runicznymi znakami SS na kołnierzu. Niemiec miał wąski, arystokratyczny nos z wrażliwymi nozdrzami, kwadratowy podbródek z dołkiem, błękitne, chłodno uśmiechnięte oczy, ocienione długimi rzęsami i jasne włosy, szesane luźną grzywą na bok wysokiego czoła.

- Czytał pan Nietzschego? - spytał. - Wie pan co nieco o Übermenschu? O płowej bestii? - Zacisnął palce na fotografii i z wymuszonym uśmiechem dodał: - Oto płowa bestia.

- Co on ma wspólnego ze Stallmanem? - Sosnkowski potarł nos.

- To jego macie zabić - spokojnie powiedział Singer.

- A nie Stallmana?

Singer uśmiechnął się samymi wargami.

- Zabijecie ich obu.
- Żartujecie sobie ze mnie?

Singer poruszył wargami, jakby coś do siebie niedosłyszalnie mówił.

- W jednym ciele - dokończył.

- Jeśli się wyda, o czym tu mówimy - szepnął niespokojnie Witek - to wszyscy staniemy przed towarzyszami doradcami... - głos mu zadrgał. - Ale rozmowa będzie raczej jednostronna... W 1938 przeżyłem taką rozmowę. Ale wtedy potrzebowali mnie do akcji we Lwowie, więc raczej łagodnie pytali. Leżałem w szpitalu tylko dwa tygodnie.

- Stallman ma poparcie - mruknął Tadeusz - ale Raczkowski czuje, że Stallman ma chrapkę na jego stanowisko. Może to pomoże?

- To jeden z nielicznych oficerów, który przeszedł i kurs kontrwywiadowczy w Kujbyszewie, i obóz koncentracyjny - powiedział Singer. - Każda akcja przeciwko niemu będzie odbierana przez Rosjan... towarzyszy radzieckich... jako prowokacja. O tym nikt nie może się dowiedzieć. Stallman musi zginąć, ale nikt nigdy nie dowie się o tym, kim naprawdę był.

- A więc musi zginąć jak bohater walki o nową demokrację? Z rąk siepaczy reakcji? Musi go zabić kontrrewolucyjny, zapłuty karzeł... - dodał Tadek. - W zasadzce urządzonej na forpocztę nowego świata. Wtedy nikt nas nie będzie podejrzewać, a w dodatku da się to wykorzystać propagandowo.

- Zrobimy z psychopaty bohatera rewolucji? Będziemy potem jego nazwiskiem ulice i statki nazywać?

- Nikt i nigdy nie może dowiedzieć się, że towarzysz Stallman, osobisty przyjaciel towarzysza Bieruta i towarzyszki Wasilewskiej, jest wariatem!

- Kim on naprawdę jest - Singer zaciągnął się dymem i przytrzymał go w płucach - nikt nigdy się nie dowie.

- Co pan przez to rozumie? - powtórzył Sosnkowski.

Singer drgnął, wybity z zamyślenia. Milczał przez moment.

- Chcecie wiedzieć, kto was wydał? - spytał w końcu spokojnie.
- Nie chce pan odpowiedzieć na moje pytanie?
- Chcę i odpowiem, ale zanim to nastąpi, chciałbym mieć coś więcej niż tylko podpisany przez was papier.

- Co?

- Spalone mosty.

Sosnkowski uśmiechnął się krzywo.

- Aż tak wysoko mieliście szpicla?

Singer nie odpowiedział. Wyjął z torby szarą, tekturową teczkę z nadrukiem *Geheime Staatspolizei* i z hitlerowską gapą, spazmatycznie ściskającą swastykę w laurowym wieńcu.

- Nie możemy mu pozwolić żyć spokojnie, nawet jeśli wykazał się... tak daleko idącym obywatelskim obowiązkiem - powiedział cicho, jakby w rozmarzeniu. - Mamy teczkę Gestapo, a w niej pokwitowania wypłat...

- Przeszkadza wam, że szpiclował też dla Niemców?

- Przeszkadza mi osobiście, że współpracował z Gestapo, by eliminować członków Armii Ludowej... - uśmiechnął się krzywo - w tym takich, którzy zaczęli czytać Marksa zaraz po opuszczeniu jesiwy oraz takich, których osobiście przygotowywałem w Moskwie do zrzutu w Generalnej Guberni...

Sosnkowski milczał, zagryzając wargi.

- Jeśli pokażę panu tę teczkę... to co pan zrobi? - Singer czekał chwilę na odpowiedź, a potem wzruszył ramionami.

- Uproszczę zagadnienie - warknął. - Czy jeśli pokażę wam teczkę zdrajcy, to wykonacie na nim wyrok, tak jak robiliście to będąc w AK? Czy też wolicie, żebyśmy my sami wzięli się za niego, przy okazji wzbogacając panteon narodowych męczenników? Sosnkowski wzruszył ramionami.

- Chcecie mnie związać tym zabójstwem? Sądzicie, że ta krew będzie mnie trzymać mocniej na waszej smyczy?

- Jeśli pan to tak ujmuje... Tak, tak właśnie sądzimy.

Rem kiwnął głową.

- Wielu ludzi zabijałem. Dlaczego ten jeden miałby mieć szczególne znaczenie?

- Bo to dla was ktoś bliski. Bardzo bliski... Czy dalej chcecie

zobaczyć tę teczkę, czy wolicie zostawić to nam?

- Jeśli mnie pan przekona, że sprzedał mnie ktoś z oddziału, nawet ktoś tuż przy mnie... - powiedział przez zaciśnięte zęby - to zabiję tego człowieka. Bez względu na to, kim on jest.

- Zna pan charakter pisma majora Szeskiego?

Oczy Sosnkowskiego pociemniały. Zaciśnął zęby. Na szczęście zadrgały mięśnie.

- To prowokacja i to głupia - stwierdził sucho. - Rysiek... Major Szeski organizował nasz oddział. Niemożliwe, by szpiclował ludzi, których sam namówił do walki... A w dodatku jest moim... przyjacielem.

- Sprzedał pana przypadkiem - uśmiechnął się Singer. - Jemu chodziło o Jana Wilka, z którym pan był w oddziale. Rozmawialiście z Wilkiem?

- Tak.

- Jakie były stosunki między nimi dwoma?

- Wilk unikał Ryśka. Czuło się napięcie. Co z tego?

- Wilk wiedział, co się stało z pieniędzmi otrzymanymi w 1944 roku od emisariusza rządu londyńskiego. A to Szeskiego niepokoiło. Wiedzieliście, że rotmistrz Brylski przywiózł ze sobą złote krugerandy na działalność konspiracyjną?

- Nie.

- Zaraz potem wpadł w ręce Niemców, prawda? Jakoś tak szybko. Za szybko, jak na przypadek, nie sądzicie?

- To insynuacje.

- To fakty. Widzieliście kiedyś to złoto? Zostało sprzedane na czarnym rynku, by kupić broń, przekupić kogoś? Istnieją gdzieś pokwitowania?

- Nie było złota.

- Było, tyle że już w kieszeni majora Szeskiego. Mamy na to zeznania ludzi, którzy to złoto wysłali. Zapewniam, że mówili prawdę.

- Będąc w Londynie?

- Będąc już u nas. W celach.

- To wpływa na prawdomówność - szepnął Sosnkowski. Jego pokancerowana twarz zbladła.

- Złotousty major Szeski, katonarodowiec z dziada pradziada, mąż żonie, ojciec dzieciom, prawdziwy oficer, trzymający się ślepo zasad honoru... Jaki to ładny obraz. Jak landszaft albo obrazek religijny z jarmarku.

- Szydzić jest łatwo, ale to wyjątkowo podle, gdy służy oszczerstwu.

- Wisi mi ten rodzaj podłości, niczym sztandar z orłem i szkaplerzem z drzewca. Mnie chodzi o to jedynie, że nie wiedzieliście, kim naprawdę jest ta menda... Dlatego wpadliście przypadkiem. Chodziło o Wilka. Zresztą, Szeski ma już spokój, bo Wilk zginął w czasie strzelaniny...

- Nie mógł spać - wyjaśnił Sosnkowski - dlatego mnie zgarnęliście, a on zdążył kilku waszych ubić.

- Jak rozumiem, to, co powiedziałem, nie przekonuje was?

- To tylko słowa.

- Proszę - Singer podał mu teczkę.

W środku był protokół przesłuchania z 14 lutego 1942 roku. Policyjne zdjęcia pobitego Szeskiego z profilu i en face. Zobowiązanie i podpisane zeznanie. Potem, po meldunkach ze zrealizowanych akcji, były raporty ze spotkań z *Vertrauensmann Udo* oraz wystukane na maszynie pokwitowania, z nagryzmołonym w pośpiechu podpisem *UDO*. Gdzieniegdzie, wśród papierów pojawiały się pisane odręcznie donosy: *...dwunastego października, Jan Sochejko, pseudonim „Bohun” spotka się z dwoma emisariuszami Moskwy w lokalu konspiracyjnym przy Grochowej 6..Obywatel Niemczyk Leonard znosi się z Janem Grossem, synem kupca hurtowego z Błatniej, której przeszedł szkolenie wywiadowcze w Moskwie w 1941 roku...*

- Tu macie próbkę pisma majora Szeskiego - Singer rzucił mu kartkę papieru z napisem: *Podanie do powiatowej Rady Narodowej*. Macie jeszcze jakieś wątpliwości?

Sosnkowski obejrzał dokładnie podany mu dokument. Porównał z papierami z gestapowskiej teczki. Położył go na krawędzi biurka. Wyrównał z dziwną starannością. Nie patrzył na Singera.

- W porządku - powiedział przytłumionym głosem. - Wszystko

jest jasne. Daty i nazwiska się zgadzają. Sami o tym nie mogliście się dowiedzieć. Jeśli zabiję tę gnidę, nasza umowa zacznie w pełni obowiązywać?

Dach kościoła był nieuszkodzony. Jedynie dzwonnica, trafiona pociskiem, była do połowy zburzona. Miedziana kopuła leżała wśród rozsypanego grynszpanu tuż koło kamiennego portalu wejścia. Cementarz przykościelny był zasypany miękkim, topniejącym śniegiem, spod którego wystawały zbrązowiałe, wysokie pokrzywy.

Ciemny Volkswagen zatrzymał się przed kamiennym krzyżem, na którym na jednej ręce wisiał dziwnie wychudzony Chrystus.

Z samochodu wysiadł Singer w furmańskim kożuchu i Sosnkowski w wojskowym płaszczu. Przeszli krusząc zbrązowiałe, pokryte plamami mokrego śniegu pokrzywy do kościelnych drzwi. Wysokie buty zapadały się w śnieżnej brei, cmoktały błotem z roztopów. Singer pchnął odrzwia z wyłamany zamkiem. Krusząc szkło z rozbitego witraża przeszli między ściemniałymi ławkami w stronę ołtarza, na którym barwił się krwisto obraz Męki Pańskiej. Rozpiętemu na oblanym krwią krzyżu Synowi Boga przyglądały się z drewnianej ramy pulchne, dziwnie pogodne aniołki.

Singer usiadł tuż pod ołtarzem, na jednej z bocznych ław, których oparcia miały gotyckie zwieńczenia i łacińską numerację. Z kieszeni wyjął coś zawiniętego w przetłuszczoną szmatę. Rozmotał ją i podał Remowi ciemno oksydowane Parabellum z kościaną rękojeścią, dwa zapasowe magazynki i nóż w skórzanej, wyświeconej od tłuszczu pochwie z dwoma paskami.

- To mieliście przy sobie w chwili zatrzymania - mruknął. - Przyjąłem, że będziecie tego potrzebowali...

Sosnkowski bez słowa włożył broń do kieszeni szynela. Nóż przywiązał do wewnętrznej strony przedramienia.

- Mieszka tam, gdzie mieszkał pół roku temu? - jego twarz była nieruchoma. Martwa.

- Tak - Singer wyciągnął nogi przed siebie i zaplótł ręce na

brzuchu. - Zaczekam tutaj... Jeśli nie wrócicie, rozkażę szukać was obu, ale z zaleceniem, by nie zatrzymywać nikogo żywym. A Kasia...

- Nie musi się pan powtarzać - warknął Rem. - Wiem, czym mi pan grozi.

- Ja nie grożę. Przypominam.

- Nie da się wiecznie zmieniać znaczenia słów i przeinaczać myśli - Sosnkowski rzucił już od drzwi. - W końcu wszyscy to rozumieją. Co wtedy zrobicie?

- Podzielimy się władzą z tymi, którzy teraz tak wygodnie napuszczają na nas tych, którzy czują, zamiast myśleć. Wtedy będziemy mogli dalej przeinaczać słowa i myśli bez moralnego oburzenia katolicko-narodowych burżua - obojętnie odpowiedział Singer. - Zatem czekam. Powodzenia.

Rem wzruszył ramionami i pchnął nabijane ćwiekami drzwi.

- Tato, tato! - zakrzyczała Marysia. - Ktoś na ganku stoi! O, za dzwonek szarpie!

- Słyszę, słyszę, kochanie ty moje - ciężko zbudowany, wysoki mężczyzna wstał z rozłożystego fotela stojącego przed rozpalonym kominkiem.

- Kto to? - z niepokojem spytała bardzo szczupła kobieta, wycierając dłonie z mydlin. Miała zaczerwienione z niewyspania oczy i bladą twarz. Wokół oczu rozlewała się pajęczyna przedwczesnych zmarszczek. - Może ja otworzę? Co? Jeśli to UB, to zdążysz uciec...

- Dobrze, Helenko - Szeski przeszedł do salonu, skąd można było zbiec przez taras do ogrodu. Uważnie obejrzał zza firanki klomby z otulonymi słomą krzakami róż. Drzewa za nimi były mokre. Na ziemi leżał topniejący śnieg. Na dachu letniej altany siedziały mokre wrony i obojętnie wpatrywały się w ujadającego psa na długim łańcuchu. Ich pióra na karku miały fioletowy poblask, Helena otworzyła drzwi i nie zdejmując łańcucha spojrzała w szparę.

- Rem! - krzyknęła. - Ty żyjesz!!

Szarpiąc się z łańcuchem otworzyła drzwi. Rzuciła się na szyję

mężczyźnie w długim do kostek szynelu. Obłapiła go spazmatycznie, jakby ktoś miał jej go wyrwać z objęć. Przytuliła twarz do jego zarośniętego posiwiałą szczecią policzka.

- Mówili, że cię ubecy zabili! - wyjąkała przez łzy. - Tylko ja wierzyłam, że tacy jak ty nie umierają! Wszystkim to powtarzałam!! Wchodź szybko, zanim cię jakiś szpicel zobaczy! Ryszard jest w środku!

Złapała go za rękę i pociągnęła za sobą. Twarz miała pąsową. Odmłodzoną.

- Wujek Rem! - zapiszczała Marysia. - Gdzie masz psa, wujku? Gdzie Wilczychwost?

- Myślę, że dołączył do swoich leśnych braci - uśmiechając się połową twarzy powiedział Sosnkowski. - Ale przecież wiesz, że od przyjaźni nie da się uciec, prawda?

- Sam tak mówiłeś, wujku!

- Więc i Wilczychwost wróci do mnie... Tylko musi się dowiedzieć, gdzie jestem.

- No chodź! - przynagliła go Helena. - Rysiek tak się ucieszy, jak cię zobaczy! Wszyscy tu cię już opłakali! Oprócz mnie! Ja stale mówiłam, że takich mężczyzn UB nigdy nie złapie, bo tak, jakby prosięta wilki łapały! - zarumieniła się jeszcze bardziej i uciekła spojrzaniem. Sosnkowski miał także wzrok wbity w podłogę. Weszli do salonu, gdzie przy oknie stał Szeski. Czoło przyciskał do szyby, znacząc ją śladami tłustego potu.

- Rem! - wyjąkał, nie odwracając się - jak się cieszę! Wszyscy sądziliśmy...

- Wiem, co sądziliście - Sosnkowski wszedł mu w słowo. - Ale ja, jak widzisz, wciąż żyję. To chyba dobrze?

Łysiejący mężczyzna w końcu się odwrócił. Patrząc gdzieś mimo głowy Rema, wykrztusił:

- To niemożliwe... wszyscy się cieszą... Gdzie twój oddział?

- Nie wiem. Możemy na osobności pogadać?

Szeski skurczył się. Poszarzał.

- Helenko - wykrztusił - zrób nam herbaty i otwórz wino, które przyniósł pułkownik Rostkowski...

- To, o którym mówiłeś, że poczeka na wyzwolenie Polski od

komuny?

- To właśnie - zdławionym głosem wykrztusił Szeski.

- Sam widzisz! - kobieta zwróciła się do Rema - dla nas twoje pojawienie się, to jak wyzwolenie Ojczyzny. Może więcej, bo tamto jest pewne, a o ciebie jednak się niepokoiiliśmy...

- Dziękuję - mruknął Sosnkowski. - Zawsze w was wierzyłem. Może nawet bardziej niż w pokonanie komuny.

Na stoliku z mahoniową szachownicą stała omszała butelka wina, dwa kryształowe kieliszki oraz dwie szklanki i ciemnozielona flaszka mętnego samogonu.

Szeski odkorkował wino i rozlał je do pięknie rżniętego szkła. Podniósł kieliszek i chciał przepić do Rema, gdy ten, lekceważąc wino, otworzył spirytus i nalał go do szklanek. Nie patrząc na Ryszarda, wychylił duszkiem swoją szklankę i nalał sobie powtórnie.

- Ja tam wolę, żeby wino na to obiecane wyzwolenie poczekało. Nie pijesz?

Szeski odstawił wino i w milczeniu podniósł szklankę ze spirtem do ust. Ręka drżała mu tak, że alkohol pociekł mu po brodzie. Odstawił szkło, rozchlapując.

Sosnkowski zapalił papierosa i przytknął zapałkę do kałuży na stole. Błękitny, delikatny płomień rozpełzł się na mahoniowym blacie. Zawirował wokół wilgotnej z alkoholu butelki, wspiął się na moment ku szyjce gdzie pełgał słabo.

- Tak można pożar spowodować - szepnął Szeski. Nie ruszał się, wpatrując się w migoczący płomyk.

- Niejedno można spowodować - mruknął Rem. Unikał wzroku Ryśka.

- Tak się cieszę, że jesteś... Choć to niemożliwe... że... wypuścili cię?

- Jak widzisz. Tacy są dobrzy. Nie spodziewałeś się, co?

Szeski umilkł. Oczy mu się rozbiegły.

- Po prostu się dziwię. O co ci chodzi? - wyjęczał.

- O nic. O co miałoby mi chodzić? - z udawanym zdziwieniem odparł Rem. - Po prostu przyszedłem do przyjaciela... Bo do kogo

można pójść, gdy cię bezpieka wypuści? Gdy jesteś pobity i zdradzony? Samotny, przegrany i bez szans? Pozostaje tylko przyjaciel. Prawda?

- Prawda.

- Gdy jesteś samotny i bez przyszłości - kontynuował - gdy umiera rodzina i tracisz majątek... to pozostają tylko przyjaciele. Nic ponadto. Jest się odartym z wszystkiego innego. Tylko bliscy ludzie chronią przed szaleństwem... Ja nie mam już nic, Rysiek. Straciłem dom, rodzinę, zawód... Nie mam pieniędzy, ani perspektyw. Mam tylko ciebie. Przyjaciela. Mam wrażenie, że jedyne? Czy to nie piękne uczucie?

- Przestań.

- Czemu? Nie bójmy się prawdy, Ryśku.

Szeski ciężko wstał i podszedł do sekretarzyka przy ścianie, na której wisiał szkaplerz z Matką Boską i orłem w koronie, pod którymi czerniała szabla - batorówka, na której wygrawerowany był napis: *Pro Patria et Deus*. Jego twarz zrobiła się śliska od potu.

- Jak cię wypuścili? - wystękał.

- Z braku dowodów. Pytali, ja twardo milczałem. Co mogli zrobić? Przecież wiesz sam. Grzeczni, praworządni ludzie. Aż mi się wstyd zrobiło, że ich tak razem wyciorami laliśmy, Rysiek... A czasem nawet lądowali na drzewach z pętlą. Oj, w zasadzie często tak było, nie wstyd ci teraz?

- Kpisz.

- Nie - Rem mówił nie rozwierając zębów. Wokół oczu miał sinawe cienie. W źrenicach migotał czerwony błysk. - Od dziś przysięgłem mówić jedynie prawdę. To naprawdę przyzwoici ludzie, Ryśku. Przynajmniej nie ukrywają, jakimi są bydlętami. Nie otulają się w biało-czerwone sztandary... Po prostu, zwykli rzeźnicy, żadni tam przedwojenni oficerowie... Świnie, które nie recytują Baczyńskiego i nie trzymają popiersia Naczelnika. O, takiego, jak u ciebie na biurku. Szeski szarpnął kołnierzyk, odrywając guzik. Oddychał przez usta. W kącikach warg miał białawy nalot. Otworzył spoconymi rękoma jedną z szuflad i wyciągnął z niej oklejone pluszem pudełko.

- Masz tam pistolet, prawda? - powiedział wolno Sosnkowski. -

Wiem, bo sam ci dałem go w 1943 na urodziny. Razem z Maurycem oklejałem to pudełko pluszem zdartym z fotela ciotki Maurycego... Chcesz mnie zastrzelić? - jego głos zrobił się senny, ale mięśnie szczęki zrobiły się gruzłowate. Pochylił się lekko w przód, kładąc ręce na rzeźbionych oparciach fotela.

Ryszard zamarł z nieotwartym pudełkiem w ręku.

- Mam w kieszeni Parabellum - powiedział powoli Rem. - Spróbuj wyciągnąć tego Visa... jak kiedyś. Pamiętasz? Tyle razy próbowałeś mnie pobić w tym... Młodzieńcza wiara w siebie kazała ci wciąż próbować, mimo rosnącej córki i łysiny.

- Ale ty zawsze byłeś szybszy - wycharczał Szeski. - Zawsze.

- Ale ja zawsze byłem szybszy - powtórzył jak echo Sosnkowski.

- Ale tym razem możesz spróbować. Broń jest w ciasnej kieszeni, trudniej mi ją wyciągnąć, niż tobie z pudełka, prawda? Zachowałeś chyba wciąż tę żarliwą wiarę, że w końcu się uda, co? Jak inaczej mógłbyś sprzedawać przyjaciół bezpiecze?

- Nie chcę, żeby Marysia i Helenka wiedziały o mnie... - wykrztusił Rysiek. - Nie chcę, żeby wiedziały. Nie... chcę.

- Więc odłóż pudełko - głos Rema był coraz wolniejszy i cichszy. - Wyjdziemy stąd. Porozmawiamy. Z dala od Marysi i Helenki. Tak jest chyba lepiej. Chyba, że jednak chcesz wypróbować raz jeszcze moją szybkość? Byłem długo w więzieniu. Bity i głodzony. Wiele mogło się zmienić.

- Nikt nie jest szybszy od ciebie - Szeski odłożył pudło i wbił rozedrgane ręce w kieszenie.

- Jednak nic się nie zmienia - głos Sosnkowskiego nabrał metalicznych tonów. - Tchórz zawsze pozostanie tchórzem. Nawet jeśli zdobył się na heroiczną podłość.

Bezlistne wierzby pochylały się nad zamulonym potokiem. Nad nimi wirowała chmara kawek. Słysząc było ich ostre skrzeki.

Na łące, w miejscach wolnych już od śniegu, brązowiły się kretowiska.

Szeski szedł przed Remem, niosąc w jednej ręce wziętą ze stolika butelkę spirytusu, a w drugiej szpadel. Kark nad skórzaną

kurtką miał zaczerwieniony. Na krawędzi włosów widniały krople potu. Przystanął i przytknął flaszkę do ust. Długo pił, ruszając zarośnięta grdyką. Sapnął i odwrócił się do Sosnkowskiego.

- Przecież nie zabijesz mnie ot, tak? - zajęczał. - Jak hycel?

- To ty jesteś gnojem o mentalności hycła - powiedział spokojnie Rem. - Przez tyle lat sprzedawałeś najofiarniejszych z nas Gestapo. I żyłeś. Bez wyrzutów sumienia. Zawsze mnie zadziwiała twoja troska o zdrowie. Wokół wojna, śmierć, szubienice, łapanki, a ty robiłeś nalewki z czosnku i wosku pszczelego, sałatki z cebuli... Jeździłeś na wieś, żeby przywieźć świeże jajka i bełtałeś kogel mogel, koniecznie z lipowym miodem i cynamonem. Wszystko dla zdrowia. Hantle przy łóżku, wyprawy rowerowe w niedziele z Helenką. Taki zdrowy burak. Jakby nie z tego czasu. Jak wycięty z podręcznika harcerza...

- Nie wiesz co czułem! - zapiszczał Szeski.

- Zakładam, ze satysfakcją z tego, co robiłeś. Wydawałeś ludzi szwabom i nikt się nie domyślał. Nikt ani piknął, bo wszyscy wierzyli ci, gdy bredziłeś o honorze oficera i wolnej Polsce. Boże, jaki ty byłeś przekonujący! Doskonała mimikra. Nawet się nie upijałeś ze wstydu... Bo to szkodziło na wątrobę, a ty chciałeś przecież żyć sto lat, prawda? Jak twój ojciec.

- Dziadek.

- Tatusiowi się nie powiodło? Widać, nie miał kogo sprzedać.

- Popełnił samobójstwo w 1926. Przecież wiesz.

- Widać wyczerpał limit przyzwoitości w waszej rodzinie.

- Obrażasz mnie, bo chcesz zabić mnie bez wyrzutów sumienia.

Upadł, żeby twoja podłość nie biła w oczy...

- Ja nigdy nie mam wyrzutów sumienia - szepnął Rem. - Znasz mnie. Aż za dobrze. To ty ze mnie zrobiłeś egzekutora.

- Nikt z ciebie nie robił mordercy. Ty nim byłeś od zawsze. Pamiętasz, jak w gimnazjum poszliśmy z wiatrówką na pola? Strzelaliśmy do ptaków. Ty zawsze trafiałeś, a ja nigdy... W końcu spytałem cię, czy mógłbyś postrzelić jednego, tak by jeszcze żył...

Rem skrzywił się, ale nie przerwał Ryśkowi.

- Powiedziałem ci wtedy, że trzeba nauczyć się być twardym i

zapropnowałem... by wyrwać mu skrzydła - Szeski mówił coraz szybciej, jakby bał się, że nie zdąży skończyć. - Złapałem za jedno skrzydło i spytałem, czy przytrzymasz za drugie... myślałem, że się nie zgodzisz, że będziesz zbyt szlachetny na taką podłość... Ale ty wykręciłeś mu skrzydełko, a ja... szarpnąłem.

- Słuchaj - głos Rema był zgrzytliwy jakby tarł kredą po tablicy.

- Zostaw te błazeństwa. Od tamtej pory obaj robiliśmy wiele innych rzeczy...

- Ale ty wtedy nie okazałeś żadnego uczucia. Dopiero, gdy zaczął skrzeczeć i się szamotać, wyrwałeś mi go z ręki i rozbiłeś o ziemię! Potem było tak samo! Zabijałeś ludzi bez cienia emocji!

- Gównu ci do moich emocji! - zasyczał Sosnkowski. - Robiłem wiele podłości, ale nigdy nie sprzedałem nikogo, a zwłaszcza przyjaciela!

- Bo ty nie miałeś przyjaciół!

Sosnkowski zbladł.

- Nie miałeś nikogo, bo wszyscy czuli twoją obcość. Ty nie byłeś człowiekiem, Rem! Niby normalny chłopak, ale jakoś wszyscy cichli, gdy się pojawiałeś... Pamiętasz, jak mieliśmy pojechać na Polesie z klasą? Na obóz wędrowny... Ty się spóźniłeś, bo zachorował twój ojciec... Wszyscy mieli nadzieję, że się w ogóle nie zjawisz! Bo przy tobie nikt nigdy nie był swobodny!

- Miałem ciebie - powiedział spokojnie Rem. - Przyjaciela, jak w powieściach Maya. Razem byliśmy w gimnazjum, razem trafiliśmy do konspiracji. Wierzyłem ci.

Szeski przypiął się do butelki. Pił duszkiem. W końcu odrzucił pustą już flaszkę.

- Miejmy to za sobą - warknął. W oczach zabłysła mu alkoholowa odwaga. - Proszę cię tylko o jedno... - urwał i w oczach przemknęło coś obrzydliwego.

- Zakop mnie tak, żeby mnie nikt nie znalazł. Żeby Marysia nigdy nie wiedziała... Żeby myślała, że poszedłem walczyć, że mnie złapali, żeby... nie wiedziała... Rozumiesz?

- Rozumiem. Kop.

Ryszard z trudem wbijał szpadel w ziemię. Co chwila pociągał z drugiej butelki, którą wyciągnął zza pazuchy, więc już po chwili

był niemal całkowicie pijany. Mimo to dziura w przesiąkniętej czarną wodą, odtajalą już ziemi systematycznie się powiększała.

W końcu dokończył flaszkę i rzucił ją pod nogi. Wyszedł z wykopu i stanął przed Remem.

Miał zamglone oczy i wypieki na twarzy.

- Zrób to - mruknął.

- Pozwolisz mi się zabić? Ot, tak? Nie będziesz walczyć?

- Po co? - wybełkotał Szeski. - Żeby ci ułatwić sprawę? Zawsze byłeś szybszy. Chcesz mnie zamordować bez wyrzutów sumienia? W walce? Nie, Rem. Pierdolę cię. Ty też będziesz musiał przywyknąć do bezsennych nocy.

- Dlaczego to zrobiłeś? Czemu wydałeś nas wszystkich?

- Po co ci to? Żeby mimo wszystko spokojnie spać? Nie, Rem. Nie ułatwię ci tego. Nie będę się oskarżał.

- Byliśmy przyjaciółmi, chcę dać ci szansę... - bezradnie zaczął Sosnkowski.

- Ty nie zrozumiesz! Nic nie rozumiesz! Nie jesteś człowiekiem, więc nie możesz pojąć zwykłych ludzi! Złapali mnie! Co miałem robić? Miałem dziecko i żonę! Nie mogłem ich zostawić samych!

- Ja też miałem dziecko i żonę - wyszeptał Sosnkowski. - Ale to niczego nie zmieniało. Szeski milczał przez chwilę, a potem ze skurczoną twarzą rzucił:

- Ty nie kochałeś jej! Kochałeś Helenę! Wiem o tym, widziałem, jak na siebie patrzyliście. Jak wychodziła za tobą, gdy się żegnałeś. Jak jej oczy błyszczały, gdy o tobie mówiła... Kiedyś przyszedłem z pracy do domu, a jej nie było. Wróciła po mnie. Zdyszana, rozpalona. Miała zwichrzone włosy. Mówiła, że była u siostry... Ale na jej płaszczu było pełno ciemnej psiej sierści. Ja... od razu wiedziałem, skąd ta sierść, bo sam musiałem czyścić marynarki po fotelu u ciebie, na którym zawsze wylegiwał się Wilczychwost! Pieprzyłeś ją! Jaki z ciebie przyjaciel? Po co kłamać?

Rem milczał.

- Ty mi zarzucasz podłość i zdradę? A co z tobą? Co z waszą dwójką? Ja kochałem swoją żonę, a ty mi ją splugawiłeś, potraktowałeś jak pisuar, tylko dlatego, że nie byłeś szczęśliwy,

że twoja żona była chora... Kto z nas jest większym zdrajcą? Ja, czy ty?

- Przepraszam - wyszeptał Sosnkowski.

- Pierdol się, głupcze! - wycharczał Ryszard.

- W porządku, śmieciu - tylko z ugięcia nóg walnął Szeskiego pięścią w twarz, a potem drugą ręką poprawił w bok szyi. Wysoki mężczyzna zachwiał się, złapał go lewą ręką za klapę a prawą sięgnął w tył spodni, za pasek, gdzie tkwił krótki sztylet cichociemnych. Drgnął. Powoli opadł na kolana. Ramiona mu obwisły, jak u kukielki zerwanej ze sznurka. Rem powtórnie uderzył go łokciem w kąt szczęki. Ryszard upadł twarzą w błoto. Sosnkowski zepchnął go kopniakiem w wykopany dół. Gdy gruby mężczyzna podniósł się chwiejnie i spojrzał na niego z dołu, warknął:

- Miałeś w jednym rację, trzeba było wtedy, z tym ptakiem nauczyć się bezwzględności... Zapomnieć o swoim człowieczeństwie. Pistolet wierzgnął w rękę. W powietrzu rozszedł się zapach spalonego prochu i juchy.

Rem w milczeniu odwrócił się i ślizgając się na rozciapanym śniegu, zaczął iść po własnych śladach.

Wirujące nad głową kawki kłóciły się zawzięcie.

Brama kościelna huknęła o ceglana ścianę. Sosnkowski przeszedł nawą do Singera, który wciąż siedział w wysokiej ławie. Pod stopami miał małe ognisko rozpalone z połamanymi desek z więzby dachowej. Bury dym pełzał między ławami, snuł się wzdłuż ścian, delikatnymi pasmami wzbijał się ku zerwanemu dachowi. Na kolanach Singer trzymał blaszaną, obłazącą pozłotą puszkę na kadzidło. Nie patrząc na Rema, wyjął z niej garść kadzidła i wrzucił w ogień. Dym stał się puchaty i wonny.

- Wróciliście - mruknął.

- Tak się umawialiśmy.

Sosnkowski usiadł ciężko przy Singerze. Zgarbił się. Głowę wtulił w postawiony kołnierz szynela, a nogi w długich butach wyciągnął ku żarowi.

- Wierzycie wciąż w potęgę danego słowa?

- To chyba wiedzieliście, zanim do mnie przyjechaliście? Wy, Żydzi nigdy nie zrozumiecie potęgi woli. Pieniądze i władza nie zastąpią siły ducha.

Singer wyciągnął z kieszeni małą książeczkę z wytartą od noszenia okładką. Otworzył ją i przeczytał na głos:

Jehowa pan nasz, a nikt inny - On nas porzucił wszędzie. On nami, gdyby splotami niezmiernej gadziny, oplótł świat czcicielów Krzyża, panów naszych, dumnych, głupich, niepiśmiennych. - Po trzykroć pluńmy na zgubę im - po trzykroć przekłństwo im... Cieszymy się bracia moi. - Krzyż, wróg nasz, podcięty, zbutwiały, stoi dziś nad kałużą, a jak się raz powali, nie powstanie więcej. - Dotąd pany go bronią... Dopełnia się praca wieków, praca nasza markotna, bolesna, zawzięta. Śmierć panom - po trzykroć pluńmy na zgubę im - po trzykroć przekłństwo im! ...Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie osadzimy potęgę Izraela - tylko tych panów kilku - tych kilku jeszcze zepchnąć w dół - trupy ich przysypać rozwalinami krzyża..³.

- Nic dziwnego, że nawet ludzie rozsądni wierzą w bzdury, skoro nawet wasi wieszczowie pieprzyli jak potłuczni - mruknął na zakończenie.

- Chcecie rozmowę na dyskusję o głupocie romantyków przekierować? Singer wyjął z kieszeni blaszaną papierośnicę. Skręcił papierosa i podał ją Remowi, który - zamyślony - bez oporu wziął tytoń i bibułkę.

- Niewiele wiecie o Żydach - mruknął Singer - choć wieszaliście żydowskich komisarzy. Nigdy nie zadaliście sobie trudu, by dowiedzieć się czegoś o tych ludziach?

- Wiedziałem aż za dużo.

- Wiedzieliście dość, by ich powiesić lub obatożyć. To wystarczy?

- Tego jest aż nadto.

Singer w milczeniu kiwnął głową.

- Zabijcie dla nas - szepnął. - A my w żydowsko-kupiecki sposób dotrzemy słowa. Potęga zobowiązania jest znana także parchom, panie kapitanie.

- Zabiję dla was - Rem zaciągnął się papierosem i parsknął dymem - i wierzę, że dotrzymacie umowy. Nawet nie wezmę od was weksla...

ROZDZIAŁ III

Zielona dachówka pałacu była w dwóch tylko miejscach przyczerniona spalenizną. Obtłuczone od kul ściany ociekały wilgocią. Wśród ułamków gipsowych maszkar kłóciły się wrony. Wojskowe ciężarówki wjechały z hurkotem na brukowany kocimi łbami dziedziniec, ściągając uwagę ptaszysk. Z budki strażniczej pod kamiennym gargulcem wyjrzał żołnierz w kozuchu i czapce uszance z karabinem przewieszonym przez ramię. Nogi w filcowych walonkach miał okręcone kraciastym kocem. Nieregulaminowo zasalutował, bez wyplątywania nóg z wojsłoka, ale Singer nie zwrócił na to uwagi.

Wyskoczył z kabiny kierowcy, zahaczając o okręcony wokół lusterka łańcuszek ze świętym Antonim. Za nim wygramolił się zaspany Sosnkowski, otulając się szynelem. Opuchlizna i siniaki na twarzy już się zmniejszyły, ale wciąż miał bladą cerę więźnia i ciemne worki pod oczami. Poszedł za Singerem, który plaskając butami w rozwilgłym śniegu przeszedł przez plac do nabijanej ćwiekami bramy, którą otworzył następny strażnik. Wiało od niego niestrawionym spirytusem i swojskim brudem.

W środku minęli uschłe palmy w drewnianych donicach i szerokimi, wykładanymi czerwonym chodnikiem schodami weszli na piętro, gdzie czekał na nich ciemnowłosy, młody oficer z raportówką przewieszoną przez ramię, mimo tego, że na nogach miał puchate bambosze z wyszytym złotą nitką napisem: *Traumpimpel*⁴.

- Przyjechaliście wcześniej niż was oczekiwaliśmy, towarzyszu majorze.

- Widzę - warknął Singer patrząc na papcie. - Cieszę się, że dbacie chociaż o pozory. Prócz raportówki mogliście jeszcze przewiesić przez ramię RKM. Wyglądałoby to naprawdę

malowniczo, zwłaszcza w tych ukradzionych paputkach kobiecych.

Młodzik zarumienił się, ale nic nie powiedział. W milczeniu poprowadził ich do wykładanego mahoniową boazerią pokoju, w którym prócz stołu na lwich łapach, był wielki żyrandol zrobiony z jelenich rogów, dębowa, bogato zdobiona biblioteczka wypełniona niemieckimi tytułami i trzy fotele wyściełane czerwonym pluszem.

- Czemu tego jeszcze nie wyrzuciliście? - Singer wskazał na rzędy złożonych grzbietów.

- Nie zdążyliśmy, poza tym jest tu jakiś profesor historii, który do Rady Narodowej śle pisma, że trzeba cały ten zbiór zaksięgować, a pałac przekształcić w muzeum...

- I dlatego nie wyrzuciliście tego chłamu?

- Sądziłem, towarzyszu, że zabytki kultury trzeba chronić. Dla przyszłych pokoleń... proletariuszy, ma się rozumieć...

- Źle sądziliście - warknął Singer. - Poproście tutaj towarzysza Chwedczuka i resztę zespołu. I postarajcie się, żebyśmy dostali coś do zjedzenia, herbatę i proletariacki spirytus.

Gdy oficer wyszedł, Sosnkowski spytał:

- Chcecie niszczyć wszystko, co piękne?

- Niszczymy stary świat - skrzywił się Singer - by, gdy nowy świat powie „jestem”, nie było już nic, co mogłoby mu odpowiedzieć: „jestem” - na twarzy przeleciał mu cień uśmiechu.

Usiadł z rozmachem w fotelu i wyciągnął długie nogi przed siebie.

- Upadek zaczyna się od drobnomieszczańskich ciągot do arystokratycznego świata rzekomo wyższej kultury - powiedział poważnie. - Nagle zaczynają imponować wielkie zbiory głupich książek, bo ich kretynizm gubi się w złoceniach, kredowym papierze i rycinach... Obrazy powstałe, by zaspokajając próżność bogatych błaznów, stają się wyznacznikiem dobrego smaku, autorzy piszący, by wzorem wszystkich lizusów dostać okruchy z pańskiego stołu, stają się klasykami... Nie, panie Sosnkowski, nowy świat nie potrzebuje tego złożonego gówna. Musi się go strzec, by rewolucji nie zadziobały kanarki w złożonych kłatkach,

nie zbrukały jej buciory lokajów i dorobkiewiczów, byśmy nie wyhodowali następnych pokoleń snobujących się na arbitrów elegantiarum parweniuszy. My potrzebujemy ascezy. Prostoty. Ubóstwa... Złocenia, kolorowe kamienice, bogate sklepy, piękne cacka mordują rewolucję. Takie to proste.

- To rzeczywiście proste. Nie boicie się, że czyszcząc świat, zniszczycie wszystko, co w nim piękne?

- W starym świecie nie było nic pięknego. Tak jak w luksusowej kurwie nic pięknego nie ma, mimo tego, że jest obwieszona futrami i biżuterią... ale nie o tym będziemy mówić. Oto słyszę nadchodzących pozostałych członków zespołu. Pozwólcie, że przedstawię... Dębowe, ściemniałe drzwi rozchyliły się skrzypiąc i wszedł przez nie oficer z nieszczęsną raportówką. Gdzieś po drodze wzuł wyglansowane wysokie buty. Za nim wsunęli się do pokoju dwaj mężczyźni po cywilnemu i oficer w mundurze UB. Cywile wyglądali zadziwiająco. Jeden był młodym blondynem z dołkiem w brodzie. Wyglądał jak germański wojownik, tyle że z obu stron kwadratowej szczęki zwieszały się jasne pejsy, a usta miały łagodny, kobiecy wyraz. Jasnobłękitne oczy rozmarzone, nieco senne, jednak gdy zobaczył Rema wyraźnie się ożywił. Na głowie miał ciemną, zdobioną delikatnym haftem jarmułkę. Drugi był śniady, z ostrymi rysami i sterzącymi buńczucznie na boki, wypomadowanymi Wąsami. Potężne bary opinała kurtka mundurowa ze zrzutów, na którą zarzucił kamizelkę z baraniego futra. Spod ronda szerokiego, filcowego kapelusza wypływały poskręcane w pukle, czarne włosy. Na palcach miał złote pierścienie, w tym jeden w kształcie pożerającego swój ogon węża. Ubek był chudy, z wystającym jabłkiem Adama i zarośniętą szczęką. Na haczykowanym nosie miał druciane, okrągłe okulary.

- Majorze Chwedczuk! - Singer wstał i uściśnął kościstą rękę nowoprzybyłego. - To kapitan Sosnkowski, który wiedziony obywatelskim obowiązkiem, zdecydował się okazać pomoc naszym organom... Przedstawcie resztę zespołu!

- Towarzysz Melkiades! - Chwedczuk wskazał na mężczyznę w kapeluszu. - Sprawdzony jeszcze przed agresją faszystowskich

kanalii na terenach burżuazyjnego, sanacyjnego tworu Układu Wersalskiego...

- Chcecie powiedzieć, że szpiegował dla was w Polsce jeszcze przed wojną? - przerwał mu Sosnkowski.

- Towarzysz Chwedczuk nieco przesadza - załagodził Singer. - Melkiades od czasu do czasu ze swoim taborem przewoził pieniądze dla Komunistycznej Partii Polski... Nie rzucajmy nieładnych... pochwał.

- Teraz już nie wozi niczego z taborem? - zimno spytał Rem.

- Teraz nikt z jego taboru nie żyje - odpowiedział cicho Singer.

- Melkiades przeżył tylko dzięki temu, że jak co sobota był pijany w sztok i trzeźwiał w krzakach, gdy SS przyjechało na ciężarówkach, żeby zrobić porządek z cygańskimi podludźmi...

- Leżałem we własnych rzygach i patrzyłem - wszedł mu w słowo Melkiades - moi ludzie siedzieli w kręgu. W środku moja Papusza, moje dzieci i dziadek, którego wszyscy nazywali królem... Wokół stały te skurwysyny z czaszkami na otokach. Moi zaczęli grać na harmoniach i śpiewać. Śpiewali nawet, gdy te gnidy strzelały...

- A pan leżał i patrzył? - Sosnkowski spytał cicho unikając wzroku Cygana.

- Co ta kindersztuba robi z ludzi! - parsknął Singer. - Przed chwilą szpion, teraz pan... Towarzyszu Sosnkowski, mówcie po proletariacku!

- Dobrze - syknął Rem - leżałeś i patrzyłeś, jak zabijają ci rodzinę?

- Leżałem i patrzyłem - Melkiades zwinął powoli upierścionymi rękami skręta - a potem pojechałem za nimi. Zatrzymali się niedaleko. Zarekwirowali karczmę. Gdy byli pijani, zaryglowałem drzwi i okna... i podpaliłem knajpę.

- Nietzscheański nadczłowiek zetknął się z gorszą rasą - z przymkniętymi oczami mruknął Singer - i po co mu to było? Jedźmy dalej z prezentacją, towarzyszu Chwedczuk.

- A to towarzysz... von Horn. Ostatnimi czasy każe mówić do siebie Szłomo, ale na chrzcie mu dano Sigismund.

- Sigismund von Horn w 1940 roku uciekł do ZSRR - wyjaśnił

Singer - gdzie po krótkim przesłuchaniu i pobycie w obozie reedukacyjnym, zajął się działalnością wychowawczą jako oficer polityczny w armii Berlinga, co było o tyle łatwe, że pochodzi ze Śląska... Gdy dowiedział się o Ostatecznym Rozwiązaniu, postanowił odkupić zbiorową winę narodu niemieckiego... Przyjął judaizm, choć wszyscy mu tłumaczyli, że łamie sobie pięknie zapowiadającą się karierę partyjną.

- A co oni mają robić? - przerwał mu Sosnkowski. - Po co mi przedstawiacie tych cudaków?

- Razem wykonacie waszą misję - powiedział spokojnie Singer.

- Sądzicie, że uda się w tajemnicy utrzymać wyprawę takich anomalii? Natura zamrze, gdy oni wyruszą w podróż.

- Gdy wy wyruszyście. A ja sądzę, że czasy są tak oszalałe - powiedział powoli Singer - że tacy właśnie ludzie stanowią najlepszy kamuflaż, a poza tym... - przerwał.

- Poza tym? - popędził go Sosnkowski.

- Poza tym, takie zadania mogą wykonywać tylko ludzie o bezwzględnej wierze w to, co robią - dokończył Singer. - Nic dziwnego, że sprawiają nieco dziwne wrażenie. Nawet dwa tysiące lat temu Rzymianie ukrzyżowali waszego Jezusa, bo za mocno wierzył, że jest Synem Bożym.

- Piłat chciał go uratować - wykrztusił bezradnie Rem. - To Żydzi go skazali!

- Ee, no, kapitanie - poklepał go po ramieniu Singer - gdyby go Żydzi sądzili, kazaliby mu podpisać weksel albo zapłacić karę, nie uważacie? I do czego byście się wtedy modlili? Pomyśleliście o tym? Musielibyście klękać przed każdym kantorem! Rzymianie wybawili was z wielkiego problemu, nie sądzicie?

Rem nie mógł spać. Przewracał się w przepoconej pościeli. W końcu usiadł, dotykając bosymi stopami zimnych kafli podłogi i zapalił papierosa. Z marmurowego kominka, nad którym tykał dębowy, rzeźbiony zegar, padał słaby, purpurowy poblask. Za ciemnymi oknami szumiał las. Za drzwiami słychać było co jakiś czas miarowy krok wartowników, a w szparze między krawędzią drzwi i progiem przesuwiał się wtedy cień. Sosnkowski wstał.

Podszedł do kominka i zatrzymał mosiężne wahadło zegara. Zapalił papierosa. W kominku strzeliło różowe bierwiono, rozsypując skry. Za drzwiami ktoś się gardłowo roześmiał i powiedział coś ze wschodnim, miękkim zaśpiewem. Od posterunku na dole, przy bramie doleciał dźwięk harmonii.

*Oj, diwczyno, diwczynenko
Napij, napij z meni konia
Czy ty budesz spiwaty
Budu tebe cyłowaty
Jaka, jakaż ty mileńka!
Chotiw by ja ženitsa
Polietiem, polietiem do zołotogo sołnca!⁵*

Sosnkowski wrzucił niedopałek w palenisko. Przytknął czoło do marmurowego blatu nad kominkiem.

- Wybacz mi, Boże - szepnął. - Wybacz.

Instruktor był krępy i siwowłosy. Po polsku mówił słabo, przekręcając niemiłosiernie słowa.

Trening odbywał się w dawnej sali balowej, której ściany były wyłożone ogromnymi taflami luster. Złoczone ramy wiły się liśćmi akantu. Nad drzwiami ciemniały zdobione ponurymi głowami faunów korony.

- *Panimajetie?* - zapiął instruktor. - Noż trzymamy twardo, *kak mołotok...* Bo jak trafisz w czełowieka, to palce pójdą po klingie i sam siebie krzywdę zrobisz? *Paniatno?*⁶

Von Horn z zapalem pokiwał głową. Melkiades uśmiechnął się wyrozumiale, za to Sosnkowski wziął z ręki siwowłosego nóż, chwilę ważył go w ręku, po czym odwrócił się i cisnął nim przez całą długość sali. Ciężki bagnet wbił się w portret jakiegoś grubego oficera w cesarsko-królewskim garniturze.

Siedzący pod portretem Chwedczuk zzieleniał.

- Co wy, kurwa, robicie!?! - zapiął. - Chcecie mnie zabić?

- Na razie nie - mruknął do siebie Rem, a Melkiades skrzywił usta pod nazelowanym wąsem.

- Jak jesteście taki chojrak - rzeził dalej Chwedczuk - to spróbujcie się z towarzyszem Kryszą! - rzucił im dwa drewniane noże.

- Ja was, Sosnkowski, od razu rozgryzłem! Wy jesteście polski pan! Wam, Polaczkom, za mało było wojnę przegrać i skompromitować tę waszą Polskę... Wam się wciąż w głowie przewraca!

Krysa podniósł oba noże treningowe i jeden podał Sosnkowskiemu. Wokół stanęli Melkiades, von Horn i Chwedczuk. Na galerijce zatrzymał się Singer, za którym słuźbiście uśmiechnięty stał ciemnowłosy adiutant.

Rem pochylił się lekko. Nóż trzymał ukryty na tle całej sylwetki. Lewą dłoń wyciągnął przed siebie. Krysa wodził drewnianym ostrzem przed jego oczami, od czasu do czasu przerzucając go do lewej ręki. Znienacka zrobił wypad na lewą nogę, wyrzucając lewą dłoń z bronią w przód. Rem skreślił tułów w prawo, przepuszczając nóż bokiem i blokując ramię Krysy przedramieniem, a potem szybkim ruchem ciął drewnianym ostrzem po dole łokciowym instruktora. Jednocześnie prawą nogą zamiatając stopę Krysy, który runął w bok, klnąc cicho. Jeszcze w locie dostał kopnięcie w bok szyi i zwałił się na mahoniową podłogę, warcząc coś o *bladzych Polaczkach*⁷. Singer na galerijce zaklaskał w ręce.

- Mówiłem wam, towarzyszu Chwedczuk, że on nie potrzebuje szkolenia - powiedział. - Jedyne pracy polityczno-wychowawczej, o ile znajdzie wystarczająco przekonującego wychowawcę.

- Ale instrukcja nakazuje... - zaczął Chwedczuk, pomagając wstać z ziemi Krysie.

- Do dupy z waszą instrukcją! - warknął Singer. - Jeśli rewolucję będziemy wprowadzać według instrukcji, a nie zdrowego rozsądku, to za jakiś czas pozostanie zacząć jeszcze raz. Tym razem na serio. - Zapadła cisza. Singer splunął ponad złoconą barierą galerii. - Po skończonym treningu, przyjdźcie do mnie - zwrócił się do Rema. - Spróbuję wam coś wyjaśnić. Może

teraz, po zwolnieniu z więzienia, jesteście nieco bardziej myślący.

Rem zapukał do zdobionych drzwi ze śladami uderzeń kolbami.

- Wejść!

W środku, przy biurku, na którym paliła się lampa naftowa siedział Singer. Połowa twarzy ginęła w cieniu. Przed sobą miał rozłożoną grubą, tekturową teczkę.

- Siadajcie - wskazał na stojący koło biurka fotel z rzeźbioną koroną nad oparciem. Gdy Rem opadł na niego, Singer podał mu szklankę wypełnioną czerwonym płynem. - To porto sprzed osiemdziesięciu lat - mruknął. - Ma niemal konsystencję galaretki.

- Myślałem, że gardzicie burżuazyjnymi przyzwyczajeniami - Sosnkowski zrobił łyk gęstej cieczy.

- Ale nie gardzę alkoholem. W żadnej postaci - wyjaśnił Singer. - W robotniczej piwnicy wino by nie przetrwało, nie mówiąc o tym, że raczej nie oczekiwałbym w niej oryginalnego porto.

- Dlatego z całych sił unikałem robotniczych dzielnic. A więc jesteście reprezentantem klasy robotniczej? A ja zawsze sądziłem, że Żydzi są wystarczająco inteligentni, by nie pracować fizycznie? Singer parsknął, ale powstrzymał się od riposty. Zamknął teczkę i rzucił ją na kolana Rema.

- Pamiętacie naszą pierwszą rozmowę?

- Nie da się jej zapomnieć.

- Pytaliście, jaki jest związek między towarzyszem Stallmanem a pokazanym wam mężczyzną na zdjęciu.

- Ale wy wybraliście melodramatyczne milczenie.

Singer kwaśno się uśmiechnął.

- Wszyscy jesteśmy ludźmi - mruknął. - Teatralność zachowań jest smutnym dziedzictwem burżuazyjnego wychowania... Dopiero następne pokolenia będą od niej wolne.

- Jesteście pewni?

- Niestety nie, ale chcę wierzyć, że gdy zniknie prywatna własność i prostacki ciężar posiadania, zmieni się i ludzki

charakter. No, ale idźmy dalej z właściwym tematem... Mówi wam coś słowo „dybuk”?

- Jakoś nie jestem biegły w jidysz.

- Zaskoczę was, ale ja też nie. Mój ojciec - ku mojej zgryzocie - był rabinem, więc częściej słyszałem biblijny hebrajski niż ten skundlony slang zeuropeizowanych Żydów, ale mimo to wiem, co to dybuk. Moja babcia mi nieraz opowiadała o dybukach. Sosnkowski zagryzł wargi.

- Wybaczcie, pułkowniku - powiedział wolno - ale nie rozumiem sensu tej rozmowy. Chcecie ze mną wspominać rzewne historie rodzinne? Baśnie judejskich mamek? Mam wraz z wami oglądać album rodzinny prowincjonalnego Żydka?

Singer zapalił papierosa i w milczeniu zaciągnął się dymem. Drgała mu przy tym lewa powieka.

- Nie - powiedział w końcu - gównu wam do wspomnień prowincjonalnego Żydka. Ani was to nie interesuje, ani Żydek nie chciałby się z wami dzielić żałosnymi wspomnieniami. Zresztą z nikim innym też nie.

- Cieszę się, że mamy w tej sprawie jasność.

Singer zacisnął zęby na papierosie.

- Jak wy to robicie, że jesteście tacy aroganccy, do kurwy nędzy!?! - wybuchnął. - Nic wam nie zostało, poza niepewnym życiem, a wy wciąż zachowujecie się, jakbyście byli na polowaniu z przekąską! Więcej rozsądku! - chciał coś jeszcze dodać, ale opanował się i dokończył: - Chcę wam wyjaśnić, co to dybuk, pozwolicie? Bez dzielenia się ze mną uwagami na temat żałosności egzystencji w żydowskich norach? Ja i bez was wiem, jaka beznadzieja i brud kryje się w perukach żon rabich. Uwierzcie mi. Daję słowo Żydka.

- Wierzę. Z jakiegoś powodu przerzuciliście się z Tory na Marksa.

- Cieszę się, że rozumiecie - uśmiechnął się chłodno Singer. - A teraz, pozwolicie, że wyjaśnię: dybuk, to dusza zmarłego, wcielająca się we wciąż żyjącą osobę...

- Aha... - z nieukrywaną ironią Sosnkowski spojrzał Singerowi w twarz. Pułkownik wyraźnie się zarumienił.

- Bierzecie mnie za durnia - stwierdził sucho. - Niepotrzebnie. Chwilę milczał, by w końcu dodać: - Przeczytajcie te akta. Gdy skończycie i co nieco zrozumiecie, wrócimy do rozmowy.

- Chcecie, bym omawiał z wami starozakonne przesady? Nasza umowa była prosta, jak sądzę. Po co dodawać do niej semickie brednie? Chcecie mnie wysłać na wyprawę etnograficzną, żeby zachować mistyczne bajdurzenie żydłactwa?

Singer gwałtownym ruchem zgasił papierosa. Nawet w świetle lampy naftowej widać było, że zbladł.

- Nienawidzę waszej arogancji! - warknął. - Ale jestem za stary, by dać się ponieść emocjom. Przyjrzyjcie się temu! - wyjął z teczki zeszyt w marmurkowej oprawie z tektury i podał Remowi. Wszystkie kartki były zapisane równym, ostrym charakterem pisma. Wszystkie duże litery były szpiczaste, jakby chciały się wbić w rząd słów nad nimi, z których z kolei wystrzelały równie ostre ogonki liter. - Dość specyficzny charakter pisma, prawda?

Sosnkowski przeczytał pierwsze zdanie w zeszycie: *Der Tod muss gewonnen sein...*⁸

- Owszem - mruknął.

- Zwróciliście uwagę na odwrócone "F" i harpunowate zakończenia wysokich znaków? Poznalibyście to pismo, gdybyście go widzieli raz jeszcze?

- Pewnie tak.

- Cieszę się. To pamiętnik doktora Heinricha von Treppf. Słyszeliście kiedyś o nim?

- Nie.

- Wśród, jak mówicie, Żydków, ta postać cieszyła się sporym zainteresowaniem i raczej nieprędko ulegnie zapomnieniu. Był lekarzem obozowym. Najpierw w Buchenwaldzie, potem w Oświęcimiu. O dziwo nie współpracował z doktorem Mengele. Może dlatego, że Mengele realizował badania dla przemysłu i wojska, więc był, jak byśmy powiedzieli, pozytywistą... Choć w moich uszach brzmi to jak żart, ale ten rzeźnik torturował ludzi, by wydobyć z nich prawdę o tym, ile mogą znieść. Treppfa to nie interesowało.

- To czym się zajmował?

- Poszukiwaniem dowodu na istnienie duszy.

- Proszę?

- Treppf wierzył w metempsychozę. Jako członek wspieranego przez Himmlera towarzystwa *Ahnenerbe* zajmował się wierzeniami hinduskimi, badał też mitologię egipską.

- Po co mi o tym opowiadacie?

Singer bez słowa wyjął z teczki jeszcze jeden zeszyt. Ten miał na okładce nadruk cyrylicą: *Wsie siły Sowietskemu Sojuzu*². Singer otworzył go i podał Remowi.

Na pierwszej stronie było pojedyncze zdanie po hebrajsku. Potem jednak wpisy były alfabetem łacińskim. Po polsku. Każdy dłuższy wpis był schludnie numerowany, z podkreśloną datą.

- Poznajecie charakter pisma?

Rem kiwnął głową.

- Gdzie on nauczył się polskiego?

- W liceum lubelskim - warknął Singer. - To pamiętnik Aarona Stallmana. Mojego przyjaciela i współtowarzysza z Komunistycznej Partii Polski.

- Co chcecie przez to powiedzieć? - głos Rema zrobił się chrapliwy. Zduszony.

- Aaron Stallman był więźniem Auschwitz. Numer obozowy 23501. Sprawdziliśmy wpisy obozowe. Aaron Stallman trafił do baraku doktora von Treppf. I jakimś cudem uniknął komory gazowej. Tuż przed wyzwoleniem był wciąż na liście więźniów przydzielonych doktorowi Treppf.

- A potem, jak już Sowieci zajęli obóz?

- Stallman należał do garstki więźniów, którym udało się przeżyć. Szybko pojawił się w dowództwie Armii Czerwonej, gdzie przydzielono go do grupy doradców organizujących polskie siły bezpieczeństwa, bo już przed wojną był znany NKWD jako sprawdzony towarzysz.

- Rozumiem. A ten doktor?

- Treppf? Zastrzelił się kilka dni przed opuszczeniem obozu przez SS. Rosjanie znaleźli jego ciało w gabinecie i wrzucili do latryny obozowej. Potem ponoć jednak przyjechał ktoś do obozu,

kto wygrzebał trupa z gówna, zapakował go do trumny i ponoć wywiózł do rodzinnego majątku von Treppfów na Mazurach.

- To... niemożliwe!

- Zgadza się. To niemożliwe. Tak jak niemożliwe było, by garstka oszalałych sklepikarzy podpaliła Europę i wymordowała miliony ludzi, wierząc, że głupie kobiety w zawieszonych perukach i rozgadane mądrale w jarmułkach spiskują, by zawładnąć światem. Czy już rozumiecie, dlaczego mówiłem wam o dybuku? Zabijecie nie Stallmana, tylko doktora von Treppf, zwanego przez więźniów *Der Schwarze Engel*¹⁰.

- To bzdura! Nonsens!

- Być może. Dlatego tych dokumentów nie widział nikt poza wami i mną. Niech wszyscy dookoła wierzą, że Aaron Stallman, po przeżyciach obozowych, morduje dziewczynki, a ja - jego jedyny przyjaciel - znalazłem człowieka, który usunie go bez narażania mojej kariery. Ja, Baruch Singer, znam od lat Aarona Stallmana i wiem, że to zwierzę, które oprawia dzieci po wsiach i w powiatowych miasteczkach, to nie jest Aaron. Nie ma takiej możliwości, bo Aaron Stallman był człowiekiem opętanym ideą sprawiedliwości i nowego, wspaniałego świata, w którym zniknie wyzysk i okrucieństwo. Człowiekiem, który pisał wiersze i nie pozwalał zabijać pajaków, które gnieździły się w wynajmowanym przez nas pokoju w Warszawie... A gdy kiedyś widział, jak upadł koń dorożkarski i zaczął zdychać na jezdni, ukląkł w rynsztoku i przytulił się do umierającego zwierzęcia, żeby powstrzymać razy dorożkarza...

- Pomogło?

- Nie, bo po Aaronie od razu widać było pochodzenie. Więc dorożkarz nie przestał bić, musiałem odciągnąć Aarona.

- Po co mi to mówicie? - Rem skrzywił się z niesmakiem.

- Zabijecie niebezpieczne zwierzę, kapitanie Sosnkowski. A przy tym uwolnicie Aarona Stallmana. Bo on cierpi. Tego jestem pewien.

- A może tylko chcecie w to wierzyć? - powiedział wolno Rem.

- Żeby móc zabić go bez wyrzutów sumienia? Oszukujecie siebie, by móc potem normalnie spać?



- Singer wstał i podszedł do okna, za którym przelewała się mokra ciemność.

- Idźcie już - powiedział zdławionym głosem. - Macie dużo pracy przed sobą. Przeczytajcie wszystko, co tam jest. Wtedy uwierzycie.

Sosnkowski leżał w ciemności na pryczy i palił papierosa, wydmuchując dym w smugę światła padającą od okna, pod którym stała strażnica z silnym reflektorem skierowanym w stronę pałacu.

Za drewnianą boazerią chrobotwały szczury, którym cichutko akompaniowały korniki w starych szafach. Leniwie zgasił peta w łusce pocisku artyleryjskiego i wstał, narzucając na ramiona zielony koc wojskowy. Podszedł do stołu z toczonymi nogami, z których wysypywał się pył zżartego przez korniki drewna i zapalił stojącą na nim lampę naftową z pękniętym kloszem. Usiadł i zaczął przeglądać teczkę, którą otrzymał od Singera.

Chrześcijaństwo skalało ludzkie dusze. Jesteśmy wszyscy niewolnikami chrztu. Obłąkana wiara w fałszywą moralność, przeczącą naturalnym instynktom zabija radość życia, wolę mocy. Życie samo. Wmontowuje nam w mózgi dwie szpile, którymi można potem nami powodować: wstyd i lęk. Dlatego życie jest zawsze cierpieniem. Wystarczy wyobrazić sobie wilka, któremu treser zakazuje jedzenia mięsa. Zwierzę jest karane za każdy przejaw instynktu, za najśłabsze nawet impulsy łowcy. Ma jeść obrok i trawę, choć jego jelita ich nie trawią, a za każdy kęs mięsa jest bite.

Wilk szybko rozumie, czego się od niego chce. Je z zapątem trawę, choć wzdyma go od niej, odwraca się, gdy widzi królika, a gdy - targany na smyczy przez obłąkanego tresera - mija jatkę, udaje, że jej nie widzi. Wszystko, by uniknąć nahajki. Po jakimś czasie, szpicruta już nie jest potrzebna. Już sam wzdryga się na widok krwi i bawi się pocieszenie z jagniętami.

Wprawdzie jelita wzdyma mu niestrawiona spyża, jest żałosny i chory, ale wpojony mu lęk przed samym sobą jest silniejszy od instynktu.

Taki wilk może przeżyć całe życie nie jedząc mięsa, nie kosztując przyjemności łowów, nie będąc sobą. Tylko, że nigdy nie będzie szczęśliwy.

Chrześcijaństwo z wilków stara się zrobić owce, nie zważając przy tym na to, że ofiary tej krucjaty nigdy owcami nie będą, a ich

wypełniona bezustanną walką z sobą egzystencja będzie tragedią.

Ilekcioć myślę o takim wilku, który miast ścigać zdobycz w stepie, leży wzdęty przed kominkiem, co jakiś czas popierdując, by ulżyć obolałym jelitom, chce mi się rzygać.

Widzę wtedy bowiem siebie.

Na dębowym stole stała ciężka, żelazna skrzynka z pokrętłami z czarnego bakelitu i podświetloną skalą. Przed nią siedział chłopak w polskim mundurze ze słuchawkami na uszach. Za nim stał Melkiades z papierosem w ustach. Na chybotliwych krzesłach pod obwieszonymi obrazami ścianami siedziała reszta drużyny i Singer.

- Twoje hasło wywoławcze: *Ja, sokoł, ja sokoł*, rozumiesz?

- Rozumiem, ale czemu nie mogę mówić sokół? Albo, powiedzmy, orzeł? Ta maszyna nie rozumie się na polskiej ortografii?

- *Kak by buw Lach, to by buw oreł*¹¹ - mruknął siedzący pod ścianą Rem.

- *Wie bitte?*¹² - spytał von Horn.

- Skoro masz być Żydem - oświadczył Sosnkowski - to przynajmniej nie używaj języka germańskiego faszysty. Operator w tym czasie wstał na znak Singera i wyszedł z pokoju.

- Skupcie się! - warknął Singer. - Musicie wiedzieć, jak się z nami kontaktować. Bez komunikacji każda akcja leży.

- Ale to żadna akcja - skrzywił się Rem. - Usunąć jednego Żydka, to żaden szpas...

- Po pierwsze - głos Singera zrobił się lodowaty - nie mówimy publicznie o celach planowanych akcji... czego was chyba w AK-owskiej Sondzie uczyli?

- Nic wam do tego, czego nas uczyli w polskim kontrwywiadzie!

Singer westchnął ciężko.

- Kapitanie Sosnkowski - warknął - nauczcie się obsługi radiostacji, byście mogli kontaktować się z nami, bo bez tego, cała ta akcja jest gównem warta. Tylko od nas dowiedcie się, gdzie znajduje się wasz cel i jakie mamy wobec niego plany. I tylko my

możemy przerwać lub zakończyć akcję. Bez radiostacji nic nie zrobicie, jasne?

- Ja już umiem, towarzyszu pułkowniku - wtrącił się Melkiades.
- To proste. Po kropnięciu tego Żydka, o którym mówił Rem, po prostu wywołuję was, oznajmiam, że mówi sokoł i przekazuję informację o wykonaniu zadania, wtedy dostaję dalsze instrukcje.

- Bardzo dobrze zrozumieliście - pochwalił Singer, ale jego twarz nie straciła kwaśnego wyrazu. - Pozwólcie za mną, pokażę wam operacyjne środki transportu.

Przeszli wyłożonym wytartymi kaflami korytarzem do bramy, przy której drzemał zgrzybiały wartownik z wielką brodawką na nosie. Singer przeszedł koło niego bez słowa, ale jego asystent poderwał żołdaka i zaczął mu wrzaskiem obiecywać rzeczy straszne.

- Oto wasze operacyjne środki transportu - powiedział Singer, nie zwracając uwagi na wrzaski adiutanta. - Szybkie i sprawne, jak wszystko w Związku Radzieckim.

Na wykładanym płaskimi kamieniami placu, za którym rozciągał się potężny park, stały dwa motocykle, z doczepionymi budami płóciennymi na dwóch kołach. Na burtach widniał napis: *Zirkus Monsignore*.

- W Związku Radzieckim produkuje się motocykle BMW? - spytał Rem patrząc na niebiesko-czarne symbole przyłączone do potężnych, zielono malowanych baków.

- Dzięki nowoczesnej konstrukcji operacyjnych środków transportu - wymamrotał Singer, pomijając milczeniem impertynencję Sosnkowskiego - możecie się poruszać bądź w pomieszczeniu operacyjnego wypoczynku...

- Czyli w budzie? - upewnił się Rem.

- ...albo na motocyklu, w pozycji na jeźdźca - Singer konsekwentnie ignorował wtręty.

- Jaki najeźdźca? - z wyrazem zdumienia na twarzy spytał von Horn. Wyglądał jakby się dopiero co obudził.

- Germański, kurwa, oprawca! - zawarczał Melkiades. - Nie przerywaj, towarzyszu Singerowi, wyrodny faszysto!

- Dziękuję za wsparcie, towarzyszu Melkiades - przez zaciśnięte zęby dokończył Singer. - Jutro otrzymacie cel podróży i szczegóły zaplanowanej akcji. Proszę wykorzystać tę noc do wypoczynku.

- Ale czemu mamy poruszać się z tym dziwnym napisem na burtach? - nie dawał za wygraną Sosnkowski.

- Jedziecie jako *Cyrk Monsignore* - wyjaśnił cierpliwie Singer. - To wasza przykrywka operacyjna.

- A jak ktoś zacznie coś podejrzewać?

- Co i kto? Będziecie dawać występy po drodze, jak każdy cyrk. W dodatku sami zauważyliście, że wszyscy, łącznie z wami, odstajecie nieco od normy... Chciałem powiedzieć, że różnicie się od reszty tego narodu, obojętnie, co byście o sobie myśleli. To będzie, co by nie mówić, prawdziwy cyrk.

- Mamy skakać przez płonące koła? Tresować pudle? Żonglować?

- Nie. Wy będziecie rzucać nożem do celu. Umiecie to jak nikt inny, prawda?

- A reszta?

- Cóż - Singer odwrócił się do Melkiadesa - pokażcie, co umiecie, towarzyszu.

Cygan zdjął kurtkę mundurową i brudną podkoszulkę. Opasał się grubym łańcuchem, który zaczepił na stalowym haku, pod który włożył złożoną i bardzo brudną chusteczkę. Przykląkł i powoli napiął mięśnie. Na czole wyszły mu żyły, a całe ciało stało się lśniące od potu. Pod smagłą skórą zwinęły się gruzły muskułów, a spod haka wypłynęła strużka krwi. Melkiades krzyknął i łańcuch pękł, uderzając dźwięcznie o ziemię.

- Był podpiłowany? - niepewnie spytał Rem.

- Nie - powiedział poważnie Singer. - Melkiades przed wojną pokazywał takie sztuczki na jarmarkach. Rwał też lejce, łamał podkowy i wywracał byki. Wygląda chudziutko, ale jest twardy. Jakby go ktoś z drewna wyciosał.

- Widziałem, a von Horn? Będzie chodził z bębenkiem i trąbką?

- Zgadliście bez pudła, ale robi coś jeszcze. Pokażesz mu, Sigismundzie?

- Szlomo.

- Ach, prawda... Szlomo. - Singer dał mu talię kart.

Von Horn przetasował je i podał Sosnkowskiemu.

- Proszę przetasować - mruknął - i wybrać jedną. Nie mówić, którą.

Rem przerzucił karty i wybrał dziewiątkę serce. Potem włożył ją w talię i spojrzał wyczekującą na von Horna. Niemiec bez wahania podszedł do niego, szybko przejrzał talię i podał mu dziewiątkę serce.

- To jakiś szwindel - warknął Rem.

- Zapomnieliście dodać: żydowski - ze złośliwym uśmiechem mruknął Singer. - Wszyscy tak reagują. Towarzysze z NKWD chcieli jego zdolności wykorzystać operacyjnie, ale Sigismund...

- Szlomo - przebił go von Horn.

- Szlomo - poprawił się Singer - jest zbyt rozmarzony, by być dobrym szpiegiem. On aby wiersze czyta, coś w notatniku pisze, rozczarowując przy tym co czujniejszych towarzyszy, bo to jakieś ulotne opisy albo rymowanki... Szpiega się z niego zrobić nie dało, ale karty zgadywać czy pokazać, w którym kubku schowany orzeszek umie... Czuje ludzkie uczucia i myśli... Nigdy się nie myli, choć nie umie wyjaśnić, jak to robi.

- Naprawdę nie wie pan? - Rem zwrócił się do Niemca.

- Nie - jego senne, rozmarzone oczy nabrały dziwnego blasku, gdy mówił do Sosnkowskiego. - To przychodzi samo. Jak życie... Jak śmierć.

Melkiades splunął nad lewym ramieniem i ukradkiem się przeżegnał.

Zeznanie więźnia Konzentrationslager Auschwitz Birkenau, Lejby Kohne, z zawodu krawca, urodzonego z matki - Salomei Goldfassel w lutym 1905 roku, złożone w obecności porucznika Armii Czerwonej, Jurija Semiczastnego i protokolanta, Wasyla Lipschytz.

W grudniu 1943 roku stałem koło Aarona Stallmana podczas apelu w Auschwitz, kiedy Amon Goeth po raz pierwszy pokazał nas doktoru von Treppf. Stali my w drewnianych chodakach w bloku strasznym, zimno było, jakby w psiarni duło. Przed szeregiem

przejechali konno Goeth i doktór Treppf. Oba w długich, skórkowych płaszczach, musi wartości z dwieście marek kaźden... Goeth był pijany, ale Treppf był trzeźwy jak Schweine. Chudy, jak - nie przymierzając Żyd - ino oczy miał jasne, jaśniutkie, choby staw w wiosennym słońcu. Te oczy mu się świeciły, choć miał czapkę z trupią głową naciągniętą nisko na czoło, że ledwie mu brwi było widać. Treppf zatrzymał konia przed nami, zatańczył nim, okręcił się choby bąk. Wygiął szpicrutę w rękę i podjechał k'nam. Zatrzymał się nad Aaronem, któren patrzył na niego jak na oblubienicę z cedrami Libanu. Wer bist du, Jude?, wrzasnął.

Heftling Nummer zwo-drei-vier-fünf-nul-eins-, wydukał Aaron, a oczy miał jakby widział nadejście Mesjasza.

Treppf uspokoił konia i pochylił się nad Aaronem.

Zgłoście się do blokowego, powiedział po polsku. Sagen sie ihm... że Leutnant von Treppf chce was mieć u siebie. Verstanden?

Kwatermistrz Stańko zapalił papierosa i raz jeszcze sprawdził przygotowaną dzień wcześniej listę.

- Towarzyszu Chwedczuk - zameldował - wszystko gotowe. Ino, nie wiem, jak się pisze grupa specjalnego oboznaczenia... przez „u” czy przez „ó”, znaczy się, z kreską czy bez?

- Piszcie „drużyna”.

- Przez jakie „ż”, towarzyszu?

- Pies was jebał! - warknął Chwedczuk. - Z tak burżuazyjnym podejściem do roboty operacyjnej daleko nie zajdziecie! Napiszcie ...urwa, pluton specjalny, zrozumiano?

- Ale to nie pluton, towarzyszu... - zaczął mówić Stańko, ale zamilkł na widok ściągających się brwi Chwedczuka.

Podeszli do niego Melkiades, Singer i von Horn. Za nimi w milczeniu stał Sosnkowski.

Wszyscy pobrali broń, plecaki z ubraniami, pieniądze i pakiety z opatrunkami polowymi.

Na paki motocykli władowano kanistry z benzyną, worki mąki, fasoli i bańki z oliwą. Stańko wszystko odhaczał na swojej liście. Gdy wydał wszystko, zrobił pod spisem zamaszystą linię.

- Kiedy wróca, trza będzie zrobić spis wydanych rzeczy z

natury - zwrócił się do Chwedczuka - wtedy będzie wiadomo, co zostało zużyte, a co wciąż jest. To się nazywa ekonomia.

Chwedczuk wypluł niedopałek i wdeptał go w śmierdzące końskim łajnem błoto.

- Możecie cały ten spis od razu wykontować - mruknął cicho. - Oni nie wrócą.

Jechali w padającym deszczu ze śniegiem. Pod wieczór zatrzymali się w zakolu rzeki. Po jednej stronie chwiał się mokry, granatowo-zielony las, po drugiej czerniały ruiny spalonego browaru z resztką napisu: *...glass& von B..ow.ecki. Sp..ka.*

Naznosili chrustu z lasu i rozpalili ognisko w osłoniętej przez ścianę browaru kotlinie.

Melkiades wydobył z motocyklowych pak szerniąłą patelnię, worek mąki i flaszkę oliwy z napisem *Olio di oliva*¹³ i upiekł podpłomyki. Otworzyli do nich mielonkę, która pocięta bagnetem Sosnkowskiego wylądowała na rozklepanej na płask wielkiej puszcze z wytrawionym napisem: *Gurken*¹⁴. Gdy zjedli, Melkiades z juków wyciągnął flaszkę z mętną zawartością i rozlał ją do blaszanych kubków.

- Jak ty to robisz - zwrócił się Rem do von Horna - że jesz świninę, choć się Żydem mienisz?

- Może trzeba mu przetłumaczyć na jidysz? - zatroszczył się zniecierpliwiona Melkiades.

- Nie trzeba - ciut podniesionym głosem warknął von Horn. - *Der Jude...* jest w nas, nawet gdy jemy *Schweinefleisch*¹⁵. Bo wszystko, kim jesteśmy jest w nas, a nie w tym, co robimy. Rozumiecie?

- Nie do końca - Rem dopił spirytus i podstawił kubek Melkiadesowi.

- Niemcy zabijali Żydów - zaczął von Horn - ale nie ja! Mimo to, ktoś musi przyznać, że to co się stało było zbrodnią... Wprawdzie moja matka była Ślązaczką, ale ojciec był Niemcem, a za każdy grzech musi być pokuta, choćby synowie musieli pokutować za ojców, nie tak?

- Tak - nieco niepewnie poświadczył Melkiades. Po chwili

zastanowienia dodał cicho: - Nie każdy grzech, to grzech...

- Dlatego jestem teraz Żydem - zakończył Horn i zapalił papierosa.

Zapadła cisza. Melkiades wyjął kozik i zaczął pracować wycinając z kawałka brzozy coś na czterech, dziwnie rozstawionych łapach.

- To jaszczurka? - zainteresował się Sosnkowski.

- Konik - ze złością odpowiedział Melkiades. - Wy Polacy nie możecie zrozumieć duszy Cygana.

- Dlatego, że skrobie konie wyglądające jak gady?

- Dlatego, że nie macie wrażliwości. Ani na muzykę, ani na innych.

Rem wzruszył ramionami.

- Przez stulecia pozwalaliśmy innym żyć w tym kraju - powiedział cicho. - Przyjechaliście do nas, a my pozwoliliśmy wam żyć z nami. Przyjęliśmy też Żydów, choć w całej Europie byli znienawidzeni.

- Szczególną miłością ich nie darzyliście - zauważył von Horn.

- Ich?

- Nas, chciałem powiedzieć... Cyganów chyba też nie za bardzo, nie? Sama nazwa chyba nieco mówi o stosunku do nich - tak mi przynajmniej podpowiada mój śląski rozsądek.

- Ty mógłbyś się Sigismund zdecydować, czy jesteś niemieckim Ślązakiem czy Żydem - przerwał mu Melkiades. - Bo się już gubię.

- Szlomo - warknął von Horn. - Jestem Żydem, bo przyjąłem judaizm. Nie ma znaczenia, kim byli moi rodzice - nalał do menażek spirytusu. Gdy wypili, Melkiades stłumił czknięcie wydechem policzków.

- Źle wybrałeś - powiedział autorytatywnie. - My, Romowie jesteśmy wdzięczniejszym tematem pokuty. A tak samo nas i Niemcy, i Polacy nie lubią. Żydzi ani śpiewać, ani się bawić nie umią. Byle tylko pieniądz liczyć...

- Mylisz się - von Horn rozlał powtórnie alkohol, a potem poszedł do motocykla i wrócił z gitarą. Usiadł wygodnie, uderzył kilka razy w struny i zaśpiewał:

*Tsen brider zenen mirgevezn,
Hobn mir gehandelt in vayn.
Zenen ayns fun undz geshtorbn,
Zenen mir geblibn nayn.
Nayn brider zenen mirgevezn,
Hobn mir gehandelt infracht.
Zenen aynsfun uns geshtorbn,
Zenen mir geblibn akht...¹⁶*

- Ee, to żadna muzyka - skrzywił się Melkiades. - Żydzi nie umieją muzykować. Posłuchaj tego - wyjął z rąk Horna gitarę, uderzył w struny i zaśpiewał:

*Aj odoj roma, roma terde
E bach bań e bacht roden
Kaj tut te rodeł
Bacht tu jamari
Sykaw o drom baro
Drom amenge
Dam dań dam dari dam...¹⁷*

Jego głos niósł się po pokrytej mgłą rzece. Ginał w lesie, który chwiał się w bladobłękitnym księżycu.

Daleko, gdzieś za wypełnionymi burą chmurą łąkami za linią lasu słyhać było ujadanie psów.

Zeżnanie więźniarki Auschwitz-Birkenau, Salme Rottenberg, w dniu 12.09.1945 roku, w obecności świadków: felczera, porucznika Bogusława Hryniewicza oraz siostry Czerwonego Krzyża, Adelajdy Mikowskiej:

Wraz z siostrą moją, Andą, przyjechałyśmy w lipcu 1943 roku do Auschwitz. Na rampie udało się nam pozostać razem i nawet trafiłyśmy do tego samego baraku. W dwa dni potem, w czasie apelu podjechał do naszego szeregu doktor von Treppf. Najpierw galopował wzdłuż ogrodzenia, a potem zatrzymał spoconego konia

przed nami. Przyglądał się chwilę nam, a potem bez słowa wskazał Andę, która miała od przyjazdu biegunkę.

Kapo wyciągnął ją z szeregu. Treppf kazał mu przyprowadzić ją do baraku przeznaczanego dla jego badań. Wszyscy w obozie mówili, że Schwarze Engel, znaczy von Treppf, w tym baraku ludzi morduje, ale nikt nie wiedział nic pewnego, bo nie wolno było się z nikim z tego baraku kontaktować. Przypadłam do konia von Treppfa i prosiłam, by nie rozłączał mnie z siostrą. Patrzył na mnie nieruchomo, a potem powiedział po polsku: „Będiesz żałować”.

Zaprowadzili nas do baraku, który różnił się od pozostałych baraków tym, że zamiast piętrowych prycz, łóżka stały za zrobionymi z dykty przepierzeniami, dzięki temu spałyśmy wszystkie jakby w maleńkich pokoikach z osobnym wejściem. W każdym takim pokoju było łóżko zbite z desek, miska na drucianym stelażu i ręcznik.

Na początku nie rozumiałam, dlaczego tak o nas dba. Ale szybko pojęłam. Już drugiego dnia pojawił się na inspekcji. Stanął przede mną. Smagał się palcatem po cholewie buta. Masz się dziś dokładnie umyć, powiedział. Rozumiesz?

Przyszedł wieczorem. Przesunął mnie na kant łóżka. Zadarł spódnice i bez słowa sprawdził palcami, czy jestem śliska...

...Uwaga świadka Adelajdy Mikowskiej, by zeznająca Salme Rottenberg powstrzymała się od obscenicznego opisu, została przyjęta. Zeznająca Salma Rottenberg dodała, że w trzy dni potem, jej siostra była już w agonialnym stanie z powodu tyfusu, von Treppf kazał ją przenieść do swojego gabinetu, gdzie położono umierającą na blaszanym łóżku z otworem ściekowym w dolnej, obniżonej części. Łóżko to stało na czułej wadze, którą regulował sam Treppf. Pozwolił jej zostać przy siostrze. Cekał na coś, wpatrując się cały czas we wskazania swojej wagi. Po godzinie, wyraźnie znudzony, zrobił zastrzyk Andzie. Na pytanie Salme, odparł, że to jej definitywnie pomoże, a on będzie mógł się wyspać. Po kilku minutach Anda wyprężyła się. Jej twarz szerniała, chwilę oddychała ciężko, a potem zeszywniała. Von Treppf przypadł do wskazówki wagi i zapisał wynik. Był wyraźnie ucieszony. Dwadzieścia jeden gramów, powiedział cicho. Gdy zapłakana

Salme spytała, o co mu chodzi, odparł, że semicki umysł nie pojmie tego, choć liczyć na pewno umie...

Wjechali do wsi, warkocząc silnikami. Przemknęli wzdłuż pozamykanych chałup aż do małego placu przy kościele. Zatrzymali się przy drewnianym płocie okalającym cmentarz graniczący z dzwonnica. Zsiedli z motocykli. Melkiades zapalił papierosa i podszedł do porośniętego jadowicie zielonym porostem ogrodzenia, na którym wisiała zapisana ręcznie kartka przybita do belki, na której ktoś zawiesił zdjętego z jakiegoś krzyża żeliwnego Chrystusa. Ukrzyżowany wisiał odwrócony głową w dół, a pod nim stała wypalona świeca i leżał zasuszony wianek.

Od roku - zaczął czytać Melkiades - gnębiona przez najeźdźców bolszewickich i przekłete żydostwo cierpi w kajdanach nasza ukochana Ojczyzna. Na terenie powiatu naszego grasują pluskwy żydowskie i opryszki ze służby bezpieczeństwa publicznego. Skierowali swą pracę w ślady gestapo niemieckiego. Tortury zadawane naszym braciom wołają o pomstę do nieba. Żyjecie pod ciosami bagnetów opryszków komuny. Doznaliście przemocy od tymczasowego rządu i doznacie od nowo wybranych, na czele których zajął kierownicze stanowisko ten sam Bierut (Bernstein), którego zrodziła parszywa Żydówka.

- Hem - odchrząknął - chyba trzeba nam się stąd brać, co kapitanie? Jak zobaczą pejsy Sigismunda-Szlomo, może nam być gorze...

Zanim Sosnkowski zdążył potwierdzić, z kościoła buchnął śpiew:

*Sławna Matko Zbawiciela,
Rodzico Odkupiciela,
Gwiazdo morza głębokiego,
Racz się ująć świata mdłego.
Natura się zadumiała,
Gdyś w łonie Twym pozwoliła
Na anielskie pozdrowienie*

*Syna Bożego wcielenie.
Tyś poczęła, porodziła,
Lecz jakoś wpierw panną była,
Panną zostaniesz na wieki,
Przyczyn się za nas grzeszniki*

Potem coś wewnątrz huknęło, ktoś zakwilił zajęczo. Głosy uniosły się i spadły do warknięć podnieconego stada.

Huknęły odrzwia i na plac wypadł tłum chłopów. Spośród nich wytoczył się chudy mężczyzna w ciemnej marynarce i koszuli z koloratką. Następny kopniak rzucił go w rozjeżdżone kołami błoto. Gdy wstawał, dopadło go kilku chłopów w marynarkach narzuconych na robione ręcznie swetry. Zaczęli go bić kułakami, a potem znów rzucili w uliczny gnój.

- Myślicie, że to gniew ludu obrócony przeciw katolickim oszustom? - spytał Melkiades. - Początki rewolucji?

- Raczej jakaś wiejska draka - zaryzykował von Horn. - Polski chłop księży chyba nie biją, co?

Chudy w koloratce poderwał się na nogi i z nieoczekiwaną energią pognął do wozów wyprawy. Modlitewnie wznosząc ręce przyłgnał do wysokich butów Sosnkowskiego.

- Panowie, ratujcie! - zaskowyczał. - Oni mię zabiją!

Miał szczupłą twarz, pokrytą kilkudniowym zarostem. Pod oczami ciemniły się żółtawe sińce. Chłoptwo za nim zawahało się przez chwilę. Coś poszeptali między sobą, ale po chwili tłum przysunął się do zaparkowanych motocykli.

Na czele szło czterech uzbrojonych mężczyzn w mundurach. Na czapkach mieli orzełki z koroną.

Zatrzymali się i mrużąc oczy przeczytali kolorowe napisy na płóciennych burtach.

- Nie odzywaj się! - syknął Rem do Melkiadesa. - Biorę to na siebie!

Uzbrojona czwórka podeszła do nich. Mieli szerokie, chłopskie twarze, niepasujące do naszytych na pagonach oficerskich dystynkcji.

- Czołem panom! - wykrztusił Rem.

- My nie czołem z byle wołem - splunął jeden z nich o twarzy wsiowego idioty. Rem stężał, ale Melkiades złapał go za łokieć.

- Myśmy tylko przejazdem - uniżenie wyjęczał Melkiades. - Ale zaraz wyjeżdżamy, bo tu, widzimy, święto jakoweś.

- Ślubowanie tu mamy, Cyganie - przebił go ten z twarzą kretyna. - Ale wam, linoskokom tego nie zrozumieć.

- No tak - wychrypiał Sosnkowski. - Gdzieżby nam do wyżyn myślowych oficerów...

- Co tam pierdolisz, linoskoku?

- Nie jestem linoskokiem! - wysyczał Rem. - Zresztą, gdzie ty tu chłopku jakąś linę widzisz?

- To kim jesteś, pajacu?

- Nic ci do tego, kmiecie! - warknął Rem, ale zanim partyzant zdążył zareagować, odchyliło się płótno nad burtą motocykla i przecierając zaspane oczy, wyskoczył von Horn. Zafurkotały jego jasne pejsy, a na dodatek wyjął z kieszeni swoją wyszywaną jarmużkę i nasadził na głowę. Melkiades cicho jęknął.

- My tu podeszli względem tego Żydka, co się u was pomocy dopraszał - powiedział chrapliwie jeden z umundurowanych, przyglądając się z niedowierzaniem Hornowi. - Nie będziecie chyba nam z powodu takiego syna życia utrudniać?

- Za grzecznie z nimi rządzą, kumie! - przerwał mu ten z twarzą genetycznie skażoną kretynizmem. - To takie same Żydy, Wojciechu, jako i ten, cośmy go wspólnie wykryli. Przeżyło to draństwo i znów się jak robactwo mnożyć pocznie. Jak ksiądz Henryk powiadał: a ono wydając na świat potworki.

- Coś niecoś na temat potworków, jak widzę, zbyt wolny w myśleniu kmieciu, wiecie - wysyczał Rem. Zmrużone oczy miał wbite we własne buty. Z boku szczęki zagrały mu żwacze.

- Jak mówisz do mnie, Żydku, to mów panie majorze!

- Majorze? Czemu nie pułkowniku? Albo marszałku? Nie za dużo modestii, kmiotku?

- Co to ta modestyja, Wojciechu? - kretyn wyraźnie się stropił.

- My tu, panie linoskok, nie gotowim do zwady względem modestii - pojednawczo powiedział starszy kolega kretyna. - Ino względem tego Żydka, co się oszukańczo ksiendzem mienił...

- A skąd wiecie, że to Żyd, a nie ksiądz? - zawarczał Rem. - Jak ich rozpoznajecie, skoro obie te kategorie do roboty się nie garną, za to mówić pięknie i długo potrafią?

- A widzieliście księdza, co by się przeżegnać nie umiał? - przyszpilił go pytaniem starszy partyzant. - A ten tam, jak go zgarnęliśmy w karczmie, w kościele nie wiedział nawet, że trza kapelusz zdjąć. Szpieg ci to jest, Żyd i komunista!

- Łgarstwo! - zakrzyczał zza wozu rzekomy ksiądz. - Komunista nie jestem. Tak mi dopomóż Bóg!

- No i to wyjaśnia wszystko. Bierzcie go sobie, dobrzy ludzie - próbował mitygować Melkiades. - Nam nic do tego...

- Mnie nie spytałeś, Cyganie! - wychrypiał Rem.

- A wy macie co do tego? - poprawił błąd Melkiadesa stary chłop w mundurze.

- A i owszem - ze wzrokiem wciąż wbitym przed siebie wykrztusił Sosnkowski. - Idźcie precz, kmiecie, bo nie przywykłem do tego, by mi byle chłopiek kradzionym stopniem oficerskim w oczy świecił! Idźcie więc, dobrzy ludzie, w chuj! A Żyd, do moich butów przypadł, to i mój ci on!

- Tuś się chyba zapędził? - niepewnie mruknął Melkiades.

- A ty mi tu, jaśnie pana nie graj! - włączył się do rozmowy chłop, który się poprzednio majorem mianował. - Boś Żyd, jak i reszta!

- Chłopcze, nie mieszaj się do rozmów - z wysiłkiem powiedziała Rem - boś jeno do robót polowych nawykły, jak na przykład do rozwożenia gnoju i dojenia kóz... Więc, idź w diabły, kmiotku, żebym ci kradzionego stopnia i judejskiej obelgi w gardło nie wtłoczył!

- Haa! - zakrzyczał wiejski major - kanalia ci to jest i szpion! Widzieliście, Wojciechu, iżby Żydek tak zuchwale przemawiał?

- Zdemaskowałeś mnie, chamie! - wypluł z siebie Sosnkowski. Był błydy a dłonie zaciskał i rozluźniał na przemian. - Do budy! Już!

- Ależ, dobrzy ludzie - wciąż uspokajał Melkiades - bierzcie sobie tego oszusta, a my ruszymy przed się! Przecież człowiek z człowiekiem się dogada, nie? - nerwowo ruszał przy tym węsami.

Nikt mu nie odpowiedział, bo major - kretyn znienacka złapał Rema za kark i wrzasnął:

- Bić ich chłopy! Masony są to, a Żydy przeklęte!!

Wojciech, wciąż dziwnie milczący sięgnął do pasa, gdzie wisiała skórzana kabura. Nie zdążył wyjąć broni, bo stojący z boku Melkiades siepnął go przez siwy łeb wyciągniętą z kieszeni plecionką z ołowianą końcówką. Sosnkowski złapał szorstką, chłopską łapę, wykręcił ją w nadgarstku i z całej siły kopnął mianującego się majorem idiotę w krocze. Chłopiek zwinął się jak szmata. Jego dwóch kolegów sięgnęło do pasów, ale von Horn szybkim ruchem wyjął zza płótna burty pepeszę.

- Precz! - zapiał - chamskie mordy! Won!

Dwóch mundurowych znieruchomiało. Tłum kmieci za nimi achnął i zamarł.

- Rzućcie broń! - von Horn potrząsnął głową, fantazyjnie odrzucając blond pejsy. - Albo pójdziecie do chłopskiego raję, by wiecznie siwuchę żłopać a dziewczki macać!

- Nie mów im tak! - z wyrzutem w głosie mruknął Rem. - Bo gotowi naprawdę spróbować szczęścia...

Obaj żołnierze wykazali jednak zdrowy, parobczacki rozsądek, gdyż zdjęli przerzucone przez plecy karabiny i rzucili je w błoto.



- I po tym właśnie poznasz chama - mruknął Rem. - Za nic szacunku do obowiązku i broni... A jak wrzaśniesz na niego, ogon podkuli.

- Nieważne! - przebił go Melkiades. - Idźcie, dobrzy ludzie, w piździec, ino zabierzcie swoich majorów i marszałków - kucnął i wyjął zza pasów leżących pistolety. - I nie żywcie do nas urazy,

bośmy was przed srogą zemstą ludowej sprawiedliwości uchronili! Teraz, jak UB przyjdzie, to broni mieć nie będziecie, więc do łagru was nie pognają... Znaczy, wdzięczni nam być winniście!

- Zręcznie żeś im to wywiódł - mruknął Sosnkowski.

- Siednij na motor - półgębkiem powiedział Melkiades - i zbierajmy się stąd, zanim chłopki się w sobie zbiorą i policzą, ilu ich, a ilu nas!

- Mogą liczyć do dnia Sądu, w rękach tysiąca takich kundli mężczyzna wciąż jest bezpieczny...

- A kogo masz na myśli? - niewinnie spytał Melkiades. - Bo nas jest trzech. Plus ten Semita za wozem. Sosnkowski wzruszył ramionami i wgramolił się na siodełko swojego BMW.

Trzymając znieruchomiały tłum na muszce, von Horn wsiadł na motocykl. Melkiades, który już zdążył odbezpieczyć pistolet zabrany oficerom z awansu społecznego, siadł z tyłu paki, a Rem kopnął starter.

Odpalili silniki.

- Powiedźcie tym chamom, że mieli szczęście - krzyknął przekrzykując jazgot odpalanych silników. - Mogliśmy zabić!

- Noo, to rzeczywiście wielkoduszność - mruknął Melkiades, a Horn, wierny śląskiemu rozsądkowi dodał: - Ale powiedźcie im to, jak oprzytomnieją!

Z rykiem motorów wyjechali z wioski.

Zostawili za sobą kryte gontem dachy. Wjechali na piaszczystą, rozjeżdżoną drogę, gdzie zwolnili.

Gdy Rem sięgnął do paki po samochodowe gogle, bo schnący już od słońca piach wzbijał się spod kół, dotknął dłonią czyjejs nogi.

- Szanowny pan pozwoli - powiedział uchylając nie wiadomo skąd wziętego melonika mężczyzna w koloratce - Baruch Gebert...

Zawsze w chwili śmierci ciało umierającego robi się lżejsze o dwadzieścia jeden gramów. To stała wartość. Bez względu na wagę i wysokość denata. Także wykształcenie, płeć i status społeczny nie

mają wpływu na utratę wagi po zgonie. Każdy człowiek traci dokładnie dwadzieścia jeden gramów. Constans. Niedający się wytłumaczyć utratą powietrza w płucach lub odwodnieniem. Zatem coś uchodzi z naszego ciała. Coś, co ma tę samą wagę dla wszystkich. Coś, co występuje i u kanalii, i u świętego.

Skoro nie da się wytłumaczyć utratą płynu lub powietrza w płucach, to co pozostaje? Dusza? Czy zatem coś duchowego może mieć wagę? Czy Bóg, tchnąc w nas iskrę Bożą, dał nam jednak coś materialnego, coś, co odchodząc zostawia ślad na czułych wagach? Czy energia może ważyć?

A jednak tracą zawsze dwadzieścia jeden gramów. A wszystkie religie i mitologie świata mówią o duszy - duchowej strukturze człowieka, która opuszcza materialne ciało w chwili zgonu. Oczywiście, wyobrażenia na ten temat zmieniają się wraz z kulturą i językiem umierającego, ale zawsze, pod każdą szerokością geograficzną, ludzie są przekonani, że coś w nich nie umiera wraz z ciałem, lecz trwa. Postać duchowa przechowywać ma to, co w człowieku najcenniejsze - osobowość. To, czym jesteśmy, ma żyć dalej, choć pozbawione atrybutów cielesności.

A jeśli te fakty da się połączyć? Jeżeli skłonność ludzkich zwierząt do wiary w duchowy charakter człowieczeństwa oraz fizjologiczna ciekawostka w postaci zmniejszania się wagi zdychających o dwadzieścia jeden gramów mają wspólny mianownik?

Być może coś w nas istnieje jedynie w luźnym połączeniu z ciałem. Może jesteśmy tylko podróżnikami w pustym wszechświecie, przesiadającymi się z istnienia w istnienie?

Zatrzymali się na skraju brzoźowego zagajnika. Pnie drzew były ponacinane w litery „V”, pod którymi podczepiono drewniane kobiałki, w których zbierał się sok budzących się na wiosnę drzew. Było zimno, ale niebo zrobiło się błękitno-pomarańczowe, a las stracił burą barwę.

- Idzie wiosna - powiedział wężąc Melkiades. - Już tu jest, choć ciągle zimnem po krzyżach wieje.

- Zimy stały się dłuższe, od kiedy Armia Czerwona przesunęła się na zachód - zauważył von Horn. - Nadchodzi nowe

złodowacenie. Wszystko będzie zimne. Nawet wojna.

- Ty się lepiej zajmij swoimi rojeniami - parsknął Melkiades, a wąsy nastroszyły się mu wojowniczo. - Przez ciebie o mało co nie zginęliśmy, a ty pieprzysz o chłodnych wojnach!

- Dzięki mnie możecie sobie zapisać w rejestr dobry uczynek - odpowiedział z godnością von Horn. - Uratowaliśmy przed pogromem syna skrzywdzonego narodu...

- Nie syna skrzywdzonego narodu - przerwał mu Melkiades - tylko jakiegoś hochsztaplera i cwaniaczka! Przez taką mendę o mało co nie zginęliśmy! Nie po to przeżyłem wojnę, żeby teraz paść z rąk jakichś ogłupiałych chłopków!

- Wszystko przez Rema! - zaprotestował von Horn. - Gdyby nie jego pańskie fochy, wszystko mogło się skończyć spokojnie!

- To znaczy, że chłopki mogły spokojnie powiesić tego Żydka? - przerwał mu Melkiades. - Ponoć chcesz pokutować za winy wobec tego narodu??

- Sam powiedziałeś, że to oszust - z nieoczekiwaną skruchą w głosie powiedział von Horn. - A nowy, wspaniały świat nie potrzebuje ani burżujów, ani cwaniaczków...

- Nawet żydowskich cwaniaczków? - Melkiades był bezlitosny.

- Panowie pozwolą, że się przedstawię - mężczyzna w meloniku poprawił kusy paltocik i wyprostował brudną koloratkę - Baruch Gebert, przyszły feldkurat Wojska Polskiego.

- Proszę? - z niedowierzaniem w głosie włączył się do rozmowy Sosnkowski. - Co chcesz pan powiedzieć? Jaki przyszły feldkurat? Chyba masz pan na myśli rabego? Chcesz pan zastąpić pułkownika Kahane?

- Przyszły, bo nie terazniejszy - wyjaśnił z godnością Gebert. Twarz miał pełną godności i skupienia.

- Tu masz rację, rybeńko - słodko zgodził się von Horn. - Grunt to poprawna logika wypowiedzi, ale kapitan Sosnkowski chciałby pewnie wyjaśnienia, jakim cudem wiesz pan, że będziesz feldkuratem Wojska Polskiego? Jesteś pan wróżką?

- Nie - Gebert zachował zimną krew. - Wróżką nie jestem, ale mam kuzyna, Chaima.

- Acha. To cudownie. Ogromnie lubię takie życiowe historie.

Zwłaszcza z dobrym zakończeniem - von Horn zachował spokój. - Ale co to ma wspólnego z byciem feldkuratatem?

- Chaim od roku jest feldkuratatem - wyjaśnił Gebert. - To i mnie może załatwić tę fuchę!

- No tak - Rem odetchnął głęboko, cicho licząc do dziesięciu. - To się samo przez się rozumie, że Chaim może pomóc w tym geszefcie, ale jesteś pan katolikiem?

- Rzymskim katolikiem, ma się rozumieć - Melkiades wyraźnie lubił precyzję.

- Dotąd nie - jakoś niepewnie powiedział Gebert - ale to się przecież da załatwić?

- Pewnie tak - zgodził się Rem - ale co nieco warto by wiedzieć na ten temat, nie?

- Panowie każecie mi się przeżegnać, jak te głupie chamy ze wsi? - zaniepokoił się Gebert.

- Nie aż tak - wymruczał jakoś niepewnie von Horn - ale ja też rad bym wiedzieć, jak można zostać feldkuratatem, nie umiejąc nawet takiego drobiazgu? Wielkodusznie pomijam kwestię trójjedyności, zmartwychwstania ciał i dziewictwa Maryi Panny po narodzeniu Mesjasza...

- Oszczędzaj go - poradził Melkiades. - On gotów zrezygnować z katolickiego geszefu zanim go zaczął.

- Mam delikatny rozum - wyjaśnił Gebert - niejedno już w życiu robiłem, zatem będę umiał nauczyć się niejednego. Już w Warszawie jeden znajomy uczył mnie, jak się przeżegnać. Nazwał to mnemotechniką.

- Brzmi ciekawie - zainteresował się von Horn. - Na czym rzecz polegała?

- Trzeba zapamiętać kierunki ruchu ręki - wyjaśnił z zawodowym spokojem Gebert. - Sprawdzić okulary, jaja, portfel...

- Jak on nie skończy, to ja za niego skończę! - zachnął się Rem, ale Gebert nie dał się zbić z pantałyku.

- Krótko mówiąc, gdyby nie strach wywołany nieoczekiwanym nagromadzeniem stanu kmiecego wokół mnie, dałbym sobie radę. Jestem bowiem zdolny i łatwo adaptuję się do warunków - mówił szybko - ...Sądzę więc, że nie będziecie mieli nic

naprzeciwno, bym dołączył do kompanii? Widzę bowiem, że panowie własny geszefcik, zwany cyrkiem, macie... A ja mógłbym się przydać...

- To znaczy, że pomysł bycia feldkuratem już się przejadł?

- Lepiej mieć dziesięć pomysłów, niż żadnego - wyjaśnił z godnością Gebert. - A ja naprawdę znam się na tej robocie. Z przeżegnaniem się mam wciąż kłopoty, mimo mnemotechniki, ale umiem robić... o takie rzeczy...

Podszedł do von Horna. Ukłonił się. Zajrzał mu w oczy i pstryknął palcami przed twarzą. Potem przemaszerował do Sosnkowskiego, który przyglądał się zmrużonymi oczami. Przed Remem stanął na baczność i wyrecytował:

Kto ty jesteś?

Polak mały.

Jaki znak twój?

Orzeł biały.

Skąd ty jesteś?

Z polskiej ziemi.

Gdzie ty mieszkasz?

Między swemi...¹⁸

- Ja mu zaraz przypierdolę! - zawarczał Rem, ale zanim zdążył wprowadzić groźbę w czyn, Gebert i przed jego twarzą pstryknął palcami i szybciotko wycofał się na bezpieczną odległość, bojaźliwie spoglądając na zaciśnięte pięści Sosnkowskiego.

- To już? - upewnił się Melkiades. - Chyba raczej powinienes pan zostać tym księdzem... Tylko musiałybyś się pan nauczyć prowokacyjnie machać kadzidłem i przyuczyć się chodzić w czarnych, niemodnych spódnicach... To taki sam cud, jak ten tutaj.

- Niczego panom nie brakuje? - słodkim głosem spytał Gebert i na wyciągniętej dłoni pokazał dwa lśniące zegarki.

- O żeż ty! - wyrwało się von Hornowi.

- Zwracam honor - powiedział poważnie Melkiades. - Pan nam się przydasz, o ile podpiszesz pan takie małe zobowiązanie...

- Podpiszę wszystko - żarliwie zapewnił go Gebert. - Chcę tylko przeżyć, trochę dorobić i dojechać bezpiecznie do Chaima.

- To dobra motywacja - przez zaciśnięte zęby mruknął Sosnkowski. - Pogadaj pan z Melkiadesem i jeśli się porozumiecie, zapraszamy do kompanii.

- Ale najpierw - przerwał mu von Horn - poproszę o zwrot zegarka. To pamiątka po ojcu.

Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, stałem w szeregu przed barakiem. Od tygodnia miałem biegunkę. Srałem krwią i nieprzetrawioną brukwią, a brzuch był odęty, jak balon wypełniony fermentującym brudem. Mdliło mnie. Śmierdziałem potem i kałem. Więc inni więźniowie, choć impregnowani własnym brudem, starali się trzymać ode mnie z daleka. Tyłek miałem zdarty do krwi, a wewnątrz ud sklezione wyciekającym ze mnie śluzem.

Von Treppf przejechał wzdłuż szeregu na ciemnym, lśniącem koniu. Miał na sobie czarny, zaprasowany mundur, na otoku lśniła srebrna czaszka. Był jasnowłosy. Piękny i czysty. Gdy we wrażliwe nozdrza uderzył nasz odór, zmarszczył się lekko.

Był wszystkim tym, czym ja nie byłem. I nie chodzi tylko o to, że stałem przed nim upapwany własnym gównem. Sprowadzony do roli zaobrączkowanego zwierzęcia. Nawet posiadana przez niego władza nad moim życiem była bez znaczenia.

On był zawsze lepszy. Nawet, gdybyśmy spotkali się w foyer teatralnym lub w sali wykładowej uniwersytetu, ja byłbym zawsze niepewny siebie, spocony pod pachami i obawiający się, że ktoś to poczuje. Jąkałbym się i rumienił przed kobietami. Ustępowałbym z drogi statecznym panom adwokatom z siwizną na skroniach i czujnym błyskiem w oczach. Rumieniłbym się, słysząc dowcipy na mój temat wygłaszane przez pieczystych, lecz smukłych oficerów w rogatywkach i wyglansowanych butach, a popchnięty przez jednego z nich przy wyjściu umiałbym tylko lęklonie przycisnąć się do ściany. Ja byłbym samotny, a tacy jak on, zawsze otoczeni wianuszkami wdzięcznie ku nim nachylonych kobiet. Im nigdy nie

brakowało słów, nie pocili się, nie odbijało im się czosnkiem i nie mieli rozwolnienia przed każdym egzaminem.

On nad tamtym tłumem półmózgów górowałby, ja natomiast miałem kłopoty z trawieniem i nie panowałem nad nerwowym chichotem.

Był czysty, suchy i nietykalny w swoim poczuciu wyższości.

Ja byłem jak Żyd Süß z Goebbelsowskiego filmu, on - żywcem wzięty z sagi o Nibelungach. I pomimo tej jarmarcznej oprawy, wiedziałem, że natura ze mnie zakpiła, że Nietzsche miał rację.

Należałem do opętanej resentymentem, nędznej, tchórzliwej rasy, którą rasa panów gnała nahajkami przez stulecia. Mogłem studiować na najlepszych uniwersytetach Europy, pisać wiersze, a nawet nauczyć się strzelać i jeździć konno, ale płową bestią zostać nie mogłem. Geny. Dziedzictwo setek pokoleń niewolników. Ciężar ich zgiętych grzbietów. To było moje dziedzictwo.

Za nim w mgle historii majaczyły dzikie szarże berserkerów, wdzięcznie wzniesione smocze dzioby statków, rozżarzone od słońca zbroje... Wola, która nie uznaje granic.

Za mną były tysiące lat getta, brudu, poniżenia i samopogardy. Należałem do rasy, która od tysięcy lat zginała grzbiety, by potem w przepoconej pościeli przewracać się w bezsenne noce, wdychając zapach własnego strachu i bździny wydzielanej przez skurczone ze strachu jelita.

I wtedy, mrużąc oczy poranione wschodzącym słońcem i trzymając histerycznym wysiłkiem woli wydęty brzuch, zrozumiałem, czego chcę.

Chciałem jego.

Chciałem być jemu podobny.

Pragnąłem być nim. Za wszelką cenę. Nawet płacąc za to moim nędznym życiem.

ROZDZIAŁ IV

Ogień lizał osmolony kociołek zawieszony na grubej gałęzi. Choć od ściany lasu wiało zimnem, wokół ogniska było ciepło, a Melkiades jak zwykle rozlał spirytus, nie pomijając Geberta, który przycupnął z boku, wcześniej wycyганиwszy od von Horna koc. Szybko więc Sigismund-Szlomo wyjął z za pleców gitarę i zaczął śpiewać:

*Lomir sich iberbetn, iberbetn,
wos schtejstu baj der tir?
Lomir sich iberbetn
kum arajn tsu mir¹⁹.*

Jednak, gdy próbował do śpiewu dołączyć Gebert, Melkiades zaczął znienacka grać na organkach, zaś gdy zaskoczony von Horn ucichł, Melkiades zaśpiewał:

*Dikaw dykchaw sinije
Oj, sinije romane
Daw gila e romenge
Te jawen one bachtale
Aj dam, oj dara dam...²⁰*

- Jak wy chcecie budować bezklasowe społeczeństwo? - mruknął Sosnkowski. - Skoro Cyganom nie podobają się nawet żydowskie piosenki?

- Prawdziwe żydowskie pieśni - zauważył w godnością von Horn - są po hebrajsku... To zaś jest jedynie szwargot w jidysz...

- Przecież sam je śpiewasz? - podnosząc brwi powiedział Rem.

- Bo nie znam hebrajskich - wyjaśnił z godnością Sigismund. - Ale gdy je poznam...

- Nie poznasz - przerwał mu Melkiades - bo naszą rolą nie jest patrzeć w tył, lecz w przód spoglądać, ku jutrzence wolności. Winienesz więc śpiewać aby pieśni ruchu robotniczego, do czynu zagrzewające...

- Jakie na przykład? - spytał zniecierpliwiony Gebert. Na jego twarzy znać było ożywienie. - Co się stanie, gdy wszyscy będą już je znać?

- Będzie kakofoniczna nuda - zauważył Rem, ale natychmiast wszedł mu w słowo Melkiades:

- Gdy zostawimy za sobą wypełnioną wyzyskiem i krwią przeszłość, wszyscy stworzymy czyste i wonne miasta, zamieszkałe przez produktywnych ludzi, wypełnionych wolą pracy na rzecz nowego świata...

Sosnkowski wstał, otulił się kocem i odetchnął głęboko. Rozluźnił zaciśnięte pięści i wysyczał:

- Możecie sobie śpiewać, co chcecie. W jidysz, po cygańsku czy po rosyjsku, ale jeśli zaczniecie przy mnie opowiadać, że wodę morską zamienicie w lemoniadę, to będę, kurwa, spał w krzakach!

- No dobrze - pojednawczo zaczął Melkiades - siadaj. Zapomniałem, że mamy wśród nas przedstawiciela międzynarodowej reakcji... Ale od teraz będę unikał pogadanek politycznych...

- To nie są, kurwa, żadne pogadanki - gderliwie warknął Rem - tylko jakiś bełkot. Pracujemy razem, ale po co od razu wyjeżdżać z takim nonsensem?

- To jest arystokratyczna pseudo-dialektyka... - zaczął Melkiades, ale przerwał mu von Horn:

- Dajcie spokój! Mamy przed sobą jeszcze wiele dni i trudne zadanie. Po co utrudniać to aż tak bardzo? Bądźmy czas jakiś razem, by potem rozejść się w swoje strony.

- Przyjmuję propozycję - warknął Sosnkowski. - Jesteśmy razem, aż do wykonania zadania. Potem rozchodzimy się i jesteśmy tym, kim byliśmy poprzednio.

- Czyli wrogami? - cicho spytał Melkiades.

- Tak się złożyło - odparł Rem i okutany kocem poszedł w las.

Rano wypili w milczeniu gorącą, zbożową kawę, zagryzając maczanymi w niej sucharami. Gebert nawet jedząc nie przerywał czytania książki otrzymanej od Melkiadesa, która miała pozaginane rogi, tłuste plamy na tekturowej okładce i dumny tytuł: *Poradnik oficera politycznego*.

Wlali do baków zawartość dwóch kanistrów, zalali wodą ognisko i ruszyli. Prowadzili Sosnkowski i Melkiades. Von Horn i Gebert ulokowali się w pakach i próbowali czytać, mimo stałych podskoków motocykli. Już po dziewiątej zrobiło się ciepło. Kałuże parowały w słońcu. Nad głowami nurkowały rozhisteryzowane wiosną ptaki. Koło południa zatrzymali się na rozstaju dróg, pod dębem, na którym wisiały setki karteczek. Niektóre były już nieczytelne, z zaciekami rdzy od gwoździ. Inne miały wciąż schludnie błękitny wygląd. Wszystkie miały podobną treść.

- *Juzef i Krystyna Węcel* - przeczytał na głos Gebert, który obchodził powiewające papierem drzewo - *jedziemy do dom. Jerzeli i nas kto z rodziny szuka, to znajdzie na ojcowiznie*

- Tyle narodu się szuka - mruknął Gebert - ale mało kto się znajdzie.

- Może to dobrze? - zastanowił się na głos von Horn. - Może teraz będą musieli poszukać przyjaciół? Przyjrzeć się innym?

- Marzyciel! - parsknął z tyłu Rem, ale zanim zdążył coś dodać, zza zakrętu usłyszeli szum ludzkiego roju, a potem czysty, chłopięcy głos, śpiewający do harmonii niezwykle głośno i wesoło:

Gdzie cwiety, daj mnie otwiet?

Gdzie oni ostalis'?

Gdzie cwiety, daj mnie otwiet?

Gdzie oni rastut?

Gdzie cwiety, daj mnie otwiet?

Diewuszki sorwali, i wot, ich niet.

Kogda że wsie eto pojmut?

Kogda że wsie pojmut?²¹

Zza drzew wyłoniło się kilku oficerów rosyjskich na koniach, za którymi jechało kilka wozów zaprzęzonych w zrezygnowane muły. Z tyłu szła długa kolumna niemieckich jeńców. Po bokach maszerowali krasnoarmiejcy, którzy dołączali do śpiewu jasnowłosego chłopaka siedzącego z harmoszką na pierwszym wozie.

- Jak nas zaczną legitymować, może być różnie - powiedział cicho Melkiades. - To frontowi żołnierze. Jeszcze nie do końca zrozumieli, że wojna się skończyła...

- Eee tam, oni tylko jeńców na wschód pędzą - mruknął Sosnkowski. - Nie będzie im się chciało cokolwiek robić.

Zanim Melkiades zdążył odpowiedzieć, z tyłu kolumny zabrzmiały gwizdki i krzyki. Kolumna - na rozkaz - stanęła. Wyniszczeni ludzie w podartych, wojskowych płaszczach zaczęli przysiądać. Wartownicy nie zajmowali się nimi. Obstąpili wóz ze śpiewakiem. Jeden podał karabin koledze i puścił się w prysiuły do melodii grajka. Pozostali klaskali i śpiewali, śmiejąc się na całe gardło.

- Jak dzieci - pokręcił głową von Horn, żując komiśniak. - Jak oni tę wojnę wygrali?

Przed nimi stanął wóz zaprzęzony w konie. Na sianie leżeli chorzy Niemcy. Wszyscy robili wrażenie wygłodzonych i nędznych. Jeden błagalnym gestem wyciągnął ku nim rękę.

Z wahaniem von Horn ułamał kawał chleba i podał go Niemcowi, który łapczywie wsadził go do ust. Między jednym i drugim kęsem wymamrotał jednak:

- *Danke!*

- Dzentelmen, kurwa jego mać! - warknął Melkiades. - No, oduczą cię dobrych manier na Kołymie!

- Pewnie wielu przejdzie przez tę sowiecką szkołę przyzwoitości - powiedział Rem. - Za jakiś czas słowo „dziękuję” stanie się rarytasem...

Wzdłuż kolumny przejechał amerykański gazik, obsypując jeńców mokrym błockiem. Przyhamował koło starszyczny, która siedząc w kulbakach paliła papierosy i przyglądała się występom mołojców. Z samochodu wysiadł wysoki mężczyzna w rozpiętym

szynelu z naszywkami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i w wysokich oficerskich butach. Miał smagłą twarz i krzaczaste, zrosnięte ze sobą brwi. Za nim wygramoliło się dwóch wychudłych ludzi zakutanych w uszyte z koców płaszcze, które dziwnie sterczały na wystających łopatkach. Obaj mieli wydatne nosy i ciemne oczy, bez jakiegokolwiek śladu życia.

Wysoki oficer podszedł do Rosjan.

- W kolumnie mają być oficerowie SS z pobliskiego kacetu - powiedział po polsku. - Proszę o pozwolenie lustracji jeńców!

- *Esesmany?* - nachylając się nad końską szyją spytał jasnowłosy Rosjanin. - *Sprjatalis' zdies? Nu, wot, horoszo... Iszczitie!*²²

Ubek z dwoma byłymi więźniami powoli przeszedł wzdłuż kolumny. Niemcy spuszczały wzrok. Wszystkim chodziły chude, zarośnięte grdyki.

- Już napatrzyli się na niejedno - szepnął Sosnkowski. - Czym oni ich zastraszyli? Przecież wojna już skończona?

- Wojna się skończy, gdy sztandar rewolucji wbijemy w plażę Atlantyku - z emfazą wydeklamował stojący z tyłu Gebert.

Rem odwrócił się powoli.

- Ty się, barabasie, szybko uczysz - powiedział powoli. - Geszeft z kapelanem już nie nęci?

- Melduję, że wskutek lektury książki otrzymanej od towarzysza Melkiadesa - usłużnie odpowiedział Gebert - pojąłem, że religia to jeno opium dla ludu...

- No, a do tego nowa wiara nie wymaga mnemotechnicznego zapamiętywania, czy zegnając się, zaczynać od portfela czy jaj - z jadowitym spokojem przerwał mu Rem.

Zanim Gebert zdołał coś wykrztusić, oficer UB z dwoma kompanami przystanęli przy wozie z chorymi Niemcami.

Jeden z Żydów zbladł.

- Poznajesz mnie, kanalio?!? - zakrzyczał wysokim głosem. - *Errinerst du dich mich, du Schwein?*²³

Jeniec, któremu von Horn dał komiśniaka, przestał żuć. Nie patrząc na nikogo wydukał:

- *Ich kenne Sie nicht...*²⁴

- Ale ja ciebie, bydlaku, znam! - wysyczał chudzielec. Jego kompan w milczeniu stał przy nim i nerwowo splatał dłonie, strzelając kostkami.

- Znacie go? - bez emocji spytał ubek.

- To strażnik nasz był... - wydukał milczący dotąd Żyd. - Udaje Niemca, ale to własowiec jest... Kanalia i morderca...

- *Wot, siurpryz!* - krzyknął rosyjski oficer, który nie zsiadając z konia towarzyszył badaniu. - *Ot, sobaka! Nikirenko* - zwrócił się do grającego na harmoszce chłopaka - *wazmitie etu kanaliu... Wy znajecie, szto diełat*²⁵.

- *Tak toczna, towariszcz kapitan!* - wesoło zsalutował jasnooki młodzian. Zeskoczył z wozu i z kocią zręcznością podszedł do wozu chorych. Za nim w milczeniu podążyło dwóch zarośniętych muzyków, którzy przezornie oddali broń kolegom.

- *Nu, pajdi s nami*²⁶ - łagodnie zwrócił się do jeńca.

- *Nein! Wy aszybilis'!* - zakrzyczał Niemiec. - *Eto nie ja!*²⁷

- Nie, to nie ty - przerwał mu jeden z Żydów - bo dawny ty umarł, gdy sobie Hitler w łeb palnął... Więc najlepiej by było zapomnieć, co było, co?

- *Jawohl!* - wybełkotał jeniec. - *Ja nie chcuzu pomnit*²⁸...

- Ale my - z wysiłkiem powiedział Żyd - my nie zapomnimy nigdy...

Żołnierze wyciągnęli opierającego się mężczyznę. Rzucili na drogę. Bez emocji zaczęli go kopać podkutymi butami. Już po chwili twarz leżącego pokryła się skorupą śluzu i krwi. Gdy w końcu przestał się bronić przed kopniakami i leżał tylko wstrząsany drgawkami, Nikirenko podszedł do niego i z całej siły skoczył mu na wyprostowane kolano. Rozległ się trzask, a przez twarz leżącego przebiegł skurcz. Gebert odwrócił się i zwymiotował.

Jasnowłosy śpiewak skoczył na drugą nogę esesmana, który tym razem zakrzyczał coś niezrozumiale. Podnieśli skatowane mięso i powlekli pod pobliską, niską brzozę.

Któryś z wartowników usłużnie podał im kawał konopnego sznura. Nikirenko przerzucił linę przez uschłą gałąź, a potem obwiązał ją wokół szyi nieruchomego jeńca. Dwaj zarośnięci

żołnierze pociągnęli drugi koniec i wywindowali ciało ku górze, a potem okręcili linę wokół pnia. Przycupnęli pod drzewem i jak wszyscy ludzie po wykonaniu solidnej roboty, zapalili skręcone naprędce papierosy.

Pętla na szyi wisielca upiornie powoli przesunęła się w dół pod jego ciężarem. Przez wiszące ciało przeleciał spazm. Twarz zsiniała, a usta rozwarły się w poszukiwaniu tlenu, rozsnuwając nitki śliny. Jeniec zacisnął szponiaste dłonie na dławiącej go pętli. Walczył z nią, majdając nogami na tyle pociesznie, że kilku wartowników o mongoidalnych rysach wybuchnęło śmiechem. Po chwili twarz powieszzonego szerniała, a nogawkami zaczął ściekać wodnisty kał.

Kaci wyrzucili parzące w palce niedopałki, otrzepali mundury na tyłkach i dołączyli do kolumny. Rozległy się gwizdki i komendy. Żołnierze ruszyli w milczeniu, mijając wciąż stojących uczestników wyprawy.

*Wstawaj strana agromnaja
Wstawaj na smiertnyj boj
S faszistskoj siłoj tiomnuju
S priaklatoju ordoj...²⁹*

Rozległy się żołnierskie głosy, które po chwili zlały się w jeden, potężniejszy huk.

Niemcy mijali w milczeniu powieszzonego, jakby ogłuszeni triumfalnym śpiewem.

Dwaj Żydzi z niedowierzaniem wpatrywali się w rosnącą kałużę pod wciąż drgającymi stopami wisielca.

- To już? - spytał jeden. - Ot tak?

- Ot tak - potwierdził ubek. - U nich szybko idzie. Chodźmy. Wsiedli do gazika i odjechali, pryskając błotem.

Gebert skończył rzygać. Miał wyraz twarzy identyczny z grymasem skatowanego mięsa na brzozie.

- No cóż - przerwał milczenie Melkiades - zmarnowałeś Sigismundzie kawałek dobrego chleba.

Nie da się uciec od siebie. Od dziedzictwa krwi. Od stuleci spodlenia i strachu. Dźwigamy ten strach ze sobą. Dziedziczymy go jak syfilis. Zatrzuwa nas od kołyski.

Mój ojciec był rozpaczliwie chudy, ale miał przy tym dziwnie rybi, wystający brzuch i rudą brodę. Pamiętam, gdy byłem dzieckiem, brał mnie na kolana i opowiadał o prorokach i o Mesjaszu, który miał się kiedyś pojawić, by naród nasz wywieść z niewoli, by dać ludowi Izraela godność, której mu od tysiącleci brakowało. Nie lubiłem tego, bo śmierdział zawsze czosnkiem i czymś nieuchwytnym, czym nasiąka się siedząc w kancelarii przez dwadzieścia lat: zapach zetkniętego potu, kurzu i beznadziei

Gdy miałem trzynaście lat, kończyła się pierwsza wojna. Ludzie gromadzili się na rynku i wymieniali informacjami. Skupiali się wokół mówców o zaczerwienionych twarzach. Słuchali i w ich oczach pojawiał się wyraz upojenia.

Kiedyś do takiej grupki dołączył mój ojciec. Najpierw słuchał przemawiającego wąsatego obywatela, który mówił o konieczności zaciągania się do wojska polskiego. Upadają imperia, wywodził mówca, a ich agonia oznacza odrodzenie Polski, której każdy przyszedły obywatel winien spłacić obywatelski dług. Także starozakonni winni to przyszłej Rzeczpospolitej, mówił, patrząc na mojego ojca w przetłuszczonym chałacie, który po raz pierwszy w życiu zabrał wtedy głos. Zgarbiony podszedł do dwóch skrzynek drewnianych z wypalonym napisem: „Rischke & Spiegellmann”, wszedł na nie i rozdygotanym głosem powiedział to, w co głęboko wierzył. Że dzieci Izraela nie umieją walczyć, że Żydzi będą słuchać każdej władzy, że nie ma co młodzieży w głowach mącić, bo młodzi Żydzi do jesziwy chodzić winni, a nie dumać o karabinie, który jest i będzie im obcy.

Chciał mówić dalej, ale krwistogęby obywatel podszedł do niego i z rozmachu uderzył go w twarz.

- Parszywy Żydku. - Zakrzyczał. - My tu o Polsce mówimy, a ty swoje lichwiarskie mądrości wygłaszasz... Won!

Ojciec zatoczył się i upadł. Tak śmiesznie. Nogami do góry, uderzając potylicą w bruk. Przez chwilę leżał patrząc w niebo nieprzytomnymi oczami. Usiadł i podniósł mykę, która zleciała i

leżała w kałuży końskiego moczu. Ku uciechu gapiów założył ją na rozbitą głowę. Potem wstał. Tłum za nim cofnął się, gotując się do draki, do dziwowiska za darmo, ale on jedynie otarł ściekającą mu na rzadką brodę krew ze szczynami i zgarbiwszy się poszedł sobie.

Zniknął. A ja stałem i patrzyłem na tego wąsatego grubasa, który obłudnie zapewniał o miłości do powstającej Polski. Miał wypukły brzuszeczek, miękkie, wilgotne wargi i wąskie barki, pięknie kontrastujące z urokliwie kobiecymi biodrami.

Nie był groźny. Nawet ja się go nie bałem, jednak bez wahania wymierzył policzek obcemu mężczyźnie. Wiedział, że Żyd nie odpłaci mu tym samym. Działał, jak każdy kabotyn i tchórz, bez ryzyka. Stałem przed nim i patrzyłem na jego mokre wargi wygłaszające kabotyńskie mądrości. To była pierwsza lekcja upokorzenia i wstydu. Wstydu, który towarzyszył mi przez całe życie. Wstydu, który był dziedzictwem rasy.

Melkiades zdjął z uszu słuchawki i odwrócił się do Rema.

- Obiekt udaje się do Oświęcimia - oznajmił. - Rozkaz brzmi: zlokalizować go i zneutralizować.

- Po co tam wraca? - spytał Rem.

- Tego mamy się też dowiedzieć - mruknął Cygan, zapalając skręta. - Ale dopiero, gdy on przestanie być problemem... Jeśli przyspieszymy, to zdaniem centrali powinniśmy dotrzeć do resztek obozu mniej więcej w tym samym czasie, co on... Będziemy tylko musieli po drodze zatankować do kanistrów, bo droga raczej daleka.

- Może po drodze pozbedziemy się Geberta?

- Ale po co? - Melkiades zaciągnął się głęboko. - On jest na nas zdany...

- Jak to zdany na nas? Przecież to wolny człowiek jest?

- Gdybyś stracił wszystko - powiedział poważnie Melkiades - rodzinę, pieniądze, dom... nawet religię, to stałbyś się zależny od każdego, kto by cię przyjął...

- Ma wciąż siebie! - zaprotestował Sosnkowski.

- To ty możesz w to wierzyć - szepnął Cygan. - Bo należysz do rasy arogantów i megalomanów... Ale zapewniam cię, że Baruch

będzie nam wierny. Do końca. Jak każdy bezdomny pies, którego ktoś przygarnął, zamiast rzucać w niego kamieniami.

Gdy miałem osiem lat, przeprowadziliśmy się do Łodzi. Na ulicy wołali za mną Icek, choć na imię miałem Aaron. Bałem się wychodzić na podwórko, gdzie rządzą wiejscy chłopcy, których rodzice przyjechali do pracy w fabrykach. Już dawno nosiłem w sobie wirusa strachu. Piętno lęku, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Truciznę, która kazała mojej rasie zginać karki, zamiast odpowiadać uderzeniem na uderzenie.

Siedziałem z dziadkiem Lejbą przy oknie i słuchałem, jak tłumaczył mi skomplikowane zasady kabały. Poszukiwanie liczby będącej symbolem Boga, mówił, winno być celem życia każdego mądrego Żyda. Bowiem nie ma celu bardziej wzniosłego niż poznanie Boga Izraela, który ukochał nasze plemię, spośród tysięcy innych, na tyle, by właśnie z nami zawrzeć wieczne przymierze.

*Jahwe, naucz mnie Twojej drogi,
prowadź mnie ścieżką prostą
ze względu na moich wrogów.
Nie wydawaj mnie na łaskę moich nieprzyjaciół,
Bo przeciw mnie powstałi kłamliwi świadkowie
I ci, którzy dyszą gwałtem.
Wierzę, iż będę oglądał dobra Jahwe
W ziemi żyjących.
Wyczekuj Jahwe, bądź mężny,
Niech się twe serce umocni i wyczekuj Jahwe³⁰.*

Ale opowieści dziadka Lejby nie miały nic wspólnego z codziennym upokorzeniem. Z moim ojcem, który wracał z pracy przygarbiony, a potem łykał proszki na bóle brzucha. A w końcu umarł, na dwa tygodnie przed śmiercią dziadka Lejby, któremu sefiroty i szukanie prawdziwego imienia Pana w niczym nie pomogły, gdy w dole brzucha wyskoczył mu wodnisty i bolesny guz.

Jehowa, który miał nas sobie upodobać pozostał obojętny, jak tysiące lat wcześniej był głuchy na prośby Hioba. A ponieważ nie

stać nas było na morfinę, więc dziadkowi Lejbie pozostał tylko milczący Bóg, który rzekomo przed tysiącami lat przemówił do Mojżesza i zawarł przymierze z narodem Izraela. Przymierze, które skutkowało jedynie śmiercią, pogromami i strasznym guzem, który powoli z cichą uciechą pożerał ciało, docierając do łądźwi, które miały zaludnić Ziemię Obiecaną, a wydały z siebie tylko przestraszonego Mendela Stallmana, który umarł na serce, zostawiając zdewociałą żonę i mnie, syna swego jednorodzzonego, który po swoim ojcu odziedziczył jedynie pozłacany zegarek, wpisany w mięśnie łąk i obolałe jelita. Widomy znak organicznego strachu.

- To ma być obóz? - spytał Melkiades z niedowierzaniem, wskazując na opustoszałe pole pokryte głębokimi wykopami. - Co tu się wydarzyło? Grad meteorów?

- Może Niemcy coś chcieli ukryć? - Rem wzruszył ramionami.

- Albo front tu się zatrzymał?

- Front? - z niedowierzaniem powtórzył Melkiades. - Sądzisz, że to była wojna kretów przeciw turkuciom podjadkom?

- Co to są turkuciom? - dopytywał się von Horn.

- Daj spokój - warknął Sosnkowski - to tylko cygański wic.

- Ale ja go nie rozumiem!

- Tego nie da się zrozumieć.

Aż po horyzont widać było wykopy mokrej gliny, jakby faktycznie gigantyczne gryzonie zaczęły sobie budować domki, po czym porzuciły pomysł, by zająć się czymś lepszym.

- Jedźmy dalej - rzucił Melkiades nie schodząc z siodełka BMW.

- W końcu rzecz się wyjaśni.

Po kilkunastu minutach zauważyli kilku ludzi, którzy wynosili z wykopu kosze pełne mokrej ziemi. Nad nimi krążyły stada złośliwie kraczących wron.

Zatrzymali motocykle i podeszli do pracujących.

- Szczęść Boże - zagaił Melkiades, ale nikt mu nie odpowiedział. Mężczyźni o szerokich, płaskich twarzach z martwymi oczyma wynosili w milczeniu kosze śmierdzącego błota i wyrzucali je z boku wykopu.

Na dnie widać było upiorne zarysy wychudłych, sparciałych ciał. Z dołu bił w nosy straszliwy, trupi zaduch, jednak najwyraźniej nie przeszkadzał pracującym, którzy na twarzach nie mieli nawet chust. Jeden z nich szpadlem podważył wiotkie, jakby ptasie ciało. Z cmoknięciem wyciągnął je z błota, po czym ostrzem szpadla odrąbał głowę z otwartymi ustami i szybkim ruchem włożył ją do płóciennej torby, przerzuconej przez ramię.

- Poszczęściło się, skurwielowi - mruknął z zawiścią stojący koło nich chłop z koszem. - Zęby pewnikiem znajdzie...

- Zęby? - z niedowierzaniem spytał von Horn. - Jakie zęby?

- Wygrzebują pomordowanych Żydów - powiedział chrapliwie Melkiades - żeby im złote zęby wyrwać... Wierzą, że Niemcy zostawili je trupom. Chłopska głupota nie zna granic.

Gebert za nimi - zgodnie z przyzwyczajeniem - wyrzygał się do wykopu.

- Oj, synu - łagodnie napomniął go Melkiades - ty daleko z taką wrażliwością nie zajdziesz...

- To niemożliwe - wydukał Rem - przecież to polscy kmiecie... Chrześcijanie... Przecież nie grabią trupów. Jesteśmy narodem, który dla honoru Niemcom korytarza nie dał! Przecież teraz trupom ze szczęk zębów nie wydzieramy!

- Sądzisz, że ci w dole, to nie Polacy? - powoli spytał Melkiades.

- Prowokatorzy to są? Żydokomuna masonów tu nasłała? Jakoś tak po naszymu wyglądają. Niemało się ja chłopków w czasie podróży napatrzył... To może w twoim szlacheckim mózgu się nie mieści, ale dla mnie to zupełnie oczywiste. Im się we łbie nie pojawi, co by dobru dać się zmarnować, a poza tym, ci w dole, to Żydy... im się szacunek nie należy. Nawet księża im to z ambon mówią. W końcu Żydy Pana Jezusa ukrzyżowały, nie?

- A nie Rzymianie? - płaczkliwym głosem dopytywał się Gebert.

- Jakoś lżej by mi było, gdyby ktoś z was potwierdził...

- Jedźmy stąd - chrapliwie powiedział Sosnkowski - albo krew się poleje. Nie chcę patrzeć na to bydlę.

- Coś jednak z nimi trzeba będzie zrobić - powiedział za nimi Gebert. - Może demokrację socjalistyczną?

- Demokrację dawać trzodzie? - zawarczał Sosnkowski. - To

tylko semicki mózg mógł wymyślić!

Jeden ze stojących obok chłopków skrzywił się, splunął i powiedział głośno, tak by go słyszeli:

- Żydy przyjechały i coś im tu śmierdzi. Musi, te ścierwie z dołu...

- Te z dołu i te stojące na górze! - odszczeknął Rem. - Więc się cofnij, żebym gówna nogą nie musiał przesuwac!

- Rem, daj spokój! - gorączkowym szeptem uspakajał go Melkiades. - Przez ciebie ino problemy mamy!

- Jeszcze nie wiesz, co to znaczy mieć problemy! - twarz Sosnkowskiego skurczyła się jak psi pysk. Drgały mu wargi odsłaniając zęby, a oczy były pociemniałe z wściekłości.

- Idźta stąd pany - włączył się do rozmowy drugi chłop, który do tej pory tylko się przysłuchiwał, smarząc na ziemię i wycierając palce w kapotę - bo będzie nieszczęście.

- Oj będzie - dziwnie miękko powiedział Rem. - Jak zawsze, gdy lud wydaje głos: nieważne dołem, czy górą...

Ten, kto ojcu powie: raka!

Ten przeklęty!

Więc się bój,

*Polski lud, to ojciec twój!*³¹

Zadeklamował znienacka Gebert, choć ze strachu głos mu się zrobił piskliwy i drżący.

Wszyscy odwrócili się ku niemu zaskoczeni. Tylko Sosnkowski w milczeniu podszedł do obu chłopów. Stał przed młodszym, który miał kwadratową szczękę, pięknie pokrytą ostrą szczecią.

- Daj spokój, Rem! - niemal wykrzyczał Melkiades. - Czemu wy, Polacy, zawsze musicie na siebie kłopoty ściągać? Zresztą, co niby zrobisz? Wyzwiesz go na szable, żeby honoru narodu bronić?

- Nie - ze spokojem odparł Sosnkowski i czołem wyrznął w pokryty krostami nochal kmiota, a gdy ten się zatoczył, poprawił kolanem w krocze. Krostowaty opadł na kolana, a wtedy Rem powtórnie kopnął go kolanem w twarz, złapał za włosy i

pięknym łukiem wrzucił go w wykop. Chłop z pluskiem chlapnął w trupa i zaczął się w niej nieporadnie gmerać, usiłując wstać. Jego towarzysz cofnął się i wybełkotał:

- My ino tak... Przeca ja już nawet nie wiem, o co poszło!

- Ja już też nie pamiętam - chrapliwie powiedział Rem. Odwrócił się i poszedł do motorów.

- *Mego dziada piłą. rznęli. Myśmy wszystko zapomnieli*³² - wyrzucił z siebie Gebert.

- Ty zawsze tak masz? - dopytywał się Melkiades. - Zawsze ci się na mózg rzuca, jak się boisz?

- Zawsze - potwierdził ponuro Baruch.

- I zawsze w tonacji romantycznej? - włączył się von Horn.

- Bo mię w szkole zawsze przed językiem polskim w kiblu bili - żałośliwie wydukał Gebert. - Wtedy była długa przerwa, to i czas mieli, żeby Żydka wytarrosić.

- No, ale teraz raczej my bijemy - zauważył von Horn. - Choć nie wiem, dlaczego jemu ciągle uchodzi to płazem. Czemu nie wyszli z tych grobów i nas szpadlami nie zabili? Czują w nim pana? Przywykli, że jak ich ktoś po gębie bije, to znaczy, że może?

- Szkoda im czasu było - krzywiąc się powiedział Melkiades. - Zamiast się bić z nami woleli dalej trupy obdzierać. To się nazywa kapitalizm.

- To się nazywa zbydlęcenie - mruknął Sosnkowski nie wyjmując papierosa z ust. Jego oczy odzyskały niemal normalny wygląd.

- To jedno i to samo - rzucił Melkiades i kopnął starter motoru.

Szkoła była koszmarem. Na zdjęciu z pierwszej klasy wszyscy stali jakoś tak blisko siebie. Wszystkie to jasnowłose Antki i Wojciechy. Wszyscy w mundurkach, upozowani pod wielkim, wyciętym z tektury orłem, nad którym wisiał portret Naczelnika w szarym mundurze.

I ja.

Z boku. Odcięty od reszty przez moją rasową odmiennność. Ciemnowłose, z wydatnym nosem i w mundurku uszytym przez mamę. Na innych mundurkach leżał jakoś tak dziarsko, wojskowo i

zuchwale. Na mnie, mimo moich starań, zawsze wyglądał jak zaplamiony chałat mojego ojca.

Już od pierwszej lekcji zostałem odróżniony, jakby mi ktoś opaskę z gwiazdą Dawida na rękawie przyczepił. Do klasy wszedł w marynarce z naszytymi łatami na łokciach profesor Pruś-Hudalla. Był wysoki, z łysiną, jakby uciętą nożem w połowie czaszki. W klapie miał zawsze srebrny krzyżyk, a przed pokojem nauczycielskim zaczął młodych pedagogów i poddawał krzyżowemu przesłuchaniu na okoliczność ich sympatii komunistycznych. Głęboko wierzył w „Protokoły Mędrców Syjonu” i lubił je cytować w rozmowach z młodszymi nauczycielami, będącymi w jego mniemaniu agentami żydokomuny. „Jako świadomi patriotycznego obowiązku obywatele Drugiej Rzeczypospolitej, powiedział nosowo, przystępujemy do modlitwy.” Wszyscy złożyli ręce, a Pruś-Hudalla patrząc na mnie, dodał: „Żydzi wystąp, byśmy mogli naszą modlitwę zmówić”.

Wystąpiłem z szeregu, jak kazał i stanąłem pod ścianą. Miałem opuszczoną głowę i przygarbione plecy jak mój ojciec. Stałem nie patrząc na nikogo i wysłuchiwałem obcych mi słów: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje. Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja. Jako w niebie, tak i na ziemi...”

Już na zawsze miałem być ja i oni.

Osobni. Obcy.

Ja w mundurku przypominającym chałat, oni otuleni w swoje poczucie wyższości ludzi, którzy oczekują, że im się będzie z drogi ustępować.

Taki był początek.

I koniec.

Plac był niemal opuszczony. Tylko po jednej stronie widać było kilka wojskowych ciężarówek, wokół których rozłożone były puste skrzynie i zwinięte bele namiotowego płótna.

*Nad bramą jednej z ocalałych kamienic była przybita deska, na której ktoś namalował koślawymi literami: *Komendantura*. Z bramy pod napisem co jakiś czas wychodzili ludzie w mundurach. Leżeli na dachu przeciwległej kamienicy, która -*

choć wypalona do pierwszego piętra - zachowała schody na strych i pseudorenesansowe ozdoby dachu, za którymi można było obserwować komendanturę, nie będąc widzianym.

- Długo tak jeszcze będziemy leżeć? - zajączał von Horn. - I głodno, i chłodno...

- Rosjanie tu siedzą - powiedział Melkiades, lornetując plac - to i cel się zjawi... Mówili nam, że on jakieś zadanie dla NKWD wykonuje... Więc, skoro go posłali do Oświęcimia, to się zameldować przyjdzie.

- A jak nie? - grymaśnie spytał von Horn, ale Melkiades go zignorował, a Rem nawet nie podniósł wzroku znad czyszczonego Mausera 98K z lunetą.

Oparta o cegłę stała chroniona szybką fotografia Stallmana.

Sosnkowski po raz dziesiąty przedmuchał dziwny walec przymocowany do lufy. W ściankach walca były wyborowane maleńkie otwory.

- Jesteś pewien, że to zadziała? - spytał gderliwie. - Jakoś nie wierzę ruskim wynalazkom...

- A powinieneś - powiedział poważnie Melkiades. - NKWD opracowało ten tłumik na potrzeby swoich specjalistów od mokrej roboty. Z tego, co słyszałem, zawsze się sprawdzał... To specjalna konstrukcja. Ścianki są wypełnione watą stalową i ręcznie je kuto, składając z wielu warstw. Dzięki temu nie topi się i nie rozrywa po strzale...

- Takimi metodami swoją utopię wprowadzacie? To chyba nie za dobrze rokuje na przyszłość?

- Właśnie w imię przyszłości to robimy - obojętnie odparł Melkiades.

- Jest mi zimno - poskarżył się po raz któryś von Horn. - Mogę zapalić papierosa?

- Mogliby zobaczyć dym - ze znużeniem w głosie powiedział Melkiades. - A wtedy nie tylko nie wykonamy zadania, ale trafimy tam do środka... Tego chyba nie chcesz?

Sigismund wzdrygnął się, ale milczał.

Leżeli, z rezygnacją przyjmując podmuchy wiatru niosącego drobinki wilgoci. Smród gnijących ciał bił w nozdrza spod

gruzów wokół cudem ocalałej klatki schodowej.

Na plac wjechał gazik, w którym siedziały dwie osoby. Melkiades podniósł do oczu lornetkę.

- Mamy go! - wychrypiał. - To ten chudy, w szynelu. Masz jeden strzał, Rem! Potem musimy zwiewać, zanim zorientują się, skąd przyleciała kula!

Sosnkowski przyłożył karabin do ramienia. Przytknął okular lunety do oka. W krzyżu celownika widział szczupłego mężczyznę z wydatnym jabłkiem Adama i lekko zakrzywionym nosem. Ciemne włosy były gładko zaczesane w tył. Na ramionach miał zarzucony rozpięty płaszcz. Na prawym biodrze miał drewnianą kaburę, na lewym mapnik.

- Masz go? - zduszonym głosem spytał Melkiades.

- Mam.

- Spadaj, Siguś! - zasyczał Melkiades. - Zostań przy motorach. Zaraz tam dobiegniemy. Zdejmuj skurwysyna, Rem!

Mężczyzna w okularze nagle odwrócił się i spojrzał prosto w stronę Sosnkowskiego. Twarz mu się skurczyła i skoczył za samochód. Karabin kopnął Rema w ramię. Widział, jak kula uderzyła w bok gazika. Gruby oficer wysiadający za Stallmanem zaczął coś krzyczeć. Z komendantury wysypali się żołnierze w rosyjskich waciakach.

- Kurwa ich mać! - zaklął Melkiades. - Chybiłeś!

- On mnie... wyczuł! - wyjąkał Sosnkowski. - Uskoczył, zanim ściągnąłem spust...

- Spadamy! - zaskowyczał Melkiades, wyczołgując się w stronę schodów. Kule zagrzechotały po dachu, rozbijając gipsowe ozdoby i dźwięcząc w dziurawionych rynnach.

Wpadli na chybotliwe, kręte schody wiszące nad przepaścią pourywanym stropów. Pociski z pepesz poszły górą obsypując ich wiórami z wieźby dachowej. Pognali w dół, łomocząc butami. Pod stopami zakołysała się cała chwiejna konstrukcja. Ktoś na dole wrzasnął:

- Stoj! - puścił serię wybijając im otwory pod stopami. Melkiades w biegu odbezpieczył granat i cisnął go w mroczną klatkę schodową. Z dołu buchnął dym i ktoś zajęczał wzywając

po rosyjsku mamy. W tym samym momencie schody zatrzeszczały i z godnością starego mieszczanina zaczęły zsuwać się w stronę rumowiska. Żeliwna poręcz zazgrzytała, sypnęła nitami i fragmentami metalowych kwiatów, z których jeden rozciął policzek Rema do kości. Wraz ze składającymi się jak domek z kart schodami zjechali w dół i uderzyli w gruzowisko. O dziwo, wzmocnienie schodów z dziurkowanej w lilie blachy, spiętrzyło się nad nimi, chroniąc przed sypiącymi się z góry kawałkami desek i cegieł. Upadli ciężko staczając się po pochyłości usypanego gruzu. Zerwali się obsypani kurzem z tłuczonego tynku. Melkiades zatoczył się i upadł. Sosnkowski podbiegł do niego. Pochylił się, zraszając Cygana krwią z rozciętej twarzy.

- Chyba zerwałem więzadła w kolanie - wyrzucił z siebie Melkiades. - To już koniec...

- Nie pierdol! - zawarczał Rem i zarzucił ciężkiego mężczyznę na barki. Potykając się zaczął brnąć przez rumowisko, słysząc za sobą wrzaski i widząc odpryskujące po uderzeniach kul łupki cegieł. Melkiades wyjął z kieszeni płaszcza nagan i zaczął strzelać, próbując dostosować się do rytmu kroków Sosnkowskiego. O dziwo podziałało, bo kakofonia strzałów umilkła i słychać było tylko złorzeczenia oficera, usiłującego zmusić podwładnych do pościgu. Chwiejąc się Rem pobiegł podwórkiem w kierunku zburzonego muru, za którym widać było wypalony dom z pęknięciem pośrodku. Ze szpary wlewało się oślepiające ich słońce.

Za nimi zatupały podkute buty. Znów zahuczały strzały. Rem, objuczony Melkiadesem, brnął ciężko przez podwórko zasypane gruzem i porzuconymi resztkami dobytku. Ślizgał się na rozkładającym się mięsie końskim. Karabin dyndał mu na ramieniu, uderzając przy każdym kroku o udo.

Pociski uderzyły w ceglana ścianę, sypiąc im w twarze ostrymi odłamkami. Sosnkowski upadł ciężko, przytłoczony ciężarem ranego. Melkiades zajęczał, ale przetoczył się na brzuch i podniósł rewolwer oburęcznie.

- Są za daleko dla ciebie - mruknął Rem, przyciskając kolbę do

ramienia. W okularze zobaczył niewyraźne, ruchliwe sylwetki. Zatrzymał oddech i powoli ściągnął spust. Dwa strzały padły niemal po sobie i dwóch żołnierzy zapadło w gruzowisko. Biegający za nimi bluznęli obelgami, ale przypadli do ziemi.

- Nieźle - mruknął Cygan. - Ale jak nas złączą otaczać, to ta maestia nie na wiele się zda. Rozległy się wrzaski oficerów i szare postacie znów oderwały się od ziemi. Karabin kopnął Rema w ramię i znów jeden z Rosjan zgiął się, a potem powoli opadł na gruzowisko, gdzie zwinął się jak jeź.

- Jak zaczniemy uciekać, dopadną nas - warknął Sosnkowski.

- Wcześniej strzelali w kurzu i pośpiechu, więc nie trafiali. Teraz będą strzelać tak, by samemu nie dostać. Mamy tylko jedno wyjście - wycofujemy się tyłem, trzymając ich pod ogniem, by nie mogli wychylić kacapich łbów. Za tym domem jest wyburzona ulica, a potem laszek, w którym zaparkowaliśmy. Dasz radę?



Cygan splunął i przygryzając wargi zaczął pełznąć tyłem, z rewolwerem przed sobą. Za nim podążył Rem, starając się nie tracić z oczu przycupniętych żołdatów. Gdy mijali załom muru, znów rozległy się rozkazy. Żołnierze, osłaniani ogniem kolegów, pobiegli za nimi. Jednocześnie z boku rozległy się strzały. Rem złapał za ramię Melkiadesa i pociągnął go za sobą. Zataczając się przebrnęli przez resztki domu. Nagle Sosnkowski potknął się i upadł, ciągnąc Cygana. Wstał czując, jak krew przesącza się przez nogawkę spodni. Gdy podnosił Melkiadesa, ciało Cygana

drgnęło, a oczy błysnęły białkami. Rem zarzucił go na barki i komicznie zataczając się pobiegł wzdłuż muru w stronę zbawczych krzaków.

Nagle, zza załomu muru wyłonił się von Horn, trzymając oburącz RKM Diektariewa z talerzem magazynka nad zamkiem. Głuchy stukot zagłuszył wesołe trzaski pepesz. Żołnierze zalegli z tyłu. Rem przedarł się przez skłębione chaszczce, ześlizgnął błotnistym zboczem do polnej drogi i dobiegł do motocykla. Przestraszony Gebert pomógł mu wtaszczyć Melkiadesa. Von Horn w biegu wrzucił RKM na pakę i wskoczył na siodełko. Jednocześnie odpalili silniki. Motory zaryczały i wizząc wyskoczyły z podwórka. Załomotały kołami po kocich łbach i wystrzeliły piaszczystą drogą w stronę zbawczego lasu.

Miałem jedenaście lat, gdy do naszej klasy przyszedł Adam. Bez wahania wszedł do szatni rano. Przebrał się, obojętnie powiedział „czołem”, a potem spokojnie poszedł za nami na pierwsze piętro, gdzie nie zwracając uwagi na podniecone szepty ustawił się pod salą jako pierwszy.

Ja stałem z tyłu. Samotny, robiąc wszystko, by nie ściągnąć na siebie uwagi. Patrzyłem zafascynowany na jego smukłą sylwetkę, jasne włosy, wąskie nozdrza i zdecydowany krój ust.

„Drogie dzieci”, powiedziała wychowawczyni zwana Dużą, z racji wielorybich gabarytów. „Od dzisiaj do naszej klasy będzie uczęszczał Adam Borecki. Ojciec Adama jest żołnierzem. Majorem, który broni naszą Polskę przed bolszewikami. Został przeniesiony do nowego garnizonu, my zaś musimy ułatwić jego synowi zaadaptowanie się w nowym miejscu, by jego tata mógł lepiej jeszcze służyć Ojczyźnie.” Po klasie rozległ się poszept. Syn majora to było coś. W dodatku taki jasny, piękny i pewny siebie. Jak ułańska szabla: cudownie wyprofilowana i niezawodna.

Ale nawet sława syna majora niewiele dała, gdyż wśród hordy uczniowskiej czyhał Gilowicz. Gilowicz był ponury i agresywny. Głupi, ale miał twarde pięści. Niewiele umiał, poza paleniem papierosów w ubikacji i przynoszeniem do szkoły zdechłych kotów, ale z racji potężnej postury wyrobił sobie posłuch wśród stada

małoletnich dwunogów. Najpierw milczał i ponuro przyglądał się nowo przybyłemu. Potem próbował mu docinać w szatni, napotykając jednak na przeciwnika, który ignorował go lub odpowiadał ciętym dowcipem. W końcu doprowadzony do stanu parobczackiej rozpacz, rzucił w Adama drewnianym piórnikiem, rozcinając mu policzek. Zniewaga wymagała reakcji, więc po lekcjach wszyscy poszli do podmiejskiego lasu. Stanęliśmy pod drzewami głogu, w których darły się ptaki.

Adam zdjął powoli kurtkę szkolnego mundurka. Złożył ją starannie na swojej teczce z metalowym monogramem „AB”. Odwrócił się do Gilowicza. Prosty i pewny siebie. Gilowicz jednak wiedział, że walczy o swoją pozycję. Nie czekał. Uderzył Boreckiego w twarz. Wtedy Adam skoczył na niego, okładając go pięściami. Szybko i bezlitośnie. Prymitywna gęba Gilowicza pokryła się krwią z rozbitego nosa. Upadł i nie próbował wstać. Leżał rozsmarowując juchę na szerokiej gębie z dziwnie zadartym, kartoflowatym nosem. Nad nim, niczym archanioł Gabriel z obrazków, które kolegom rozdawał szkolny katecheta, stał Adam.

„Masz dość?”, wysapał. „Powiedz!”.

„Mam dość!”, wyjęczał Gilowicz. Powoli wstał, rozcierając krew na twarzy. Wszyscy milczeli. W ciągu kilkunastu sekund wszystko stało się jasne. Dotychczasowy idol upadł nieodwracalnie w proch. Jak złoty cielec porąbany przez Mojżesza. Na jego miejsce przyszedł nowy zwycięzca, którego zielone oczy, jasne włosy i odwaga dawały przewagę nad motłochem.

Patrzyłem na niego oczarowany. Miałem jedenaście lat. Nigdy wcześniej nikogo nie kochałem. Nawet mój tata budził tylko moje współczucie i litość. Cała moja zdolność kochania rosła we mnie bez celu. Rozproszona.

W tym jednym momencie zrozumiałem cel wzbierającej we mnie miłości.

Patrzyłem na jego prosty nos z delikatnymi skrzydełkami, tak odmienny od mojego mięsistego, semickiego narządu powonienia; na zielone, nieustraszone oczy i wysokie czoło, mimo wieku z już zaznaczonymi kierunkami przyszłych zakoli; na kwadratową szczękę z dziurką w brodzie i smukły kark, pokryty jak u

dziewczyny złotymi włoskami. Wchłaniałem go w siebie, w namiętym pragnieniu zlania się z nim w jedno. Byłem oczarowany. Inni też patrzyli w niego jak w tęczę, ale tylko we mnie zlało się w jedno odwieczne pragnienie mej rasy, by być kimś innym, niż się było, by dołączyć do tych, którzy od tysiącleci obdarzali nas pogardą. Niezachwianą pogardą silnych wobec słabych.

„I co się tak gapisz, Żydku?“, wycharczał zapomniany już Gilowicz. Stał z tyłu, strącony z piedestału pięściami Adama, czując, że przestał istnieć, że nic już nie będzie takie, jak było.

Milczałem, choć wszystkie oczy zwróciły się na mnie.

Gilowicz z gębą pokrytą zasychającą krwią podszedł do mnie.

„I co się gapisz, barabasio?!?“, warknął, a potem uderzył mnie zniecierpliwioną otwartą ręką w twarz.

Zamarłem, ścięty histerycznym lękiem. Czułem, że Gilowicz już nie był przeciwnikiem, że można było się mu bezkarnie przeciwstawić, jak wszystkim upadłym bożkom, ale mój semicki lęk wziął górę. Ze zmrużonymi oczami stałem uśmiechając się głupio, jak zawsze, gdy strach brał w posiadanie mój zatruty kabałą mózg.

„I co się tak głupio śmiejesz, Żydłaku?“, wrzasnęła. „Nie słyszysz, co się pytam?“

„Nie słyszy, bo gówna ma w uszach“, powiedział ktoś ze stojących wokół. Rozległo się zbiorowe, łączące rżenie.

Gilowicz uderzył mnie pięścią w twarz. Z całej siły. Jakby bił w worek bokserski, a nie w człowieka. Upadłem, czując, jak nos zaczyna pulsować i puchnąć. Gilowicz kopnął mnie w bok. W normalnych bójkach, każdy kto by kopnął przeciwnika, stałby się pariasem, wyklętym ze społeczności uczniowskiej. Zwłaszcza, gdy kopniak trafiłby leżącego. Ale Żyd zwalniał z zasad honorowej walki. Kopniak wymierzony Żydowi był kopniakiem w moralną próżnię. Był zemstą za ukrzyżowanie Chrystusa. Wołaniem o szacunek upadłego idola o twarzy chorego na syfilis Mongoła.



*I wtedy usłyszałem rozkazujący głos Adama:
„Zostaw Żydka, parobku”.*

Powiedział to spokojnie. Bez wrogości. Jakby rozbawiony sytuacją, ale absolutnie pewien, że zostanie wysłuchany. Tak samo zareagowałby, gdyby Gilowicz znęcał się nad psem. Po prostu

okazał swoją moc nad pokonanym chamem, który natychmiast oklapł i ścichł. Leżałem czując, jak krew ścieka mi z boku policzka i stacza się za kołnierzyk mundurka.

Wiedziałem, że stało się coś niezwykłego.

W nocy, słuchając kłótni rodziców, leżałem w łóżku. Myślałem o zacytowanym przez dziadka fragmencie Talmudu, mówiącym o tym, że musi umrzeć poganin, który uderzy prawowiernego Żyda. O tym, jak bardzo wynikał z naszej bezsilności i upodlenia, domagającego się zimpotencjałej zemsty. Ale przede wszystkim myślałem o Adamie.

O jego smukłej sylwetce i zielono-szarych oczach, o złotych włoskach na karku i przedramionach i nieudawanej bucie spojrzenia. Pragnąłem go ze wszystkich sił. Uwielbiałem go. I leżąc w przepoconej pościeli, ze spuchniętym nosem, czułem narastające podniecenie i uniesienie.

Po raz pierwszy w życiu pokochałem kogoś.

ROZDZIAŁ V

Jechali przez kilka godzin, choć nie słyszeli za sobą pogoni. Zerwał się wiatr, który po chwili przygnał ze sobą ciężkie, sine chmury. Najpierw zrobiło się zimno, a potem lunął zimny deszcz, który wlewał się za kołnierze, mroził spocone ciała, chłodząc jednocześnie rozpalone rany. Warkocząc silnikami skręcili przy spalonym tygrysie, na którym wciąż widać było ślady po płonących na panczerzu ciałach.

Minęli bramę, nad którą widniał zatarty już herb szlachecki. Przejechali aleją wysadzaną topolami i zaparkowali z tyłu obszernego dworu. Zabudowania gospodarskie były spalone. Okna w domostwie były wybite. Z kominów nie unosił się dym.

- Musimy się zatrzymać - wykrztusił von Horn. - Już nie dam rady... - i zwałił się z siodła na chłostane deszczem błoto. Gebert wyskoczył z paki i dziwnie kobieco łkając zaczął podnosić leżącego.

- Musimy zaryzykować - próbował powiedzieć Rem, ale zabrzmiało to jak szept. - Ja już też nie dam rady dłużej... - zeszywniały zsiadł z motoru i opadł w błoto, złamany bólem i torsjami. Gebert oderwał się od Horna i podbiegł do niego.

- Ja proszę! - wyjąkał - nie zostawiajcie mnie tu samego! Nie umierajcie tak egoistycznie zostawiając mnie samego!

Z paki motocykla wyczołgał się Melkiades. Przytrzymując się burty zawarczał:

- Pomóż im przejść do dworu, Żydku!

- A jak nas wydadzą?

- Nie wydadzą - z trudem wykrztusił Cygan. - Gdyby ktoś tu mieszkał, zabiłby w zimie przynajmniej deskami okna.

Wyciągnął z kieszeni paczkę z machorką. Wykonał kilka niezbornych ruchów. Coś wymamrotał.

I zemdłał.

Wciągnęli Melkiadesa do pokoju z kominkiem i położyli na sienniku przyniesionym z paki motoru.

Motocykle wtoczyli pod schody z rzeźbioną balustradą. Dębowe drzwi były rozbite i ledwie wisiały na zawiasach. Parkiet przy drzwiach był spaczony, wyrzuszony od wilgoci. Meble były skradzione, tylko w górnych pokojach zachowały się wielkie szafy, wypełnione książkami, zbyt ciężkie, by komuś chciało się je wywozić. Reszta dworu była pusta. Ktoś zapobiegliwy rozebrał nawet kaflowe piece, zostawiając jedynie kamienny kominek, nad którym widniała rzeźba rycerza na przedziwnie koślawym koniu.

- To cała Polska - wydusił z siebie Gebert, gdy już wtaszczył rannych. - Ukradną wszystko, prócz książek...

- A na co parobkom książki? - zagryzając wargi z bólu spytał Rem. - Na podpałkę?

- Dlatego tu zawsze będzie, jak jest - płaczliwie wyjaśnił Gebert.
- Naród, który nie kradnie książek, jest skazany na upadek.

Z tyłu dworu leżał wciąż sąg porąbanego drewna, koło którego tkwił w ziemi przekrzywiony brzozowy krzyż z zatartym częściowo napisem:

Po. uczeń K.zysz.of Zmora

ps. „Bohun”

zmar.y 5.10.1944 r.ku.

Cześć .ego p.mięci!

Niech spocz.wa w Panu.

Koło grobu stał pień z wbitą weń zardzewiałą siekierą, którą jakoś przeoczono w powszechnej grabieży. Gebert opatrzył Rema i mającego Melkiadesa, który potem zasnął. Naznosił drewno, zapalił ogień w kominku i zawiesił nad nim kociołek przyniesiony z paki. Wsypał do gotującej się wody kaszy i do blaszanych kubków nalał spirytusu z baniaka, który Cygan stale woził ze sobą. Melkiades był nieprzytomny, a Sosnkowski

siedział zapatrzony ponuro przed siebie i gryzł z wściekłością źdźbło słomy z siennika.

- Nie ma po co się turbować - ostrożnie powiedział Baruch, podając mu kubek z ugotowaną, kleistą kaszą.

- Spapraliśmy robotę - warknął Rem, ale kubek wziął i zamieszał w nim aluminiową łyżką.

- Nie udało się teraz - zauważył filozoficznie von Horn - to uda się następnym razem.

- Może nie być następnego razu!

- Przesadzasz - von Horn był jakimś cudem w dobrym humorze, bo uśmiechał się wyrozumiale. - Rosjanie będą sądzić, że to Wehrwolf ich zaatakował. Nie widzieli naszych twarzy, ani nawet motocykli... Jak położyłeś kilku z nich tak łatwo, jakbyś strzelał do kaczek, to im się odechciało pościgu... Nikt nie chce umierać. Zwłaszcza, jak wojna już się skończyła. Zdechnąć od kuli, jak czeka się już tylko na rozpuszczenie do cywila, to zupełna głupota...

- Nigdy nie strzelałem do kaczek - mruknął z goryczą Sosnkowski.

Horn z kwaśną miną pokiwał głową, ale nic nie dodał.

- Sigismund - zaczął mówić Gebert, ale szybko się zreflektował: - Szlomo ma rację. Nie widzieli kto strzelał, a potem zniknęliśmy zbyt szybko, żeby mogli coś przedsięwziąć. Ja się na uciekaniu znam. Spuść się w tym na mnie!

- Masz dziwne propozycje, jak na syna Izraela - zauważył Rem.

- Przecież według Biblii mieliście spać jak dzieci pośród strzał i rozbijać armie Filistynów...

- To było dawno - zapewnił go Baruch. - Teraz spaliśmy za długo, żeby uniknąć zagłady.

- Może gdybyście walczyli, nie wymordowaliby was aż tylu?

- Może gdybyście nie wzniecali powstania, mielibyście wciąż stolicę, a setki tysięcy ludzi wciąż by żyło? - odpowiedział pytaniem Gebert i szybko odsunął się od zeszywniałego Sosnkowskiego, dorzucając dREW do ognia.

Wieczorem usiedli z kubkami spirytusu przy płonącym

kominku. Von Horn zapisywał coś w notatniku z książki pełnej wycinków prasowych. Gebert, który szperał przez całe popołudnie wśród książek, przyniósł pożółkły wolumen z napisem na pierwszej stronie:

**Protokoły obrad
Mędrców SYONU
Ku przestrodze**

**„Mane, Tekel, Upharsin!”
KSIĘGA STRASZLIWA
Międzynarodowy spisec żydowski przeciw
chrześcijańskim narodom i chrześcijańskiej cywilizacji
Dosłowne tłumaczenie tajnych dokumentów żydowskich
wraz z objaśnieniami
Tekst autentyczny z roku 1920**

Usiadł i nachylając ją do światła padającego od ognia, przeczytał na głos:

ŻYDZI JAKO NARÓD WYBRANY

Per Me regnat - Przeze mnie panują królowie. Prorocy zapowiedzieli nam, że wybrani jesteśmy przez samego Boga do panowania nad Światem. Bóg dał nam genialność, byśmy mogli skutecznie to zadanie. Gdyby obóz przeciwny był genialny, wówczas mógłby walczyć z nami, ale przybysz nie ma żadnej wartości dawnego obywatela. Walka byłaby bezlitosna, jakiej jeszcze świat nie widział. Zresztą genialność gojów była spóźniona... Wszelkie koła mechanizmów państwowych poruszają się dzięki działaniu silnika, pozostającego w rękach naszych. Silnik ten, to złoto. Wymyślona przez mędrców naszych nauka ekonomii politycznej od dawna już wskazuje na królewską powagę kapitału... By kapitał mógł działać bez skrępowania, winien dążyć do swobody organizowania monopolów w przemyśle i handlu, o co już dobija się we wszystkich częściach świata dłoń niewidzialna. Swoboda ta daje wagę polityczną przemysłowcom, co posłuży do ucisku ludu.

Obecnie rozbijanie narodów jest sprawą najważniejszą, niż popychanie ich do wojny, donioślejsze jest wyzyskiwanie na korzyść naszą zagorzałych namiętności, niż gaszenie ich. Ważniejszym jest przejąć i komentować po swojemu myśli cudze, niż je wypełniać... Aby opanować opinię społeczną, należy ją doprowadzić do dezorientacji, głosząc z różnych stron tyle poglądów sprzecznych i tak długo, dopóki goje nie zbłądzą w tym labiryncie i nie zrozumieją, że najlepiej jest nie mieć żadnych przekonań, co do spraw politycznych, których społeczeństwo nie może być świadome, bowiem świadomy jest ich tylko ten, kto kieruje społeczeństwem. Oto tajemnica pierwsza. Druga, której posiadanie jest niezbędne dla sprawowania z powodzeniem rządów, polega na tym, by o tyle rozplenić wady narodowe, przyzwyczajenia, namiętności, warunki współżycia, aby nikt nie mógł zrozumieć tego chaosu oraz żeby ludzie przestali pojmować się wzajemnie. Środek ten posłuży jeszcze do zasiania waśni wśród wszystkich partii, do rozczłonkowania sił zbrojnych, które nie chcą jeszcze ukorzyć się przed nami, do wyzucia z odwagi wszelkiej inicjatywy osobistej, zdolnej choć trochę szkodzić sprawie naszej³³.

- Jak to możliwe? - Gebert podniósł wzrok znad książki - jeśli im wierzyć, należę do rasy, która rządzi światem... A całe życie klepię biedę. Ledwie przeżyłem pięć lat, kiedy to jakieś germańskie obłąkane bydło chciało mnie zdusić jak kot myszę...

- Mysz - poprawił go machinalnie Rem.

- Mysz - zgodził się obojętnie Baruch. - Każdy mógł mnie wydać tym rakażom, albo dla hecy za brodę wyszarpać...

- Przecież nie masz brody? - przerwał mu Sosnkowski.

- Właśnie po to, by nie mogli szarpać - zaperzył się zniechęca Gebert. - A poza tym...

- Poza tym - wszedł mu w słowo Rem - chciałeś zostać kapelanem Wojska Polskiego... Widział kto brodatego księdza?

- Szydzisz - bezradnie powiedział Baruch. - A ja próbuję wyjaśnić...

- Nie ma co wyjaśniać! - ze złością wykrztusił Sosnkowski. - Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Jakoś to niespójne, prawda? Z

jednej strony światowy spisek, manipulowanie rządami, kumulacja kapitału i władzy... Wszystko, rzecz jasna, w imię syjonistyczno-talmudycznych ideałów... A z drugiej bieda żydowskich sztetli i szcucie Żydków jak bezpańskie psy. Jakoś w logiczną całość się to nie zgrywa, to chciałeś powiedzieć... tak?

- No tak, choć nie tak barwnie - Baruch jakoś dziwnie spojrział w mroczne oczy Rema pod ściągniętymi brwiami. - Poza tym, jak połączyć socjalistyczny syjonizm ze średniowiecznym Talmudem?

- Nie wiem - Sosnkowski przechylił kubek z wódką. Potem głęboko odetchnął. Oczy mu zmętniały, ale głos się nie zmienił.

- Ja sam w to wierzyłem - mruknął. - I dopiero teraz, pijany i ranny, mam na tyle siły, by się zastanowić nad tym. Cały ten żydowski nonsens wyjaśnia, dlaczego Polska od stuleci jest na dnie...

- Żydzi was na dno ciągną? - spytał z tyłu von Horn, nawijając blond pejsa na palec.

Rem z wściekłością odwrócił się do niego i w milczeniu mierzył go przez chwilę wzrokiem.

- Nie - wydusił z siebie w końcu. - Głupota. Niewyobrażalne, leniwe głupectwo.

Nie pamiętam, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Wszyscy chodziliśmy koło parku, by zobaczyć maszerujące dwójkami gimnazjalistki z katolickiej szkoły sióstr Urszulanek. Szły zawsze parami. Jak żołnierze w granatowych mundurkach z marynarskimi kołnierzami i białymi pończochami na kształtnych łydkach. Jasne włosy splecione w warkocze. Oczy spuszczone w fałszywej skromności. Plisowane spódniczki. I zapach. Bijący w nozdrza zapach rozgrzanych, dziewczęcych ciał.

Justyna była jedną z nich, ale w przeciwieństwie do reszty, mieszkała trzy przecznice ode mnie. Była więc dotykalna. Należała do mojego świata, pomimo plisowanej, granatowej spódniczki i marynarskiego kołnierza. Udowadniała, że codzienny pochód ledwie kielżnanego podniecenia nie był tylko rojeniem zatrutego

nasieniem mózgu, któremu Pan Zastępów nie pozwalał na ulgę wzorowaną na biblijnym Onanie.

Miała wielkie, migdałowe oczy. W cieniu długich rzęs jarzyły się słońcem szare tęczęwki, pełne złotych, roztańczonych plamek. Jasne, grube włosy były spięte w koński ogon. Wyobrażałem sobie, że dotykam leciutko szorstkich włosów, ściągam z nich rogową zapinkę i przeciągam palcami, rzeźbiąc rowki w gęstych pasmach. Twarz była kwadratowa, z mocno zaznaczonym podbródkiem. Biło z niej zdrowie i siła. Jak z młodego, idealnie zdrowego zwierzątka.

Szedłem za nią każdego dnia, gdy wracała ze szkoły. Daleko z tyłu. Ukryty w cieniu drzew i murów. Judejski szczur, przemykający wzdłuż ścian. Kryjący się w mroku. Daleki od rozświetlonej ulicy, do której przynależała Justyna. Książki niosła zwykle w skórzanym tornistrze, związanym paskiem. Nonszalancko przebiegała przez ulicę, ledwie umykając przed trąbiącymi automobilami. Nie mogłem uwierzyć, że zamiatający podwórka ciecie, policjanci z drewnianymi pałkami i zażywni kupcy, tak obojętnie mijają ją. Jakby nie widzieli jej anielskiej urody. Jakby byli ślepi.

Jej ojciec miał sklep z mosiężnymi lampami. Zaraz obok upchnięte były żydowskie geszefty, więc mogłem bez ryzyka podążyć za nią, udając jednego z mojej rasy. Byłem zbyt pochłonięty marzeniami o zarabianiu na gojach, by zwracać na cokolwiek innego uwagę. Wkrótce, by pozór nabrał pozory prawdy, zatrudniłem się jako subiekt w sklepie kolonialnym Jozafata Klinza. Klinz od pierwszej wojny cierpiał na zawroty głowy, które nasilały się popołudniami, więc za niewielką opłatą, przyjął mnie do swojej „ławki”, gdzie do wieczora stałem za kontuarem, czekając na moment, gdy Justyna pójdzie z drewnianą rakieta na pobliski kort, a ja z poziomu sutereny, będę mógł przykleić się do jej tydek w białych podkolanówkach, o które nonszalancko obijała się rakietą w skórzanym pokrowcu.

Nie wiem do dziś, jak odważyłem się podejść do niej. Wciąż też nie rozumiem, jak to się stało, że na moje wybełkotane pytanie, odpowiedziała z uśmiechem i zgodziła się, bym poniósł jej książki. Patrzyła na mnie rozbawiona. Jakby na coś czekała. A ja nie odważyłem się nic powiedzieć. Szedłem tylko obok. Spięty. Z

przepełnioną koszulą. Jak szczur, wywabiony z piwnicy na jasne podwórko. Oślepiiony słońcem. Ogłuszony normalnym życiem. Sądziłem, że moja ogłupiała nieudolność zakończy sprawę, ale następnego dnia zwolniła, gdy mnie dostrzegła za sobą. Nie umiałem nic z siebie wydusić, ale gdy wyciągnąłem rękę, wręczyła mi swoje książki i szła obok, nie tracąc ubawionego wyrazu twarzy. Od tej pory codziennie szedłem obok niej, niosąc jej tornister, a ona kpiąco przypatrywała się mi spod długich rzęs. Potem, gdy zrezygnowałem z posady u Jozafata Klinza, zacząłem jeszcze nosić jej rakietę. Siedziałem w cieniu drzew, patrząc na zalany słońcem kort, na którym Justyna z rozwianymi włosami odbijała zielonkawą piłeczkę. Biała spódniczka podczas gwałtownych ruchów czasem przesuwiała się ku górze, pokazując kawałek opalonego uda, a gdy miałem wyjątkowe szczęście, rozjaśniony marzeniem fragment bawełnianych majtek.

Ten lśniący kawałek płótna bezczelnie świecący w moje przyzwyczajone do mroków getta oczy, wystarczał, bym nie mógł spać nocami, wsłuchując się w mamrotanie dziadka czytającego Talmud za ścianą z desek:

„Nauczano: Rabbi Nehoraj powiada, że w pokoleniu, w którym przyjdzie Syn Dawidowy, młodzi będą obrażali starców, a starcy będą stawali przed młodymi, córka powstanie przeciw matce, a synowa wystąpi przeciwko teściowej, oblicze pokolenia będzie jak oblicze psa i syn nie będzie się wstydził przed ojcem...”³⁴ - bełkotał za ścianą dziadek, a ja widziałem przed sobą jedynie opalone uda i pasek bieli, pod którym tętniła obietnica życia.

„...Raw Kettina powiedział, że świat będzie istniał sześć tysięcy lat a tysiąc lat będzie niszczone, bowiem powiedziano: sam Pan wywyższony będzie dnia onego... Abbaje odrzekł, że będzie niszczone przez dwa tysiące lat, bowiem powiedziano: ożywi nas po dwóch dniach, a dnia trzeciego wzbudzi nas i żyć będziemy przed obliczem jego...”³⁵ Słowa mojej rasy były bezsilne. Liczyły się jedynie szare oczy i opalone uda, będące dla mnie bolesnym przypomnieniem, czym jestem i czym nigdy nie będę.

- Źle to wygląda - mruknął von Horn, patrząc na ciężko

unoszącą się pierś wciąż nieprzytomnego Melkiadesa.

Twarz Cygana była pokryta tłustym potem, a czubek nosa zbieleł, jakby pokryty warstwą wosku.

- Ktoś musiałby wyciągnąć kulę... żeby ustąpiło zapalenie.

- Nie umiem leczyć - powiedział bezradnie Sosnkowski. - Umieję tylko zabijać.

- Mój dziadek mawiał, że każdy fach jest dobry, jeśli tylko pozwala się utrzymać - wydukał pocieszająco Baruch. Gdy przechwycił spojrzenie Rema, zeszywniał i wycofał się na swój siennik, gdzie leżały wyciągnięte spośród bagaży książki Melkiadesa.

- Trzeba będzie pójść do wsi i popytać o lekarza - von Horn unikał wzroku Sosnkowskiego, który milczał, ale na bokach szczęki pojawiły się gruzełki zaciśniętych mięśni. - Wiem, że to ryzykowne - kontynuował - ale Melkiades bez pomocy umrze...

- Na Cyganach wszystko goi się jak na psie - Gebert znów próbował pomóc, ale tym razem pod wpływem spojrzenia Sigismunda, spuścił głowę i zaczął nerwowo grzebać w rozłożonych broszurkach.

- Wiem - wykrztusił po chwili - wszyscy w rodzinie mówili, że to niemożliwe, by ktoś tak głupi jak ja, był Żydem. Mój dziadek rozwiał podejrzenia wokół mojej nieboszczki mamy, gdy powiedział, że Bóg lubi równowagę, więc i wśród Żydów umieszcza pajaców, by ci mądrzy, rozsądni i studiujący Torę Żydzi nie zanudzili świata na śmierć... - chciał jeszcze coś dodać, ale przerwał mu Rem:

- No dobra, pójdę do wsi. Na lekarza bym nie liczył, ale może mają jakiegoś felczera?

- Pójdę z tobą - von Horn zdjął swoją mykę, założył czapkę i upchnął pod nią swoje blond pejsy. - Ty ze swoimi wielkopańskimi wybuchami jakoś źle działasz na lud polski. Potrzebujesz śląskiego zdrowego rozsądku. Chłopstwo nie lubi, jak im kto ich zbydlęcenie pcha przed oczy.

Pokornie paście się narody!

Na nic wolności dar dla trzody.

*Trzoda jest na to, żeby strzyc ją
Albo jej sprawić rzeź czasami,
A jej dziedzictwem i tradycją
Jest bicz i jarzmo z dzwoneczkami³⁶*

Wydeklamował znieńacka Baruch. Chwilę milczał, po czym mruknął:

- Ja tak zawsze w nerwach - położył się na sienniku i nakrył głowę kocem.

„Nauczano: Rabbi Jehuda powiada, że w pokoleniu, w którym przyjdzie Syn Dawidowy, Dom Zgromadzeń przemieni się w dom rozpusty; Galilea zostanie zniszczona a jej pogranicze spustoszone; mieszkańcy pogranicza wędrować będą od miasta do miasta i nikt się nad nimi nie zlituje; wzgardzona będzie mądrość uczonych, a znieńawidzeni ci, którzy brzydzą się grzechem; oblicze pokolenia będzie jak oblicze psa, a prawda zginie, bowiem powiedziano: będzie tak, że prawda zginie, a ten, co odstępkuje od złego, na łup podany będzie.”³⁷ - powtarzał mój dziadek, a ja choć nie chciałem, musiałem w to wierzyć.

Dwa lata nosiłem jej torbę i towarzyszyłem na kortach. Ani razu nie zaproponowała mi gry, ale zgadzała się, bym jej towarzyszył. Godziła się na moją obecność. Akceptowała ze wzgardą moją obłąkaną, fanatyczną miłość.

Nie pamiętam kiedy na kortach pojawił się Adam. Teraz myślę, że było to nieuniknione. Moja obecność przy Justynie była czymś nienaturalnym. Jak ślub ognia z wodą. Ona całe życie czekała na kogoś takiego, jak on: pięknego i zdecydowanego. Kogoś z jej rasy: jasnego i pewnego siebie. Pozbawionego żydowskich lęków i skrupułów. Płową bestię, dobrotliwie gardzącą wszystkim, co istniało poza jej światem. Gdy zapala się światło, ciemność znika. Więc jasnym było, że gdy przyszedł na korty w płóciennych spodniach i rozpiętej pod szyją koszuli, zniknąłem, jak mrok wygnany blaskiem świecy, jak stęchły zapach w starym domu, przegnany przeciągiem z otwartych szeroko okien. Moja rasa była zbyt stara, by stać ją na zdecydowanie. Justyna skończyła mecz i ze

śmiechem usiadła w cieniu dębu, pod którym kuciałem obserwując jej pokryty drobnymi włoskami kark, opalone uda i nieznośnie białe majtki. Wachlowała się chusteczką, przyglądając się spod oka dwóm wyprostowanym jak struny oficerom, którzy na balkonie kortowej restauracji obserwowali jej grę, a gdy skończyła, bezgłośnie zaklaskali.

„Wymasować ci stopy?“, spytałem przestraszony perspektywą odmowy. Zachichotała. Nie spuszczać z oka swych dalekich adoratorów, przeciągnęła się wypinając dziewczęce piersi i przysunęła się do mnie. Lubiła patrzeć, jak mężczyźni w takich momentach nieruchomieli i coś gasło w ich twarzach. Czasem w zmrużonych oczach pojawiała się niewypowiedziana pogarda, ale zwykle jej miejsce zajmowała bolesna, organiczna zazdrość. Nawet teraz, po tylu latach nie umiem wyobrazić sobie, co przelatywało im w słowiańskich czaszkach, gdy widzieli ubraną w biel, wyjątkowo piękną dziewczynę, przed którą klęczał semicki wielbiciel i masował jej opalone, zakurzone od kortu stopy. Dla mnie były to momenty największego uniesienia. Wierzch stóp był gładki i suchy, ale z tyłu pięt i w podbiciu czułem pod opuszkami palców dziewczęcy pot, który potem, gdy przykładałem palce do nosa, drażnił i kurczył podbrzusze nerwowym spazmem.

Wszedł przez bramkę w wysokim żywopłocie, równie pewnie, jak wtedy, gdy wkroczył do szatni naszej szkoły, rzucając nieme wyzwanie Gilowiczowi i jego zausznikom. Czysty i suchy. W nieskazitelnej bieli koszuli i płóciennych spodni. Ja klęczałem przed Justyną: spocony i rozgrzany jej zapachem.

On obojętnie spojrzał na mnie, a potem krótko zatrzymał wzrok na niej. Obojętnie, jak zawsze.

Nic się na pozór nie stało, a jednak poczułem, jak drgnęły mięśnie w smukłych stopach. Jakby chciała gwałtownie wyrwać nogi. Jakby dawna przyjemność z prowokowania zniecka przeistoczyła się w dojmujący wstyd. W ciągu sekundy przestałem istnieć. Odnalazła kogoś z jej rasy, a ja stałem się zbędny. Jak parszywy kot lub kalekie dziecko, którym dziewczycy kaprys każe się zajmować do czasu jednak, gdy Bóg ześle rozmarzonej dziewicy prawdziwie nordycką płową bestię, która - choć obojętna - nie

pochwala pospolitowania się z istotami mogącymi co najwyżej liczyć na wyniosłą obojętność. Podszedł do nas i przystanął leciutko skłaniając głowę w parodii grzecznego powitania.

A wtedy stało się, co stać się musiało. Justyna wyrwała stopy z moich rąk. Zaczerwieniona przygryzła wargę białymi zębami. Adam zaśmiał się sucho, ale milczał.

„Pan... zna Aarona?”, szepnęła. Przy imieniu głos opadł o kadencję, jakby wstydziła się wypluć to obrzydliwie semickie imię. Nie pamiętam, co powiedział. Nie było to ważne, bo już wtedy wiedziałem, że w tym momencie dała mu siebie. Akt oddania miał miejsce tam, w cieniu dębu. Byłem świadkiem największej zdrady w moim życiu. Straty, której powetować się nie dało... ale nie czułem nic, poza pustką. Wiedziałem, że Adam był spoza mojego dusznego świata gett, drobnych geszeftów i beznadziei. Istniał w chłodnym uniwersum wojowniczej pewności siebie, niezachwianych przekonaniach i braku jakichkolwiek wątpliwości. Nie zasługiwałem na tę dziewczynę, choć kochałem ją całym siedemnastoletnim sercem. Byłem gotów dla niej umrzeć, ale wiedziałem - czułem całym sobą - że to Adam miał do niej prawo. Była jego, nawet o tym nie wiedząc, a mnie pozostało tylko jedno - powiedzieć mu, jak bardzo ją kocham. Prosić go jak Boga, by miał dla mnie zmiłowanie. By oszczędził moją jedyną miłość, by wejrzał w moje serce i pojął, że ta jedna dziewczyna zajęła w nim miejsce mojego Boga, rasy i mnie samego. Chciałem ukorzyć się i oddać mu wszystko, co semicki chłopiec, syn kantorowego pisarczyka, posiadał. Pragnąłem tylko bożej litości. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, że litość jest uczuciem obcym bogom.

Weszli do wsi, witani jazgotem psów, które chciały się urwać z łańcuchów i dławily się wściekłością, gdy mijali kryte chałupy z zamkniętymi okiennicami.

- Duża wieś - zauważył von Horn. - Muszą mieć tu kościół... Trzeba od razu do księdza iść. On będzie wiedział, gdzie tu ktoś mieszka, co leczyć umie.

Poszli wzdłuż drogi, prowadzeni nienawistnym skowytem dławionej za życia psiarni. Minęli cmentarz z kamiennym,

malowanym krzyżem i zobaczyli w mroku zarys drewnianej dzwonnicy, obok której bielała w księżycowym świetle zbudowana z pruskiego muru plebania.

Sosnkowski zastukał w drzwi, ale choć w środku słyhać było skrzypienie podłogi, a w szparach okiennicy zapełgał blask świecy, nikt nie otworzył. Rem powtórzył pukanie. Tuż za drzwiami ugięła się podłoga i ktoś nerwowo zakasłał.

Sosnkowski nie wytrzymał i walnął w drzwi pięścią.

- Proszę otworzyć! - zawarczał. - Dobrzy chrześcijanie o poradę prosić przyszli.

- Nie ma księdza dobrodzieja - jękliwie ktoś powiedział zza drzwi. - Sama tu jestem i tak mnie straszno, jako tej duszy czyścicowej... - końcówka zdania brzmiała już całkiem normalnie z zaśpiewem przywodzącym na myśl niedzielną mszę. Rem pokiwał głową, po czym walnął w drzwi nogą i chrapliwie wykrztusił:

- Ksiądz otworzy, zanim stracę wiarę... i cierpliwość! Poskutkowało, bo wierzeje puściły i w drzwiach stanął łysiejący pleban z cynowym lichtarzem w ręce i histerią w oczach.

- Jakoś mało chrześcijańsko, księżo, do podróży się odnosicie! - wyrzucił z siebie Rem.

- Och, to moja gospodyni - tonem swobodnej konwersacji odparł klecha. - Przez tę wojnę ma trochę z głową, to się i boi, biedaczka...

- A gdzie ona? - uprzejmie spytał von Horn.

- Na widok obcych mężczyzn umkła - fałszywie uśmiechnął się pleban.

- Um-kła? - Rem zrobił minę, jakby chciał coś wypluć. - To po francusku?

- Lekarza szukamy - wtrącił szybko von Horn. - Wypadek tu pod wsią mieliśmy i towarzysz nasz ranny jest...

- Chętnie pomogę - zaśpiewał ksiądz, zezując na zaciętą twarz Rema. - Ale skąd mam wiedzieć, że z dobrymi chrześcijanami mam do czynienia?

- Dajemy słowo honoru - solennie powiedział Sigismund i zdjął czapkę. Po obu stronach twarzy rozwinęły się jasne, urokliwie

skręcone pejsy.

Ksiądz zrobił krok do tyłu.

- To prowokacja? - zajęczał. - Komunistyczno-żydowski spisek?!

- Ależ nie! - próbował załagodzić von Horn. - O, proszę spojrzeć: umiem się przeżegnać! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... Amen! - złożył pobożnie ręce, a potem szybko dodał:

- A zna ksiądz ten kawałek?

Lecz błędy wszystkie kto swe widzieć może?

Ty mię sam oczyść, wiekuisty Boże

I wniwecz obróć moje wszystkie złości,

Któremim zmazań prócz mej wiadomości...³⁸

Chciał dalej mówić, ale zmęczony tą błazenadą Rem postąpił krok w stronę klechy i złapał go za wyplamioną sutannę na piersiach.

- Szukam lekarza - wysyczał - albo felczera, albo babki wiejskiej... Kogokolwiek, kto mógłby pomóc przyjacielowi. Rozumiesz to słowo, faryzeuszu? Więc albo powiesz mi, gdzie kogoś takiego szukać, albo powiesz adieu zębom...

- Idźcie do starej Zgrzendkowej! Pójdziecie prosto. Za smętarem skręcicie przy takim kamieniu z napisem... w prawo i cały czas przed się... aż do jej chałupy! - wykrztusił pleban. Oczy latały mu jak oślezione gołębie. - Ona leczyć umie i diabłu duszę sprzedawała... Ona nawet żydowskie dziecko w czas okupacji chowała, choć chłopcy za to jej norę z ogniem puścić chcieli!

Rem rozluźnił zaciśnięte na zetlałej sutannie dłonie, a potem wytarł je o spodnie.

- No widzi ksiądz! - ucieszył się von Horn. - Wszystko da się między ludźmi załatwić. Trzeba tylko słuchać i grzecznie odpowiadać... Przepraszam, że źle argumenty dobrałem, ale kolega lepiej zna katolicką moralność... ja się w protestanckiej, niemiecko-śląskiej rodzinie chowałem...

Uśmiechnął się miło. Napluł w dłoń i przygładził kosmyk wzburzonych włosów na czaszce księdza.

- To za to, że te chłopcy jednak Zgrzendkowej czerwonego kura na dach nie puściły - wyjaśnił. - Wierzę, że to księdza zasługa.

Zrobiłem jak moi przodkowie. Ukorzyłem się przed moim prywatnym złotym cielcem. Poszedłem do niego po lekcjach. Niemal ukląknąłem. Mówiłem, jak bardzo kocham tę dziewczynę, jak jej pragnę. Wydusiłem z siebie, że ona jest jego, choć może nawet sama tego nie wie, że każda kobieta będzie jego, jeśli on tego zechce, ale że ja, spośród milionów innych, wybrałem tę jedną.

Słuchał z uśmiechem. Wyjął papierosa z paczki, którą co tydzień dostawał od opętanego plebejską miłością do pańskiej arogancji Gilowicza.

Milczał, więc w końcu wydusiłem z siebie, że kocham tylko ich dwoje. Jego i ją. W tej kolejności. Wtedy zniknął uśmiech. „Znam ja was”, powiedział. Z torby wyciągnął książkę i na głos przeczytał:

„PANKRACY: ...Czy znasz hrabiego Henryka?

PRZECHRZTA: Wielki Obywatelu, z widzenia raczej niż z rozmowy - raz tylko, pamiętam, przechodząc na Boże Ciało, krzyknął mi - „ustąp się” i spojrzał na mnie wzrokiem pana - za co mu ślubowałem stryczek w duszy mojej”³⁹.

Spojrzał na mnie szyderczo i spytał, czy potrafię zaprzeczyć wieszczowi. Jego jasne oczy patrzyły na mnie ironicznie i arogancko. On nie miał żadnych wątpliwości. Jak archanioł. Jak idealnie zdrowe i śmiałe zwierzę. Czekał przez chwilę na moje słowa, a gdy milczałem, parsknął pogardliwie.

„Nie powinienes Aaronie wierzyć kobietom”, powiedział w końcu tonem naśladowującym ojcowskie pouczania. „Zwłaszcza takim, jak Justyna Antczak. Nawet w tym nazwisku kryje się drobnomieszczańska małość. Oczywiście rozumiem, że jako Izraelita nie pojmiesz tego, co próbuję ci powiedzieć, ale uwierz mi, że nie ma nic gorszego niż zakochanie się w samicznym filistrze. Znajdź sobie jakąś Salcię i spłodź z nią dziesięcioro małych Aaronów, ale zapomnij o wszystkich tych płowowłosych Antczakach, bo oni mają całą chciwość waszej rasy, ale za grosz waszego rozumu.”

W środku wsi, za kościołem stała drewniana karczma z nieudolnym rysunkiem kufła piwa nad wejściem. Nad drzwiami

wisiała lampa naftowa, oświetlająca napis farbą na belkach: *TRZY RAZY TAK!!*. Pod nią szamotało się dwóch pijanych mężczyzn. Dwóch innych stało z boku, przypatrując się uważnie walce. Sądząc po niezbornych, zwolnionych ruchach wszyscy byli pijani.

Gdy usłyszeli kroki, przerwali mocowanie się, wspomagane dziarskim kurwowaniem. Zastygli wszyscy, przypatrując się Sosnkowskiemu, który wkroczył z ciemności w krąg światła.

Zza niego wysunął się von Horn i z przymilnym uśmiechem spytał:

- Panowie, szukamy pani Zgrzendek... Dobrze idziemy?

- Pani Zgrzendek! - wypluł z siebie jeden z chłopów w sklejonym od brudu filcowym kapeluszu. - Pani!!

- Posłuchaj Sigismundzie - zgrzytliwie powiedział Rem. - Lud polski już przestał być prosty. Już nawet potrafi użyć ironii. To znak, że zaczną rządzić wozacy i rzeźnicy.

- Co on tam gada? - wydukał jeden ze stojących, marszcząc z wyraźnym trudem czoło.

- Nic, nic, dobrzy ludzie - szybko wtrącił von Horn. - To kolega mój... były rządcą majątku pod Lwowem. Stracił pracę, to się żołądkuje... A my tylko pani Zgrzendek szukamy, bo druh nasz zachorzał.

- Pani Zgrzendek! - powtórzył ten zdolny do pańskiej ironii. Tym razem Sosnkowski nie zmilczał.

- Co jest nie tak z tą panią Zgrzendek? - szczechnął. - Stała się panem?

- Ni - filozoficznie wydymając policzki odpowiedział uzdolniony kmięć. - Ino, że to nie pani.

- A kto?

- To żydowska kurwa jest! - oświadczył z wyraźną satysfakcją kmiotek.

- Nazwisko dziwnie polskie - zauważył von Horn, patrząc z niepokojem na zaciśnięte wargi Rema. - Jak na żydowską kurwę, rzecz jasna....

- Za piniondze Żydom się sprzedawała - wyjaśnił jeden ze stojących w półcieniu, na granicy mroku.

- Jakim Żydom? - zdziwił się von Horn. - To oni zamiast przed SS uciekać, z Polkami się gzili??

- Bachora barabasów chowała - krzywiąc się mruknął chudy mężczyzna w kapocie, który do tej pory milczał. - Choć całą wieś spalić za to mogli.

- I gdzie ta łajdaczka mieszka? - połykając głoski wykrztusił von Horn. - Tak jak nam mówili? Za cmentarzem w prawo i cały czas prosto?

- Ano utrafiliście - mruknął zarośnięty chłop oparty o framugę drzwi uważnie przysłuchujący się rozmowie. - Ale nie mówcie tu głośno, że starą Zgrzendkową chcecie odwiedzić. Gdyby się jej czarów nie bali, dawno by jej łuną w oczy zaświecili.

- A to i dzięki za radę! - Sigismund w panice pociągnął za sobą Sosnkowskiego, któremu zaczęły drgać wargi, odsłaniając zaciśnięte zęby. Gdy światło lampy za nimi znikło za krzakami, Sigismund położył drżącą rękę na ramieniu Rema, a drugą delikatnie dotknął jego szczeciniastego policzka. Sosnkowski złapał go boleśnie za nadgarstek, ale zmilczał.

- Jak to możliwe, że ty jeszcze żyjesz? - gorączkowo wyszeptał von Horn. - Jesteś archaiczny jak mamut... z twoją pańską arogancją powinieneś żyć sto lat temu.

- Nieprawda - wysyczał Sosnkowski, strząsając z siebie dłonie von Horna. - To nie jest pańska arogancja... to tylko strach i odraza. Rozumiesz, Szlomo? Mnie to wszystko potwornie brzydzi i boję się tego, co widzę. Za bardzo się boję, by zważać na to, co robię. Ja po prostu kiedyś wierzyłem w ten naród. Zabijałem dla niego, a nawet byłem gotów sam umrzeć... A teraz mnie tylko mdli.

Umilkł i nie oglądając się na von Horna, ruszył piaszczystą drogą, nad którą jarzył się widmowy, blady księżyc.

Zacząłem jeździć na wycieczki rowerowe za miasto. Najpierw pożyczałem bcykl od szewca Nehuma, ale gdy Nehum nie mógł raz wrócić z warsztatu na czas szabatu, przestał mi pożyczać rower. Musiałem znów pracować u Jozafata Klinza, który zaczął chorować, więc coraz rzadziej pojawiał się w swoim sklepie. Gdy w końcu

kupiłem używany jednośląd, nie mogłem uwierzyć w to, jak wysoko wspiąłem się w hierarchii społecznej. Stał przede mną cudownie czarny ze skórzanym siodelkiem, z którego boku wystawały wprawdzie wiechcie trawy morskiej, ale jego grzbiet był cudownie lśniący, niczym siodło końskie wyszlizgane przez ułana przez lata długich bojów. Mój ojciec, choć już od miesięcy źle się czuł zszedł wraz z dziadkiem popatrzeć, gdy czyściłem go z rdzy i gotowałem w oleju łańcuch. Dziadek, ściskając swój napuchnięty od raka brzuch, patrzył długo na mnie, a potem przyklnął oczy i wyrecytował:

„Rabbi Eliezer powiada, że gdy Izrael będzie czynił pokutę, będzie odkupiony, gdyż powiedziano:

Nawróćcie się synowie oporni, a ulecę odwrócenia wasze. Rabbi Jehoszua odparł: powiedziano przecież: darmoście się zapredali, przetoż też nie srebrem wykupieni będziecie. Darmoście się zapredali - znaczy z powodu bałwochwalstwa, zaś: przeto nie srebrem wykupieni będziecie - nie pokutą i dobrymi uczynkami”⁴⁰. Milczał chwilę, trąc tylko zażawione oczy, a potem w milczeniu zaczął wspinać się na strome, skrzypiące schody. A ojciec, który był już wtedy słaby jak dziecko, tak, że mame musiała go często karmić łyżką, z rozpaczą patrzył na ten symbol rozrzutności i w końcu powiedział, że wciąż ma nadzieję, bo przecież jestem jego synem, więc nie mogę być przecież aż tak głupi... On także powoli wszedł na schody, by opowiedzieć ze szczegółami mame o szalonej rozrzutności jej syna, a ja zostałem sam z rowerem, na który wydałem pieniądze, wystarczające na miesiące kupowania lekarstw przeciwbólowych dla dziadka.

Jeździliśmy w każdą niedzielę: ja z Justyną i Adam. Właściwie powinienem powiedzieć, że to oni jeździli, ja zaś dołączałem do nich. Nie odpędzali mnie, więc jechałem za nimi, jak bezpański pies, czując wciąż w nozdrzach smród stuleci gett i z zazdrością patrząc na ich smukłe, opięte w płócienne ubrania sylwetki.

W któryś gorący lipiec Justyna wyjechała wraz z rodzicami do majątku swego wuja pod miastem. Jeździliśmy do niej z Adamem, pedałużąc potem przez kilka godzin, by zobaczyć pomarańczowy poblask na brzuchach przepływających obłoków i poczuć znów znajomy smród rynsztoków. Którejś jednak soboty, zostaliśmy

zaproszeni przez rodziców Justyny do pozostania na nocleg w majątku. Do dziś nie umiem pojąć, co skłoniło zażywnego pana Antczaka do zaproszenia Aarona Stallmana. Być może przywykł traktować mnie i Adama jako jedność. Zatem nie umiał odciąć nas w zaproszeniu. Oficerski syn włókł ze sobą zawsze semicki cień i nikomu nie przyszło do głowy, by go tego cienia pozbawić.

Wieczór był duszny i rozpachniony. Piliśmy jabłecznik robiony przez zarządcę osobiście, co podkreślał stale pan Antczak, robiąc przy tym wrażenie jakby zaraz miał zasnąć, bo przeciągał słowa i mętnie patrzył przed siebie spod opadających powiek. W końcu matka Justyny wzięła go pod ramię. „Drogie dzieci”, zagruchała. „Do łóżek, bo jutro rano do kościoła wstać musimy”. Spojrzała na mnie jakby speszona i dodała: „Zresztą, kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Dobranoc dzieci”.

Zajmowałem wraz z Adamem pokój w służbówce, którego okno wychodziło na sad. Wiedziałem, że Justyna spała w pokoju koło bawialni z oknem także od strony sadu. Patrząc na ciemniejące na tle księżycy drzewa, wyobrażałem sobie, że i ona patrzy na nie. Myśl ta sprawiała mi przyjemność, jakbyśmy mieli wreszcie coś wspólnie.

Adam zapalił papierosa siedząc na łóżku. Milczał. Potem wstał i powiedział, że musi się przejść przed snem. Wyszedł cicho zamykając za sobą drzwi. Zostałem sam. Zostawiony przez niego na krawędzi rogowej popielniczki papieros spalał się powoli. Dym snuł się po wywoskowanych deskach podłogi z widocznymi dziurkami po kornikach. Wykruszyłem z niego żarzącą się grudkę i odłożyłem w mosiężną gilzę na krawędzi popielniczki. Adam nie wracał. Było gorąco. Tak duszno, że musiałem oddychać przez otwarte usta. Pociłem się i czułem, jak pot ścieka mi pod koszulą, jak przesącza się przez płótno z tyłu pleców i chłodzi chorobliwie spięte mięśnie. Wziąłem wygasłego papierosa i włożyłem do ust, czując wilgoć cudzej śliny na bibułce. Zapaliłem go i siedziałem w oknie, wdychając głęboko dym. Zakręciło mi się w głowie. Zamknąłem oczy, czując, jak wszystko w środku wiruje. Gdzieś pośród szumu wichru w mojej głowie słyszałem skomlenie psów i

czyjś płacz. Starannie zgasilem niedopałek. Wyszedłem z pokoju i wzduż ścian, szturcho przeszedłem do drugiego skrzydła dworu.

W sadzie buszowały jeże. Księżyc nieruchomo tkwił nad czarnymi gałęziami, oślepiając moje obolałe oczy. Nietoperze bezgłośnie śmigają nade mną, zręcznie wyhamowując tuż przed pokrytym spękaną dachówką dachem. Końcówkę drogi przeszedłem przyklejony do białej ściany. Niewidoczny. Ukryty w mroku wraz z koncertującymi świerszczami i polującymi na odpadki szczurami. Jak one, przestraszony i czujny.

Wiedziałem, ku czemu zmierzam, więc nie byłem zaskoczony, gdy usłyszałem jej stłumiony jęk. Jakby ugryzła poduszkę, by stłumić wszelkie odgłosy. Potem, gdy już przysiadłem pod uchyloną, drewnianą okiennicą, doszły mnie ich przyśpieszone oddechy. Szepty i jej jęki. Najpierw wolne i ciche. Pełne oczekiwania. Potem postękiwania dostosowały się do rytmu gnących się sprężyn metalowego łóżka, nad którym na pewno wisiał święty obraz przedstawiający fałszywego mesjasza Joshua. Wbijał ją w siennik coraz ostrzej, ona zaś przygryzała wargi, by nie ściągnąć do swego dziewiczego buduaru zaniepokojonej mamy.

Każdy jęk wbijał się we mnie jak szpilki wpychane pod paznokcie. Każde skrzypnięcie sprężyn bolało. Kark miałem spięty tak, że mięśnie pod uszami zaczęły boleć, a gdy stęknęła silniej, zagryzłem zęby tak silnie, że coś chrupnęło i poczułem na języku ostre jak igielki ułamki. Przepocona koszula mroziła rozpalone ciało, a mięśnie uda napinałem z taką mocą, że bolały kolana.

Potem jednak coś we mnie pękło. Poczułem, że jestem Adamem. On dla mnie wchodził w niekochaną dziewczynę. Dla mnie rozdierał jej pochwę, delikatną jak końskie nozdrza. Wdychał jej pot, czuł wilgoć jej krocza i twardniejące sutki dziewczęcych piersi. Przez niego - i dzięki niemu - posiadałem ją wtedy. Ja, Aaron Stallman leżałem na szczipłym, lecz miękkim brzuchu Justyny Antczak. Zlizywałem pot z jej napiętej w rozkoszy szyi. Syciłem ją własną śliną i nasieniem. Byłem nim. W końcu stało się niemożliwe. Wyszedłem ze smrodliwego getta, porzucając za sobą stulecia rozpacz i beznadziei.

Wtedy, w lipcową noc, czując między nogami śliską wilgoć i

prężąc się z bolesnej rozkoszy, zrozumiałem, kim jestem. Kim powinienem być. Kim być chciałem.

Na piaszczystej drodze leżały bezładnie zwalone szczątki zwierząt gospodarskich i śmieci. Duszący smród tłumił zapach maciejki, dławiał.

- Rzucają jej padlinę przed dom - mruknął von Horn. - Ale widać, że bliżej podejść się bali... Czym ona ich przestraszyła? Klątwą kabalistyczną?

- Chłop polski jest praktyczny - Sosnkowski zaciągnął się papierosem, co przez chwilę wycięło z mroku jego ostre rysy. - Widzieli, że Niemcy Żydów jak psy tępili, więc w żydowskie klątwy by nie uwierzyli.

Tam, gdzie kończyła się droga widać było wykręczone drzewa owocowe, rozpadający się płot z oplecionych powojem sztachet, a za nimi chałupę krytą gontem, ciemniejącą na tle księżyca. Furтка była zamykana jedynie na kawałek parcianego pasa, zarzuconego na sztachety. Podnieśli go, pchnęli kruszące się pod palcami deski i przeszli do drzwi, na których widać było ślad po żółtej farbie. Gdy zastukali w drzwi, w mroku z lewej strony chałupy zaświeciły się zielonkawe oczy. Rem sięgnął za pas i wyszarpnął pistolet.

Z pasma cienia rzucanego przez chałupę wynurzył się wielki, najeżony wilczur. W blasku luny bieleły się wyszczerzone zęby, ale choć zbliżał się płynnie jak kot, robił to w zupełnej ciszy.

- Zabij to bydlę!! - zajęczał von Horn.

Rem przeładował pistolet, ale wtedy drzwi chaty uchyliły się lekko.

- Panowie nie strzelajcie - rozległ się zgrzytliwy głos. - To ino mój pies... Szarn, do budy!!

Zwierzę przypadło do ziemi. Zgasły latarenki oczu.

- On nic złego nie robi - z fałszywą przyjaźnią w głosie zaskrzeczała kobieta, która wyszła przed próg. - On ino tak... Ino figle mu w głowie.

- No tak - odetchnął głęboko Sigismund. - Wystarczy popatrzeć, od razu widać, że on zabawy potrzebował. Niemal w

gacie popuściłem, taki to figlarz.

- Ale pany z drogi zeszli - wtrąciła starucha, podnosząc świecę, którą trzymała z boku w cynowym lichtarzu, co sprawiało, że wyglądała jak widmo. - Wieś w drugą stronę jest...

- My Zgrzendkowej szukamy - przerwał jej Rem - Wyście są?

- Dyć - potwierdziła stara kobieta. - Ale ja żech niczego złego nie zrobiła!

- Wiemy to - mruknął Sosnkowski. - Pomocy potrzebujemy. Towarzysza mamy rannego. Opatrzycie go?

Starucha w milczeniu przybliżyła świecę do jego twarzy i w milczeniu mu się przyglądała. Wydymała przy tym pergaminowe skrzydełka nosa, jakby węszyła. Miała chudą twarz z wielkimi workami pod czarnymi jak węgiel oczami. Siwe, kiedyś ciemne włosy były gładko zaczesane. Za plecami wisiał jak mysi ogon ciasno upleciony warkocz. Wysunęła rękę i złapała Rema za lewą dłoń. Miała palce szorstkie jak tarka, a paznokcie zrogowaciałe jak zwierzęce pazury. Podniosła dziwnie bezwonną rękę Sosnkowskiego do oczu, chwilę ją oglądała, a potem błyskawicznym ruchem przytknęła ją do policzka. Rem szarpnął się i cofnął o krok. Kobieta zaśmiała się, ale śmiech zakończył się rozdygotanym jękiem.

Przekrzywiła głowę i cicho powiedziała:

- Masz chorą duszę, mężczyzno. Jesteś silny, ale nawet tak silna dusza nie wytrzyma tyle poczucia winy.

- Bredzisz, starucho! - warknął Sosnkowski.

Zachichotała.

- Tacy jak ty, mężczyzno - mruknęła - całe życie odkupienia win szukają. I nigdy nie znajdują... Za dużo w tobie dumy i pogardy, mężczyzno... Tacy, jak ty w psiej zamieci zginąć muszą. Uważaj na psy, bo od ich kłów nawet wilcy giną.

- No dobra - chrząknął stojący za Remem von Horn. - Gdybyśmy z tych klechd na ziemię zejść mogli, co? Kolega ranny jest. Opatrzy go pani? Nikt poza panią we wsi tego nie umie.

- Popatrzę na niego. Posłucham - kiwnęła głową Zgrzendkowa. - Jeśli druh wasz żyć wciąż chce, stara Zgrzendkowa go uratuje, ale ty półmężczyzno, uważaj na swoją miłość, bo ona cię też w

psie zęby zaprowadzi. Ty też masz śmierć w twarzy... Kochasz go za mocno...

- Dostyc! - przerwał jej sykiem von Horn. - Nie wiem, skąd się tu wzięłaś, więdźmo, ale zamknij się!

- Stara Zgrzendkowa zawsze milczy - zagruchała fałszywie staruszka. - Mówi tylko, gdy musi. Pójdę z wami i - jeśli on wciąż chce tu zostać - uratuję waszego przyjaciela, ale jeśli to zrobię, weźmiecie małego Moszka, co by go chłopcy ze wsi już szcuć nie mogli. Ciężko mi się będzie z synkiem rozstać, ale stara Zgrzendkowa długo już żyć nie będzie, a Moszek mały, to i długo mu jeszcze przyjdzie na tym świecie zostać, po co majom go jak lisa hecować...

Von Horn chciał coś powiedzieć, ale ubiegł go Rem.

- Dobrze - powiedział szorstko. - Zaopiekujemy się znajdą.

41

Wypakowane książki dziadka mówiły o upadku mojego narodu, o biernym wyczekiwaniu Mesjasza przez setki i tysiące lat. Losem mojej rasy było oczekiwanie wybawienia i codzienne zaszczucie.

„Podobnie zapytał kiedyś pewien heretyk Rabbiego Abahu:

Kiedy przyjdzie Mesjasz? Ten odpowiedział mu: kiedy waszych ludzi ogarnie ciemność. Ów odrzekł: więc wyklinasz mnie?! Ten odpowiedział: czytaj, co mówi Pismo: bo oto ciemności okryją ziemię, a zaćmienie narody; ale nad tobą wejdzie Pan, a chwala jego nad tobą widziana będzie.”⁴²

Ja już nie musiałem czekać, poprzez Adama wyzwoliłem się z przekleństwa mojej rasy. Już nie musiałem co rano patrzeć na wzdęte ropą i wodą podbrzusze dziadka. Siedzący przy oknie ojciec zbyt słaby by czytać, bezmyślnie miętolący swoją myckę i zmęczona, straszliwie zbrzydła matka, stali się jedynie przykrym wspomnieniem. Ja, poprzez Adama, stałem się nowym człowiekiem. Jeździłem konno, uczestniczyłem w ćwiczeniach „Strzelca”, pogardliwie odsuwałem na bok Gilowicza i obrażałem jego przyćmionych moją wolą mocy lokajów... A nade wszystko, przez niego wchodziłem w Justynę Antczak. Przychodziłem wraz z nim do jej domu przed powrotem rodziców. Wyprawiałem służbę

po zakupy, a potem kładłem się w łóżku, nad którym Jezus w Ogrójcu modlił się do swego ojca, pocąc się ze strachu przed Kielichem Próby... I wreszcie dotykałem jej gładkiego, brzoskwiniowego ciała. Muskaliśmy się wargami, a potem pocałunki stawały się bolesne. Zderzaliśmy się zębami, kaleczyliśmy wargi i wreszcie otwierała się przede mną. Gorąca i miękka. Wypełniona puchem i bitą śmietaną.

Uległa.

Tylko moja.

Należała do mnie z taką samą gotowością i oddaniem, jak wcześniej grała w tenisa. Czekwała całe życie na mnie. Na moją kwadratową szczękę, jasne, nieruchome oczy i bezczelny uśmiech. Urodziła się, by należeć do mnie.

Do Adama.

Do mnie.

Zgrzendkowa pochyliła się nad Melkiadesem. Pierś Cygana unosiła się z trudem, a twarz zrobiła się blada i pokryta lepkiem potem. Przyłożyła rękę do czoła, a potem porowaty nos przytknęła do ucha leżącego. Węszyła chwilę. Odsunęła się i zza pazuchy wyjęła świecę, na której wycięte było kozikiem: REX MORTUARUM⁴³. i skórzaną sakiewkę. Otworzyła ją i wysypała na ziemię kupkę pociętych drobno ziół. Popłuła na lewy kciuk i uformowała w suszu dziurkę, do której nacięła kozikiem kawałki huby. Zapaliła świecę i przytknęła do wymoszczonego hubą suszu. Grzyb rozjarzył się i pufnął wonnym dymem.

Sosnkowski podszedł do niej i złapał ją za rękę.

- Masz go leczyć - warknął - a nie durne czary odprawiać! Zgrzendkowa zachichotała. Nie wyrywając ręki z uchwytu powiedziała łagodnie:

- Wasz druh jest dobrze opatrzony Nic tu więcej zrobić nie mogę. Mogę za to spytać go, czy chce zostać, czy odejść. Będziesz wiedział, czy go dalej zatrzymywać, mężczyzno. Nie przyjdzie ci nowej winy na duszę brać.

Puścił ją i cofnął się. Powoli wyjął papierosa i włożył w zaciśnięte usta. Zapalił i wymruczał:

- Zrób co możesz, kobieto. To mój przyjaciel.

Starucha powtórnie zaśmiała się. Dłońmi zaczęła wachlować Melkiadesa, okadzając go płazącym się nisko dymem. Cygan drgnął i wyprężył się. Zaczął oddychać szybciej. Dłonie poczęły drgać i ścisnąć fałdy koca. Zgrzendkowa pochyliła się nad nim i węszyła. Przejechała szponiastymi rękami po spoconym czole, zostawiając czerwonawe pręgi. Melkiades wygiął się w łuk i zajęczał. Kobieta skłoniła się nad nim i szeptała mu do ucha. Cygan coś niezrozumiale wymamrotał. Jego twarz znienacka wykrzywiła się w uśmiech szczęścia. Staruszka usiadła przy nim, nie przestając szeptać. Melkiades otworzył oczy. Wpatrywał się w powałę, jakby widział coś, na co długo czekał.

- Papsza! - zawołał. - Kola!!

Wyciągnął przed siebie ręce, próbując coś łapać. Uśmiechał się przy tym, jak dziecko, które dostało prezent pod choinkę. Zmarszczki wokół oczu i ust wygładziły się. Twarz straciła swój zgorzkniały, zacięty wyraz.

Zgrzendkowa położyła dłoń na rozpalonym czole. Nie przestawała mówić do siebie tak cicho, że nie dało się rozróżnić słów. Melkiades zaczął się miotać na sienniku. Przytrzymała go obiema rękami, stale coś szepcząc.

Twarz Cygana zrobiła się bladożółta jak hotelowe prześcieradło.

Oddychał chrapliwie, walcząc o każdy oddech. Wargi zsiniały. W kącikach ust pojawiła się biaława piana. Paznokcie szerniały, a pod oczami wykwitły wielkie, ciemne sińce.

Zgrzendkowa odwróciła się do Rema. Była spocona jak po ciężkiej pracy. Biła od niej gorączka.

- Chce odejść do swoich - zatchnęła się.

- Wiem - powiedział cicho Sosnkowski. - Pozwól mu iść.

ROZDZIAŁ VI

Rano za pomocą siekiery i znalezionej w piwnicy łopaty wygrzebali dół koło grobu porucznika Zmory. Złożyli w nim ciało Melkiadesa zawinięte w zszyte worki po ziemniakach. Zasykali je mokrą gliną. Na wierzch grobu położyli przywleczone z drogi kamienie, by nie wykopały go psy.

Baruch wbił w ziemię tabliczkę z napisem:



*Towarzysz Melkiades
Umarł dla Wielkiej Sprawy
Cześć jego pamięci!*

Von Horn wyjął z paki wozu gitarę Cygana.

- Nauczył mnie tego na poprzednim postoju - wymamrotał i uderzył lekko w struny.

*E szuriaki e szuriaki
A ke romniakere pszała zagijom
But brawinta, but brawinta
Aj but brawinta szuriakenca wypijom.
Aj daram daj daraj dam...⁴⁴*

Zaśpiewał cicho.

Baruch rozlał wódkę do szklanek. Wypili w milczeniu. Zgrzendkowa chlupnęła alkohol bez skrzywienia się. Za nią stał chudy, ciemnooki chłopiec z kręconymi włosami. Miał rozmarzony wyraz twarzy i półprzytomne spojrzenie. Starucha przyłapała spojrzenie Rema.

- Obiecałeś, mężczyzno - powiedziała cicho.

- Nigdy nie łamię danego słowa odpowiedział szorstko. - Jak go wołać?

- A kto by to wiedział - mruknęła. - Jak on nic nigdy nie mówi? Ja do niego Moszek wołam, a on przychodzi.

- A czemu Moszek? - von Horn miał na twarzy niezdrowe rumieńce i kończył właśnie drugą szklankę spirytu, którą mu nalał Baruch.

- A jak inaczej do małego Żyda mówić? - wzruszyła ramionami Zgrzendkowa.

- No tak, oni wszyscy to Moški, nie? Zapłacili wam za opiekę? Zgrzendkowa zaśmiała się zgrzytliwie.

- Przyszedł dwie zimy temu - szepnęła. - Niemy. Krwią pokryty. Zagłodzony niemal na śmierć. Kto miał mi za niego zapłacić? Ale ja się wszystkim, co żyje opiekuję, a piniendzy mi ni trza... Chcieli go chłopcy żandarmom wydać, alem klątwą zagroziła i se poszli. A Moszek został. Dobry chłopak. Choć niemota durna... zioła nauczył się mieszać, ale zaklęć niemy nie wydoli. Zaopiekujcie się sierotą. Ja tej zimy nie przeżyję. Wiem to, bo mi już raz święty obraz spadł, a rano trzy dni temu w drzwiach znalazłam wbity sierp.

Von Horn pokiwał głową.

- Jak był wbity sierp, to znak poważny - zawyrokował. - Choć magia raz działa, a raz nie... - zauważył kpinę w twarzy Sosnkowskiego i wyraźnie urażony wyjaśnił:

- Moja mamka, cześć jej pamięci, była wiejską mądrą... Ona więcej o życiu wiedziała, niż wszyscy profesorowie z berlińskiego uniwersytetu. Gdyby nie ona - machnął ręką i urażony parsknął:

- Śmiać się każdy może, ale gdybyście widzieli to, co ja...

Wrzucili bagaże do wózków motocyklowych. Von Horn wziął dzieciaka pod pachy i posadził za burtą wozu. Staruszka zagwizdała przeraźliwie. Zza krzaków poderwał się wielki, kosmaty kształt.

- Tylko nie to bydlę! - zajęczał von Horn i wskoczył za Moszkiem do wozu.

- On się małym jak szczeniakiem zaopiekował - chrapliwie powiedziała Zgrzendkowa. - Jak siebie bronił i może, obok klątwy, to on sprawił, że chłopcy Żydkiwi żyć pozwolili... A jak

mnie nie będzie, to i jego kto otruje albo zastrzeli. Weźcie ze sobą. W cyrku się przyda, bo on kaździutkie słowo rozumie...

Von Horn zeskoczył z wozu i ostrożnie przeszedł na sztywnych nogach do motocykla.

- No! - zajodłował niepewnie - na wóz!!

Pies obojętnie spojrział na niego i obrócił się z pytającym wyrazem pyska w stronę Rema i staruchy.

- Kaź mu wsiąść, mężczyzno - szepnęła Zgrzendkowa. - On tylko jednego może mieć pana i sam go wybiera.

- Szarn! Na wóz! - szcęknął Sosnkowski, a zwierzę śmignęło przez burtę, usiadło koło Moszka i wywaliło różowy jęzor. Chłopczyk położył ramię na potężnym, psim kłębie i przytulił twarz do gęstych kudłów.

Rem wyjął z kieszeni złoty zegarek z wygrawerowanym napisem: *Remowi w dniu urodzin...* Złapał Zgrzendkową za zrogowaciała rękę i wsunął jej czasomierz w dłoń.

- Dajcie to księdzu, żeby was po chrześcijańsku pogrzebał - powiedział chrapliwie. - Żeby was to wiejskie bydło gdzie pod płótem nie zakopało.

- To za tego znajde? - spytała stara oglądając ciekawie cyferblat z małym diamentkiem nad godziną XII.

- Nie - Rem uśmiechnął się i wsiadł na motocykl. Nałożył gogle i skórzane rękawice. Kopnął starter i przekrzykując warkot motoru dodał: - To za uratowanie honoru. Nas wszystkich.

Nie pamiętam kiedy twarz Justyny straciła zuchowaty wyraz zdrowej pensjonarki. Pod oczami pojawiły się cienie, a kąciki ust zaczęły ciężać ku dołowi. Adam przestał nagle towarzyszyć w naszych wyprawach rowerowych, więc jeździliśmy we dwójkę, jakby nagle cień ożył i zaczął zastępować swego właściciela.

Kiedyś, gdy siedzieliśmy na łące w wydeptanym kole z trawy, dziewczyna zaczęła niespodziewanie płakać. Cicho.

Jak dziecko, gdy boi się rodziców i szłocha tak, by nie ściągnąć gniewu ojca. Po brzoskwiniowych policzkach płynęły wielkie łzy. Żłobiły na szyi rowki w kurzu, który pokrył nas podczas jazdy wiejskimi ścieżkami. Nie wiedziałem, co robić. Byłem z nią poprzez

Adama. Nie umiałem zaistnieć samodzielnie. A nie wiedziałem, co w takiej sytuacji zrobiłby Adam. Semicka słabość i jazgotliwe współczucie na pewno obudziłyby w nim jedynie pogardę. Siedziałem więc oniemiały i patrzyłem na jej trzęsącą się brodę i rozdygotane ręce, poszukujące jakiegoś oparcia.

- Aaron - zajęczała. - Ja tak się boję... Tak się boję. Proszę, pójdziesz ze mną? Powiedz, że pójdziesz! Proszę! Ja już nie mogę! Nie umiem... Nie mam siły...

- Pójdę - powiedziałem niepewnie. - Dokąd mamy pójść? I kiedy? Złapała mnie kurczowo za rękę. Jej dłonie były zimne i mokre.

- Jutro... spotkamy się przed kortami, jak zawsze, jak byśmy szli pograć... Dobrze? - zaskuczała. - Ja ci wszystko powiem... Nie pójdziemy daleko. Ja poprowadzę... Proszę!!

- Jasne - wystękałem, starając się brzmieć pewnie i uspokajająco jak Adam. - Jutro przy kortach. Będę. Adam też będzie?

Wybuchnęła rozpaczliwym szlochem, jakbym ją uderzył.

- Nie - wydukała, rozmazując łzy i smarki na policzkach. - Będziemy tylko my dwoje.

Dwór stał milczący i mokry w deszczu. Gdy zgasili silniki i chwilę czekali siedząc na skórzanych siodłach, zza jedną z szyn rozgorzało słabe światło lampy naftowej w oknach. Zesztywniały od drogi von Horn zsiadł i podszedł do drzwi. Załomotał mosiężną kołatką w kształcie lwiej głowy. O dziwo, drzwi się otworzyły. Za nimi stała przeraźliwie chuda kobieta, okutana w ciemną, wyszywaną złotą nicią podomkę.

- Panowie tak po nocy stukacie - zajęczała - a tu spać trzeba...

- Przepraszamy - szarmancko zza pleców Sigismunda powiedział Sosnkowski. - Żołnierze polscy o nocleg proszą, szacowną panią...

- Ależ zapraszam - jękliwie odpowiedziała gospodyni. - Jak dobrze słyszeć „żołnierze polscy”, panie oficerze...

Weszli wszyscy do dworu, który w środku okazał się być niezrabowanym. Na ścianach wisiały obrazy i zdjęcia. W ściemniałych, dębowych kredensach błyszcząły bielą

porcelanowe serwisy, a w przeszklonych szafach złożyły się okładkami równo poukładane książki.

- Zapraszamy panią na kolację - wydukał von Horn. - Za gościnę odpłacimy poczęstunkiem.

Siedzieli wokół półokrągłego stołu na lwich łapach, nad którym wisiała lampa naftowa z szerokim, rzucającym krąg światła kapeluszem.

- Mąż mój w 1939 roku do niewoli sowieckiej się dostał - opowiadała żywo gospodyni. - Od tego czasu piszę petycję za petycją, żeby mi się z nim zobaczyć pozwolili, ale nie odpisują... Widać, poczta źle działa. Lekarzem w armii był... major Prószyński, słyszeliście panowie?

- Niestety nie - powiedział Rem. Robił wrażenie, jakby chciał coś dodać, ale zamilkł.

- Pani tak sama tu żyje? - zainteresował się Gebert.

- Owszem. Mąż przed wojną okolicznych chłopów za darmo leczył, to mię dzisiaj jedzeniem i ochroną obdarzają. Dobry nasz lud.

- Dobry - potwierdził przez zaciśnięte zęby Sosnkowski patrząc na Moszka, który palcami w talerzu grzebał.

- Ja tu dla męża majątek chronię - mówiła Prószyńska. - Bo jak wróci, po niewoli odpocząć będzie musiał... Ja wiem, wiele czytałam.

- Tak - z wysiłkiem powiedział Rem - jak wróci z niewoli sowieckiej, to ktoś powinien na niego czekać. Cieszyć się powinien, że ktoś na niego czeka, że ma rodzinę...

- Cała rodzina to ja - Prószyńska zaśmiała się z zażenowaniem. Jej spojrzenie uciekło w stronę milczącego Moszka. - Bóg dzieci nie dał... Ale z wolą nieba sporów nie ma...

Von Horn chciał coś powiedzieć, ale widać się rozmyślił, bo zapalił papierosa i w zamyśleniu przyglądał się szczupłej kobiecie o szarych, dziwnie poważnych oczach. Gdy podała na stół jabłecznik w kamionkowym dzbanku, nalał jej pierwszej do rżniętego kieliszka. W oczach miał wciąż coś niedopowiedzianego.

Rano, gdy umyli się przy studni i zaczęli pakować rzeczy na paki motocykli, Prószyńska podeszła do Sosnkowskiego.

- Panie oficerze - spytała bojaźliwie - można na chwilę? Odeszli na bok. Kobieta dreptała obok, bojaźliwie spoglądając w górę, ku twarzy Sosnkowskiego.

- Panie oficerze - zaczęła niepewnie - widzę, że z wami dziecko podróżuje... syn pułku zapewne...

- To żaden syn pułku - z rezygnacją wyjaśnił Rem. - Tylko niemowa... Mały Żyd.

- Żyd? - oczy Prószyńskiej rozszerzyły się. - Wiele się słyszało o tym, co z Żydami się stało... Czy aby nie sierota?

- Sierota - potwierdził Rem, a w oczach kobiety zapaliły się złote błyski.

- Panie oficerze - zaczęła żarliwie - on taki samotny... potrzebuje na pewno rodziny... wsparcia... matki...

- Ale jest sierotą - cierpliwie powtórzył Sosnkowski.

- No ja o tym... właśnie tak... ja przecież - chaotycznie wyrzuciła z siebie Prószyńska. - Ja proszę!

- O co?

- Zostawcie mi go! - poprosiła z tłumionym szlochem w głosie.

- Mam czterdzieści siedem lat... Za późno na dziecko. A Henryk, gdy wróci, będzie potrzebował rodziny...

- A jak nie wróci? - mówiąc to, Rem skrzywił się, jakby go bolał ząb.

Prószyńska milczała przez chwilę, a potem z rumieńcem wyjaśniła:

- Ja rozumiem... Ja wszystko rozumiem, ale ja... ja też potrzebuję rodziny. Dam mu siebie. Wierzy mi pan, rozumie mnie pan?

- Tak - mruknął Sosnkowski, a potem, jakby wbrew sobie dodał:

- To Żyd jest.

- To dziecko jest - poprawiła go Prószyńska. - Nie obchodzi mnie, kim było przedtem. Dla mnie będzie Jankiem Prószyńskim,

synem Henryka i Nadziei Barszczewskiej... Moim... naszym... synem.

Rem zapalił papierosa i przez chwilę przyglądał się w milczeniu zarumienionej, odwróconej od niego kobiecie.

- Pani... się nim zaopiekuje? A wieś?

- Wieś go przyjmie - szepnęła żarliwie. - To będzie mój syn. Proszę!

- Przepraszam, że tak wypytuję - powiedział w końcu. - Odwykłem od człowieczeństwa. Zostawimy wam trochę pieniędzy. Jak się to wszystko skończy, przyjadę, by zapytać o zdrowie. Jeśli ktoś wam życie będzie utrudniał, to...

- Nie będzie - przerwała mu - tu chrześcijański naród jest... Dziękuję. Będę go kochać bardziej niż siebie. Wierzy mi pan?

- Wierzę - wykrztusił i wydmuchnął dym przez zaciśnięte zęby.

- Ale, na wszelki wypadek, zostawię wam jego psa. Szarn zadba o to, by wieś pokochała... was oboje.

Po lekcjach stałem pod kortami, opierając się nonszalancko o swój rower. Bałem się bardzo, ale wiedziałem od Adama, że można się jedynie bać samego strachu, więc krzywiłem twarz w kabotyńską maskę arogancji, nasuwając na oczy płócienny kaszkiet. Cień nieudolnie starał się udawać swojego właściciela.

Przyszła pchając bezsilnie swój bocykl. Miała twarz opuchniętą od płaczu. Pod oczami sińce i chorobliwe rumieńce.

- Pójdziemy na piechotę, dobrze? - wyszeptała niepewnie. - To niedaleko. Zobaczysz.

Nie pytałem o nic. Szliśmy obok siebie. W milczeniu. Minęliśmy korty. Potem kościół. Sąd z gipsową figurą sprawiedliwości z zasłoniętymi oczami. Synagogę, przed którą stał stary Żyd, obrzucany kamkami przez ulicznych łobuziaków. Kilka składów handlowych. Weszliśmy do dzielnicy fabrycznej. Bruk ustąpił miejsca rozjeżdżonym koleinom i śmierdzącym rynsztokom. Mijaliśmy siedzących przed bramami zarośniętych mężczyzn i kobiety wieszające na podwórkach pranie. Justyna wiedziała, dokąd idzie. A ja wciąż o nic nie pytałem. Weszliśmy w śmierdzącą moczem bramę. Na wąskim podwórku, otoczonym ze wszystkich

stron przez ceglane mury czynszowych kamienic, była studnia okolona wmurowanymi w ścianę kamieniami i ze zwierzęcą, niezgrabną głową, z której sterczał żeliwny dziobek pompy. Między cegłami podwórka rósł puchaty mech, a ich powierzchnia była wilgotna i śliska. Postawiliśmy rowery przy pompie. Justyna pchnęła rzeźbione drzwi, pokryte łuszczącą się farbą olejną. W sieni przyłgnęła do mnie całym ciałem. Była gorąca i miękka, ale nie odważyłem się jej objąć. Przytuliła twarz do mojego policzka. Poczułem wilgoć.

- Aaron - wyszeptała - zaczekaj tu na mnie, dobrze? Ja wejdę na górę... Na chwilę. To nie będzie trwało długo. Będę wiedzieć, że ty tu jesteś. Że czekasz... Że nie zostałam całkiem sama...

Dławiąc się szlochom wtuliła twarz w moją pierś, przemaszając łzami koszulę. Potem oderwała się ode mnie i zdecydowanym krokiem weszła na drewniane schody. Środki stopni były wyżłobione setkami zbiegających stóp.

Usiadłem na dolnym stopniu. Przed sobą miałem sień wyłożoną betonem z trójkątem słonecznego światła padającego od uchylonych drzwi. Przyłożyłem rozpaloną twarz do pokrytej lamperią ściany. Była wilgotna i zimna. Gdzieś z piwnicy ciągnęło pleśnią i chłodem. Siedziałem z nozdrzami pełnymi jej zapachu, którego nawet piwniczny smród nie umiał przegnać. Nie wiem, ile minęło czasu. Ktoś w górze krzyknął spazmatycznie, ale potem zapadła cisza. Chyba usnąłem, bo gdy gdzieś na piętrze skrzypnęły drzwi, zerwałem się przerażony. Schodziła niepewnie trzymając się drewnianej bariery. Gdy stanęła na półpiętrze, światło z okna za nią prześwietliło jej białą sukienkę, ukazując na mgnienie drobne, dziewczęce ciało, okolone słonecznym blaskiem. Na chwiejnych nogach zeszła do mnie. Usiadła ciężko, spazmatycznie skręcając sukienkę na brzuchu.

- Aaron - zajęczała - ratuj mnie... Proszę!

Przez wsunięte między uda białe płótno sukienki przesączyła się brudna, skrzepowata krew.

Zatrzymali się przy opuszczonym gospodarstwie. Dom był spalony i został z niego tylko murowany komin, o który

chwiejnie opierały się zwęglone belki konstrukcji. Przed progiem leżały rozrzucone kości właściciela. Między brązowymi zebrami wystrzelały ostre źdźbła trawy. Stojąca obok stodoła była nietknięta, jeśli nie liczyć zzieleniałej od mchu dziury w dachu.

Gdy weszli do środka, spod nóg zerwał się zdziczały kot. Śmignął na belkę nad wejściem. Patrząc na nich syczał i pokazywał ostre jak igiełki zęby.

Siano na stryszku zgniło, ale słoma po drugiej stronie stodoły była sucha. Wysoko, pod belkowaniem kłębiły się ogłupiałe gołębie. Baruch wykopał w polepie dziurę i rozпалиł w niej ogień, nad którym powiesił kociołek. Do gotującej się wody wrzucił mąkę, kilka cebul i kawał wędzonki.

- Nie powinieneś przestrzegać zasad koszerności? - spytał von Horn, zaciekle rozprostowując pejsa.

- Daj mu spokój - mruknął Rem - przecież słyszałeś, że chce zostać feldkuratem?

- Już nie - z godnością odparł Baruch, mieszając w kociołku aluminiową łyżką.

- A co się stało, że zrezygnowałeś z pomysłu? - zainteresował się Sigismund. - Kiepski geszeft?

- Nie - wyjaśnił cierpliwie Gebert - geszeft jest świetny, ale zrozumiałem, że religia to opium dla ludu...

Wyciągnął ze swojego tobołka plik broszurek oprawionych w marmurkowy papier.

- Znalazłem to w rzeczach Melkiadesa - szepnął. - Miałem czas, jadąc na pace, więc zacząłem to czytać... - umilkł, więc von Horn musiał go szturchnąć, żeby zaczął znowu mówić. - Gdy czytałem Talmud, to obiecywał on zbawienie prawowiernym Żydom - powiedział cicho. - Katolicyzm obiecuje je swoim wyznawcom, za których Jozua miał umrzeć na krzyżu... A towarzysze Marks i Engels dają zbawienie każdemu. W ich raju nie będzie bogatych i biednych... nie będzie Żydów i chrześcijan. Nikt nie będzie mógł wykorzystywać drugiego człowieka, nikt nie będzie mógł nim orać, jak koniem, by wydusić z niego zysk, jak z hodowanej

świni... Posłuchajcie - zaczął czytać dziwnie egzaltowanym głosem:

Frazesy burżuazyjne o rodzinie i wychowaniu, o tkliwym stosunku między rodzicami a dziećmi stają się tym wstrętniejsze, im bardziej w wyniku rozwoju wielkiego przemysłu zerwane zostają wszelkie więzy rodzinne u proletariuszy, a dzieci stają się zwykłymi przedmiotami handlu i narzędziami pracy. Ale wy, komuniści, chcecie wprowadzić wspólność żon - »wrzeszczy nam chórem cała burżuazja. Burżua widzi w swej żonie zwykłe narzędzie produkcji. Słyszy, że narzędzia produkcji mają być oddane do użytku ogólnego i nie może sobie wyobrazić, naturalnie, nic innego, jak to, że ten sam los spotka także kobiety. Nie domyśla się, że chodzi właśnie o to, by znieść położenie kobiet jako zwykłych narzędzi produkcji.

Nie ma zresztą nic śmieszniejszego, niż wysoce moralne oburzenie naszych burżua, z powodu rzekomej oficjalnej wspólności żon u komunistów. Komuniści nie mają potrzeby wprowadzać wspólności żon, istniała ona niemal zawsze.

Nasi burżua, nie zadowolając się tym, że mają do rozporządzenia żony i córki swych robotników, - nie mówiąc już o prostytucji oficjalnej - znajdują specjalną przyjemność we wzajemnym uwodzeniu swoich małżonek.

Małżeństwo burżuazyjne jest w rzeczywistości wspólnością żon. Komunistom można by zarzucić co najwyżej, że na miejsce obłudnie zamaskowanej wspólności żon, chcieliby wprowadzić oficjalną, otwartą. Rozumie się zresztą samo przez się, że ze zniesieniem obecnych stosunków produkcji zniknie również wynikająca z niej wspólność kobiet, tj. prostytucja oficjalna i nieoficjalna.

Zarzucono jeszcze komunistom, jakoby chcieli znieść ojczyznę, narodowość. Robotnicy nie mają ojczyzny. Nie można im odebrać tego, czego nie mają...⁴⁵

- Ty, rybeńko, mógłbyś raczej pozostać przy jednym pomysle - poważnie powiedział von Horn. - Bo jak zaczniesz miotać się

między reakcyjnym katolicyzmem...

- Zwłaszcza zapamiętywanym mnemotechnicznie jako kolejne sprawdzanie okularów i jajek - wtrącił nie wyjmując papierosa z ust Rem.

- ...a walką rewolucyjną - nie dał się zbić z pantałyku Sigismund.

- To nikt ci nie uwierzy i wszyscy uznają cię po prostu za kolejnego żydomasona. Ot, wilka w owczej skórze, który realizuje wskazania żydowskiej międzynarodówki. Nie mógłbyś zostać wiernym Talmudowi?

- Nie - wstrząsnął się Baruch. - Myśmy przez dwa tysiące lat wierzyli, że jesteśmy mądrzejsi niż goje, bo mamy Talmud i Kabałę, a skończyło się tak, że nas wytępili jak szczury. Pora odrzucić bajdurzenie starych pierdoł z wrzodami na dupie od ślęczenia nad religijnymi majaczeniami.

- Ja przyjąłem nauczanie Talmudu - z godnością oznajmił von Horn, drapiąc się nerwowo po swoim nordyckim podbródku.

- To znaczy, że jesteś jeszcze większym bałwanem niż ja - zapalczywie wykrzyknął Gebert. - Bo ja nie miałem wyjścia, urodziłem się jako syn rabego, a ty mogłeś żyć normalnie bez kastrowania mózgu bajdurzeniem religijnych maniaków, wierzących w chore majaczenia sprzed tysięcy lat! To nonsens! Obudź się, głupku!

Sigismund zbladł. Wstał ze zrolowanego koca. Podszedł do Barucha. Złapał go za koszulę na piersi i szarpnięciem, jak kocię, postawił na nogi.

- Jestem Sigismund von Horn! - zawarczał. - I nie życzę sobie, by byle łachudra, po której grzbiecie mógłbym na konia siadać, wycierała sobie mną semicki pysk!! Zrozumiano?!?

Zapadła cisza. Von Horn puścił Geberta i z krzywym uśmiechem wygładził mu koszulę.

Przez chwilę milczał, po czym przez zaciśnięte zęby wycedził:

- To by było na tyle, jeśli chodzi o odkupienie win narodu niemieckiego, nie wspominając o sprawiedliwości dziejowej i reszcie cnót lewicowych.

Wyszedł ze stodoły, unikając wzroku Barucha.

Zapadła cisza. Gebert usiadł pociągając nosem.

- Ja nie chciałem go urazić - szepnął. - Ja tylko tak... mówiłem, co czułem.

- Wiem - Rem zgasił papierosa na podeszwie wysokiego buta. - Obaj chcecie tego samego, ale nie umiecie tego pojąć.

- Czego chcemy? - Gebert spojrział na niego nie rozumiejąc.

- Przestać być sobą - mruknął Sosnkowski. Wstał i wyszedł na zewnątrz.

Von Horn siedział w ciemności na spągu ułożonego drewna pod ścianą stodoły. W świetle księżycyca widać było na jego twarzy łzy. Rem usiadł obok. Milczał. Sigismund wyjął z kieszeni maleńką książeczkę, otworzył ją i cicho przeczytał:

Na początku była myśl.

Nie maczaj pióra zbyt rano,

Pierwej zważ, a potem kreśl!

Czyż to myśl działa, myśl wszystko stworzyła?

Możnaż jej pierwszeństwo dać?

Powinno by raczej stać: „Na początku była siła”.

Lecz, gdy to piszę, jużci coś jak zawdy

Szepcze mi skrycie, zem nie wnikł do wątku.

Duch mnie oświeca, poznaję grunt prawdy,

I zapisuję: czyn był na początku⁴⁶.

Chwilę milczał, zaciskając dłonie na książce. Potem wyjął z kieszeni scyzoryk z drewnianą okładziną i mosiężną skuwką.

- Nie da się zaprzeczyć sobie - powiedział cicho. - Nigdy nie będę Żydem, tak jak Baruch nigdy nie stanie się katolickim księdzem... ani nawet prawdziwym komunistą. Stoimy na ramionach naszych przodków i nie da się stać kimś innym, niż się jest. Nożem obciął swoje jasne pejsy i z wściekłością odrzucił je od siebie.

- Jestem Sigismund von Horn - wycedził. - Syn Polki i niemieckiego arystokraty. Ślązak. Wychowany na Gothem i Nietzschem. I nie umiem tego zmienić.

- Nikt nie umie uciec od siebie - powiedział miękko Rem. - Ja nawet nie próbuję.

- A wiesz, kim jesteś?

- Zawsze wiedziałem - łagodnie odpowiedział Sosnkowski. - Jestem i będę Polakiem - ściszył głos i dodał: - I urodzonym mordercą.

ROZDZIAŁ VII

Przyjechali po niecałej godzinie, choć krzychałem na całą ulicę i waliłem pięściami w drzwi wszystkich domów. Siedziałem przy niej i bezsilnie patrzyłem na jej blednącą twarz. Biała sukienka była od pasa w dół nasycona krwią. Pod oczami pojawiły się sińce. Rozchylone usta zrobiły się suche i spękane. Na skroniach wykwitły cienie, paznokcie zsiniały, a dłonie stały się alabastrowe i martwe.

Cały czas ścisnęła sukienkę nad kroczeniem, jakby chciała w ten sposób zatrzymać uciekające z niej życie. Coś szeptała, ale nie rozumiałem słów. Gdy przybliżyłem ucho do jej twarzy, przyciągnęła moją kędzierzawą głowę i przycisnęła policzek do mojej pulsującej szyi. „Teraz wiem...”, wydyszała. „Teraz już wiem...”

„Co wiesz?”, spytałem.

„Wiem, jak bardzo się myliłam”, wyszeptała. „Mam tylko ciebie, Aaronie”.

Jej twarz stała się jeszcze bielsza, a oczy uciekły w głąb głowy. Jakaś gruba kobieta odepchnęła mnie od niej. Zadarła jej sukienkę i próbowała rozewrzeć ściśnięte spazmatycznie uda. Chciałem coś mówić, ale zwalisty mężczyzna w skórzanym fartuchu wziął mnie za kark i wyrzucił jak kota z klatki schodowej. Siedziałem w słońcu, słysząc podniecone głosy z korytarza. Ktoś coś krzychał. Jakaś kobieta coś gorączkowo szeptała, jakby zawierzała wszystkim stojącym tam praczkom i gospodyniom jakąś straszną tajemnicę. Ktoś dudnił basem, że trzeba policję wezwać, bo za spędzanie płodu stryczek grozi. Ktoś inny mu odpowiadał, że kto wtedy dziewczynom z dzielnicy pomoże, jak ich kawaler oszuka. Jakaś rozhisteryzowana paniusia szlochała, powtarzając, że to niemożliwe, żeby dziewczyna z dobrej rodziny tak nisko upadła.

Słońce oślepiało mnie, wysuszało łzy na policzkach.

„Czy przedsięwzięło kiedyś jakieś bóstwo, by wybrać sobie naród z pośród innego narodu i wyswobodzić go znakami i cudami, i wojną, i ręką silną, i ramieniem wyprężonym, i postrachem wielkim, jak to wszystko uczynił dla was Wiekuisty Bóg przed waszemi oczami w Egipcie?”⁴⁷, szeptałem. „Uratuj ją, jak kiedyś uratowałeś plemię Izraela. Ocal ją, jak ocaliłeś Mojżesza w Morzu Czerwonym, jak pobiłeś Filistynów, jak wywiodłeś nas z domu niewoli...”, tętniły mi w głowie czytane przez dziadka słowa. Ale Bóg Izraela nie chciał okazać miłosierdzia.

Był obojętny i złośliwy.

Za mną, w brudnym korytarzu czynszowego domu umierała miłość mojego życia. Nawet nie kobieta. Dziecko jeszcze, z gładką skórą i rozświetloną twarzą. Zdychała, jak bezpański pies, wypatroszona czyjąś niewprawną ręką. Pocięta brudnym narzędziem. Zhańbiona przez próbę zatarcia mordem własnej słabości. Tam, w śmierzącym mroku odchodziło dziecko, które kochałem.

Wraz z nim, zanikałem ja sam.

Gdy w końcu przyjechała sanitarka, jakimś cudem wepchnąłem się do niej wraz z noszami. Siedziałem w kącie samochodu, patrząc na woskową twarz Justyny. Potem, jak chory szczur powlokłem się za nią przez oświetlone kulistymi lampami korytarze szpitala. Usiadłem na ławce w poczekalni, patrząc tępo na czarno-białe kafle podłogi. Ktoś śmiał się na parterze, a jego rechot niósł się po pustych schodach, wdzierał się w obolałe uszy. Gdzieś w głębi szpitala słychać było kłócące się stare kobiety.

„Boże Abrahama, Izaaka, Jakuba, zmiłuj się nad nią, szeptałem, nie rozumiejąc, co mówię.

Z napięcia i zmęczenia dostałem krwotoku z nosa. Nie tamowałem krwi, prosząc obłąkanego Boga Izraela, by potraktował ją jako ofiarę, by uratował Justynę. Siedziałem tępo wpatrując się w upstrzone plamami szerniałej krwi kafle. Każde trzaśnięcie drzwi, sprawiało, że coś we mnie kurczyło się, jak przecięta gąsienica. Chwilami zasypiałem. Gdy budził mnie huk zamykanych drzwi lub czyjś krzyk, klatka piersiowa spinała się, a za mostkiem coś piekło i bolało.

Nie wiem, która była godzina. Musiało być nad ranem, bo szpital był cichy i martwy, a każdy ruch budził w korytarzach echo.

Nade mną stanął wysoki mężczyzna w białym kitlu. Miał siwe wąsy, łysą głowę i okrągłe okulary w drucianej oprawie. Za szklami widać było wyłupiaste, żabie oczy z martwymi, błękitnymi źrenicami.

„Pan ją przywiózł?”. To nie było pytanie, raczej zanotowanie faktu. „Ja”. Siedziałem wciąż, wpatrując się w niego od dołu. Wydawał się wielki i groźny.

„Jesteś bydlęciem i kanalią, Żydku”, powiedział zaciskając pięści. „Twoja kochanica nie żyje”.

Uderzył mnie, wykorzystując cały swój ciężar. Upadłem uderzając skronią o kafle podłogi. Stał nade mną, jakby oczekiwał, że wstanę i będę walczyć, ale gdy wciąż leżałem, wgapiając się w jego lśniące buty, odszedł.

Nie wstawiałem. Dławiłem się płaczem. W podbrzuszu i klatce piersiowej pulsował ból. Wzdłuż tyłów ud i żeber spinały się mięśnie, zamykając moją rozpacz w pułapce fizycznego bólu.

Wypili po kilka kubków spirytusu, żeby polepszyć nastrój. Gebert, na początku nachmurzony i ponury, potem poweselał i zaczął recytować wszystkie zapamiętane wiersze. Jednak, gdy zaczął recytować:

*Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode,
A póki okręt walczył - siedziałem na maszcie,
A gdy tonął - z okrętem poszedłem pod wodę...⁴⁸*

Von Horn zerwał się na nogi.

- O, kurwa! - zaskowyczał - przecież my już kilka dni nie odbieramy komunikatów centrali! Oni tam co dwa dni wywołują nas, a my tutaj wódkę pijemy!!

- Usiądź - uspokajał go Sosnkowski. - To tylko śląsko-niemiecki napad gorączkowej obowiązkowości.

- Zamiast służyć sprawie rewolucji, my tu głupstwa robimy!

- Przyjaciela zegnamy - warknął nagle zły Rem - a nie głupstwa robimy.

- A wódka? - jakoś słabiej zaprotestował Sigismund. Bez pejsów stał się podobny do operowego Lohengrina. Wrażenie psuły tylko pospirytusowe rumieńce na szczupłych policzkach.

- W tym kraju niczego bez wódki robić się nie godzi - oświadczył Rem. - Ale jeśli to takie ważne, to włącz radiostację. Możesz stukać morsem i pić, nie?

- O to, to! - ucieszył się von Horn, a Baruch za nim cichutko wyrecytował:

*By myśl moja zawsze biegła
Ku zacności, ku dobremu
I służyła tylko jemu...⁴⁹*

Sigismund spośród koców wygrzebał wielką, zieloną skrzynię. Gdy rozjarzyła się szybka z naniesionymi kreskami i cyframi, zaczął kręcić pokrętłami.

- Nic nie słyszę! - powiedział z pretensją w głosie.

- Może dlatego, że nie nałożyłeś słuchawek? - spytał Baruch i szybko dodał: - Ale to tylko takie semickie gadanie, ty pewnie celowo ich nie nałożyłeś... Wy, Nordycy macie przecież takie delikatne, racjonalne mózgi...

Von Horn, nie patrząc na Geberta, nałożył słuchawki i zaczął stukać kluczem nadajnika. Po chwili jego twarz stężała i zaczął coś notować na skrawku papieru, który wraz z ołówkiem wyjął spod nadajnika.

Przypatrywali mu się uważnie, ale Baruch nie zapomniał o dolewce z pękatego słoika.

- Dużo jeszcze tego mamy? - Rem niespokojnie spojrzał na poziom cieczy w słoiku.

- To tylko jeden z wielu pojemników zgromadzonych na podróż przez zapobiegliwego Melkiadesa - burknął Baruch. - Cześć jego pamięci!

- Cześć! - wdarł się w dialog Sigismund. Miał poważny wyraz twarzy. - Musimy wrócić do Auschwitz - wykrztusił z siebie. -

Stallman zniknął. Odłączył się od Rosjan. Ponoć go sami szukają. Widziano go po raz ostatni przy śmietniku obozowym.

- Przy śmietniku? - Gebert, choć pijany starał się zadawać błyskotliwe pytania. Sigismund ściągnął usta w dziwny grymas.

- Tam towarzysze radzieccy zakopali Heinricha von Treppf - powiedział cicho.

- Cześć i chwała Armii Czerwonej! - zapiął pijaniutki Baruch. Gdy jednak przechwycił spojrzenie Rema, zaczął nerwowo śpiewać: - Szable do boju, lance w dłoń, bolszewika goń, goń, goń... - uspokoił się dopiero, gdy von Horn położył mu dłoń na ustach.

- Mamy ustalić, czego tam szukał - szepnął Sigismund. - I mam tylko nadzieję, że czerwonoarmiści nie zapamiętali nas zbyt dokładnie, bo wylądujemy na tym samym śmietniku.

Zeschnięta krew ściągała skórę. Gdy mówiłem, choć nie rozumiałem, co właściwie mamrocze, czułem ból z pękających na wargach strupów. Za mostkiem tłukło się oszalone, obolałe serce. Nie mogłem złapać oddechu. Czułem się, jakby coś we mnie rozpaczliwie łapało powietrze, dusiło się.

W piersiach miotał się miękki, różowy robak. Gdy prześlizgiwał się, tętno ustawało, a potem zaczynało bić jak oszalone.

Bałem się światła. Wiedziałem, że spopieli mi oczy, gdy spojrzę w słońce. Siedziałem więc na żeliwnej ławce w wilgotnym cieniu dębu i patrzyłem na ceglaną bryłę szpitala.

Gdzieś tam w środku leżała Justyna. Być może ktoś hańbił jej delikatne, nieziemsko piękne ciało, tnąc je jak świńską tuszę, wypruwając z niej prawdę o tym, co ją zabiło. Być może ktoś z podłą satysfakcją oglądał jej aksamitne krocze, martwo wypięte na ocynkowanym stole prosektorium. Ktoś mył jej alabastrowe uda. Zmywając z nich krew i śluz.

Za kilka godzin zacznie się rozkład. Na piersi wystąpią plamy. Brzuch wezdmie się od gnicia.

Justyna przestanie istnieć. A ja wraz z nią. Umierając jak rzeźne zwierzę, zabrała ze sobą nadwrażliwego Aarona Stallmanna. Pojąłem wtedy, że Bóg nienawidzi jedynie słabych. Aaron był słaby.

Należał do rasy, która przez stulecia zginała karki, wierząc, że jej pokora w końcu da jej zmiłowanie ich Boga. Był tylko jeden sposób na to, by uniknąć ocynkowanego stołu, na którym czyjeś podłe ręce brukały delikatne ciało Justyny - odrzucić siebie. Zapomnieć o całym brudzie uległości, który chciano mi przekazać. Ohydna śmierć, rakowacenie tkanki, bezradne wobec siebie serce - wszystko to przynależało do losu nieszczęśników. Tych biednych istot, wierzących w litość i pokorę. Gotowych do poświęcenia, do dania siebie innym.

Wstałem z ławki i szeroko uśmiechnąłem się. Krew z pękniętych strupów pociekła po brodzie, ale nie czułem bólu.

Coś we mnie zniknęło na zawsze. Na jego miejscu czułem coś nowego.

Pogardliwie silnego i obojętnego.

Czułem, jak nadchodzi wyzwolenie. Powoli, mrużąc powieki wyszedłem z cienia prosto w płamę słońca. Stałem przez chwilę, czując na twarzy ciepło. Otworzyłem szeroko oczy.

W mózgu rozjarzyły się małe, spękane lustra.

Skondensowane światło wypalało mnie samego. Czyściło mnie z dawnego brudu.

Byłem pusty i czysty.

Obojętny.

Zostawili motocykle pod opieką Geberta i na piechotę przeszli przez rozwalone czołgami druty kolczaste. Był słoneczny dzień, więc w powietrzu unosił się smród rozkładających się ciał. Wokół pokrytych kolorową powłoką kałuż roiły się metaliczne, błękitne muchy. Konstrukcje spalonych baraków sterczały upiornymi dźwigarami, pomiędzy którymi zwisały resztki drutów. Gdy szli, spod nóg wzbijały się delikatne jak gaza kawałki sadzy. Osiadały na rzęsach i włosach. Gdy ścierali je, zostawiały na dłoniach tłuste plamy. Rozbite i nadpalone wieżyczki strażnicze obscenicznie sterczały w rzędach drucianych płotów. Na ich dachach czerniły się wrony. Gdy je mijali, odprowadzały ich wzrokiem, skręcając siwe łby i

błyskając paciorkowatymi oczyma. Wszystkie ptaki były nieruchawe i ciężkie od przeżarcia.

Po jakimś czasie, do dławiącego smrodu gnijącego mięsa, dołączył koktajl fermentacji. Zobaczyli hałdy ziemi, z której wystawały kawałki słomy, zużytych opatrunków i potłuczonego szkła.

Na skraju śmietniska stał stary mężczyzna z karabinem na sznurku. Na rękawie wytartej marynarki miał biało-czerwoną opaskę z czarnym napisem: MO.

- Stać, Milicja Obywatelska! - staruszek wyjaśnił skrzekliwie znaczenie skrótu. - Ani kroku w przód!

- Ale czemu od razu tak bezlitośnie? - życzliwie zapytał Rem. - Przecież to tylko śmietnik?

- Śmietnik! - prychnął chuderlawy starzec, wycierając nos w rękaw, który dobitnie pokazywał, że temu przyzwyczajeniu hołdował od bardzo dawna.

- To miejsce przestępstwa!

- To znaczy, że nie wolno tu śmieci wyrzucać? - grzecznie dowiadywał się Sosnkowski.

- Eee, no można... Tyle, że to sprawa wagi państwowej!

- Wyrzucanie śmieci ma taką rangę? - podniósł brwi Sigismund.

- Co wy mię tu! - zniecierpliwił się wartownik. Wyjął z kieszeni na piersi okrągłe okulary i nałożył je na porowaty nos. Przyjrzał się im i wyraźnie poweselał.

- A jużem myślał, że to szpiony abo dywersanty - wyznał. - Po tym ostatnim, nieswojo się tu stoi. Bo to człowiek nie wie, czy ten wariat nie wróci.

- Jaki wariat? - z udanym zdziwieniem spytał Rem.

- Ten, który grób rozkopał - wyjaśnił zniecierpliwiony strażnik. - Myślelim, że złota, jak inni szukał, ale on choby pies mogiłę esesmanów rozgrzebał! A wszyscy wiedzą, że jak Ruskie zabijają, to nawet butów nie ostawiają!

- Prawda to - autorytatywnie oświadczył Sigismund. - To czego ten wariat szukał?

- Mówiom, że on trupa jednego na furmankę wzion i pojechał! -

z blaskiem ożywienia niemal wykrzyczał staruch. - Jedna baba w Oświęcimiu gadała, że widziała, jak on z tym truposzem jechał! A pono trzymał go na koźle przy sobie, choby żywego wiózł...

- Ale po co pilnujecie? Boicie się, że wam esesmańskie ścierwa rozkradną?

- Eee, nie., ino, ten wariat, co trupa ukradł, wziął też wykopał coś spod płotu... Towarzysz Szczuka pedzioł, że on musioł złoto ze spalonych magazynów zebrać. To dlatego szukali my go przez dwa dni, ale się pokazało, że on psiokrew, za obozem dzipa mioł, to my ino furmankę znejdli.

- A dokąd pojechał ten wariat?

- A kto go tam wie! - zaperzył się stary. - Gdyby my wiedzieli, to mieliby my i jego, i to żydowskie złoto, co je choby kret wykopał.

- Macie rację. Bądźcie czujni! - Sosnkowski poklepał go po ramieniu. - Z Bogiem!

- Nie bądźcie reakcyjni! - pouczył go strażnik. - Religia to opium dla ludu!

W nocy drgały mi mięśnie ud, a klatka piersiowa bolała, jakby niewidzialne, stalowe nitki skręcały się, dławiąc oddech. Nie mogłem spać. W oknie przeciętym krzyżem framugi, jarzył się blady, dziobaty księżyc. W głębi domu słyszałem pojękiwania ojca, który usiłował zasnąć, mimo obolałego żołądka i uspokajających słów matki. Za ścianą zaś mamrotanie dziadka, który recytował Talmud. Potem następowały po sobie skrzypnięcia sprężyn łóżka i stłumione przez kołdrę pierdnięcia.

Wszystko było brudne, ubogie i nijakie. Już nigdy nie mogłem zobaczyć jej twarzy. Byłem przegrany już w momencie urodzenia. Bóg, który miał mój naród wybrać spośród wielu innych, przeklął mnie, każąc urodzić się Żydem. Byłem skazany dwojako: poprzez ubóstwo mojego ojca i przez odziedziczony po nim strach. Wlokłem ze sobą strach mojego ludu. Bezwolność i nadzieję, która czyniła nas tchórzami, gdyż nie umieliśmy jak inni położyć wszystkiego na szalę, mamieni obietnicą zbawienia i nadejścia Mesjasza. Gardziłem sobą. Byłem tchórzem, który nie potrafił nawet zdobyć kobiety, którą kochał, odpowiedzieć uderzeniem na uderzenie. Moje

dziedzictwo składało się z bagażu lęku, który ciągnę za sobą, jak dziedziczony syfilis. Lecz czułem zarazem, że coś we mnie przygotowywało się do skoku w nową rzeczywistość. Urodziłem się w niewłaściwym ciele. Byłem jastrzębiem wychowanym przez kury.

- Pojechał do Rud - powiedział Sigismund - tam, gdzie urodził się von Treppf.

- Po co? - Baruch jak zwykle bardzo starał się zadawać dociekliwe pytania.

- Nie wiemy, co zamierza - von Horn zignorował Geberta - ale jeśli zatrzyma się w Rudach czas jakiś, może uda się go dopaść... Być może tym razem nie ucieknie ci spod lufy.

- Nie wiem, jak mu się udało poprzednim razem - mruknął Sosnkowski. - Ale drugi raz tej sztuczki nie zrobi, bez względu na to, jaki szatan go ostrzeże.

Siedzieli na brzegu brzoźowego zagajnika. Gebert niemal się nie odzywał, zaczytany w „Kapitale” Marksa. Przerywał lekturę tylko na momenty, gdy mógł coś zjeść podczas postojów lub napić się wódki z zasobów zgromadzonych przez Melkiadesa. W znalezionym w budzie zeszycie notował co celniejsze sformułowania. W chwilach zmęczenia, czytał Biblię znalezioną w spalonym kościele, który spenetrowali z ciekawości po drodze.

- Słuchajcie - przerwał im rozmowę - jak to brzmi!

Factum est autem cum quadam die venissent filii Dei et starent coram Domino venisset quoque Satan inter eos et staret in conspectu eius... ut diceret Dominus ad Satan unde venis qui respondens ait circuivi terram... et perambulavi eam... et dixit Dominus ad Satan numquid considerasti servum meum... lob quod non sit ei similis in terra vir simplex et rectus timens Deum ac recedens a malo et adhuc retinens innocentiam tu autem commovisti me adversus eum ut adfligerem... ilium frustra cui respondens Satan ait pellem pro pelle et cuncta quae habet homo dabit pro anima sua... alioquin mitte manum tuam et tange os eius et carnem et tunc videbis quod in facie benedicat tibi... dixit ergo Dominus ad Satan ecce in manu tua est verumtamen animam

*illius serva... egressus igitur Satan a facie Domini... percussit lob
ulcere pessimo a planta pedis usque ad verticem eius... qui testa
saniem deradebat sedens in sterquilinio... dixit autem illi uxorsua
adhuc tu permanes in simplicitate tua benedic Deo et morere...⁵⁰*

- Przecież ty nie znasz łaciny, Baruch? - von Horn robił wrażenie zirytowanego. - Zresztą, macie swój własny Stary Testament? Po co wam łacińskie tłumaczenie?

- Ale on nie brzmi tak wspaniale! - upierał się Gebert. Sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej książeczkę w wytłuszczonej skórzanej oprawie i przeczytał:

51

- No i co? - powiedział z pogardą w głosie. - Tego się nie da porównać!

- Zgoda - potwierdził Sosnkowski - ale podaruj sobie teraz dywagacje religijne, dobrze? My tu o konkretach, po co od razu włączać w to rozważania, czy waszemu Jahwe lepiej słucha się o sobie po łacinie czy w jidysz?

- Po hebrajsku - ze słyszalną pretensją pouczył go Baruch, ale zamilkł.

Von Horn chciał coś dodać, ale nagle z głębi lasu dobiegł ich wysoki, rozedrgany kwik.

- Coś skrzeczy... względnie krzyczy - niepewnie zgadywał Gebert. - Pewnikiem nieczyste zwierzę, świnia zwane..

- Sam jesteś zwany! - przerwał mu Sigismund. - Niewiasta pomocy wzywa!

Zerwał się na nogi i stęzał, próbując zorientować się, skąd dobiegł wrzask. Długie blond włosy rozsypały się mu niesfornie po kołnierzu.

- Powinieneś mieć jeszcze hełm ze skrzydłami z tektury, żeby tak Parsifala odgrywać - zaczął mówić Baruch, ale von Horn przerwał mu niecierpliwym gestem.

Krzyk powtórzył się. Tym razem bolesny, nagłący.

- Tam! - zaryczał Sigismund wskazując kierunek, po czym nie oglądając się pognął w głąb lasu.

- Zaczekaj! - zasyczał Sosnkowski. Poderwał się, wypluł niedopałek i pobiegł za von Hornem, nie zwracając uwagi na Barucha, który bredził coś o potrzebie zachowania zdrowego rozsądku w trudnych czasach i niezwracaniu uwagi na zwierzęce odgłosy. Przebiegł przez brzozowy zagajnik i wpadł po kostki w nasycyony brudną wodą mech, między śliskimi od porostów drzewami. Zostawiając za sobą pękające na wodzie bańki metanu przebrnął przez zastoisko i upadł w gęstą jak włosy na kobiecym łonie borowinę. Poderwał się i klnąc pobiegł w kierunku, z którego dobiegał przerywany stęknieniami krzyk. Przed sobą widział rozedrganą sylwetkę von Horna.

Odgięta gałąź chlasnęła go po oczach, oślepiając. Nic nie widząc skoczył w przód i z całej siły walnął w pień drzewa.

Zaparło mu dech tak, że nawet nie zdołał zakląć. Upadł czując, jak jeżyny rozcinają mu policzek i rwą skórę z boku napiętej szyi. Ktoś zakwiczał, jak zarzynane prosię, a potem stęknął pojedynczy strzał. Przetoczył się na kolana i na wpół oślepiiony, łapiąc oddech poderwał się do dalszego biegu. Walnął w przelocie kolanem w wystający, ścięty wybuchem pień i z bólu znów zaćmiło mu się w oczach.

- ...rwa mać! ...rdolę!! - wyrzucił z siebie, ale nie przerwał biegu. Zataczając się wypadł na polankę, której głównym elementem była murowana kapliczka z gipsową, dziwnie bezmyślną Maryją. Z figury całymi płatami odchodziła farba, a głowa leżącego na jej kolanach Chrystusa była utracona.

Rem miał przed sobą mężczyznę w waciaku, próbującego załadować zrobiony z rurki samopał z iglicą z odciąganej sprężyny. Nie przerywając biegu, wyciągnął nóż ze skórzanej pochwy z tyłu paska. Waciak próbował uderzyć go rurą, ale trafił w próżnię, a potem stęknął i klęknął wpatrując się w plamę krwi na brzuchu. Rem wyminął go. Obiegł kapliczkę, depcząc resztki świec i wysuszonych kwiatów. Wśród traw widział młodą kobietę, wyrywającą się zarośniętemu jak niedźwiedź mężczyźnie, z opuszczonymi do kolan portkami. Za tą parą ktoś

w wojskowym płaszczu podnosił do twarzy dubeltówkę. Za nim klęczała chuda, zakrwawiona kobieta, trzymająca się za przestrzeloną pierś. Stojący z boku von Horn jak tygrys rzucił się w stronę strzelca. Potknął się o wystający korzeń i z głuchym stukiem walnął czołem o postument kapliczki. Sosnkowski szerokim zamachem rzucił nożem, który wbił się w szyję przeciwnika tuż nad lśniącą kolbą dubeltówki. Strzelec zarzęził i upadł w tył. Rem dopadł wstającego z gwałconej i nagłym szarpnięciem skręcił mu kark. Mechanicznie, jak nakręcana zabawka, podniósł porzuconą dubeltówkę i strzelił z niej w twarz, tamującego tryskającą z tętnicy krew, napastnika.

Lewą ręką ciemności jest światło. By zaprzeczyć przekleństwu własnej rasy, potrzebne jest przeciwieństwo. Kto lepiej niż Adam mógł zaprzeczyć tkwiącemu we mnie, ponuremu, nękanemu przez bezwonną depresję Semicie? Ale nawet on, mimo swojej pewności siebie i oficerskiej arogancji, był tylko złudzeniem siły. Jego naród został upokorzony i pobity. Wojna obronna została przegrana w niespełna tydzień. Potem tacy, jak on z oczami pełnymi rozpacz i hańby porażki wycofywali się coraz dalej na wschód, łudząc się, że Zachód udzieli im pomocy. A gdy od wschodu przyszła Armia Czerwona, polska arogancja rozeszła się w rękach, jak sparciata szmata. Rząd i sztab generalny uciekli, zostawiając za sobą chłopskich, szerokogębnych synów, którzy nie mieli dość wyobraźni, by uciec i ginęli, próbując zatrzymać niemieckie czołgi, metodycznie torujące sobie drogę ku sercu tego dzikiego kraju. Ojciec Adama trafił do niewoli radzieckiej, skąd nie wrócił, zastrzelony jak pies przez enkawudzistów, a sam Adam, postrzelony w czasie walk o Warszawę w pachwinę, stracił lewą nogę i jądra, po czym powiesił się w szpitalnej ubikacji na sznurze zrobionym ze skradzionego siostrze przełożonej różańca z drewnianych kulek. Wszystko więc było już jasne. Pomyliłem się. Moja dawna miłość okazała się dziecinną pomyłką. Żałosnym pajacem, który umiał tylko krzywdzić bezbronne dziewczyny i wyrywać brody bezwonnym Żydom. Był jak jego idol - hrabia Henryk - w istocie słaby i rozedrgany. Jego siła brała się jedynie ze

słabości innych. Nie miał w sobie zaprzeczenia wszystkiemu temu, co robiło z nas ofiary innych. Czekałem na moją miłość. Wiedziałem, że przyjdzie. Płowa bestia, w której zakocham się bez pamięci. Bez serca i sumienia. Czysta i silna.

Dziewczyna miała krótko obcięte włosy. Mimo młodego wieku, na głowie lśniły srebrne nitki. Drobną twarz miała mocno zarysowany podbródek. Frywolnie uniesiony nosek kontrastował z mrocznymi, ciemnymi oczyma i pokrytymi strupami wargami. Siedziała na podmurówce kapliczki i obejmowała się ciasno rękoma. Milczała, choć ożywiony Baruch cały czas coś do niej mówił. Co jakiś czas spoglądała na leżące w trawie ciało.



- Nie... oni już nie wstaną - z kretyńsko przymilnym wyrazem twarzy uspokajał ją Gebert.

- Jej nie o to bydło, ale o tę drugą chodzi! - syknął von Horn, trzymając przy rozbitym czole zwinięte, zakrwawione płótno. - Mógłbyś być bardziej domyślny, gdy chodzi o współplemieńca.

- Skąd wiesz, że to Żydówka? - Baruch nie rezygnował z prezentowania dociekliwości.

- A numer na przedramieniu, sama sobie wytatuowała? - bez złości odpowiedział Sigismund. - Kto mi teraz powie, że Żydzi są bystrzy i mają błysk w oku, jak już ciebie poznałem, Baruch?

- Ja mam! - z urazą powiedział Gebert. - Moja mama zawsze mi mówiła...

- Podaruj sobie opowieści mama. Choć wiem, że kochała cię miłością ognistą i uważała cię za najpiękniejsze i najmądrzejsze dziecko w okolicy a może i w świecie - przerwał mu z rozdrażnieniem von Horn. - Lepiej uspokój ją. Przeżyła gwałt i śmierć kogoś bliskiego.

- Nie wiemy, czy ta druga była jej blisko, a jej samej nie zdążyli zgwałcić - cmyknął na zębie, jak zwykle dokładny Baruch - pan kapitan Sosnkowski wyzabijał ich za szybko...

- Jak to się stało, że teraz Rem stał się kapitanem? - brwi von Horna uniosły się wysoko w górę.

- Teraz to ja widziałem, jak on morduje - z kupieckim akcentem odparł Baruch. - I mię to na zawsze wystarcza. Ja już z kapitanem Sosnkowskim spierać się o nic nie będę.

- Dajcie już spokój - Rem włożył we wciąż spięte usta skręta. Drżały mu ręce, więc splótł je ze sobą. Chciał dalej mówić, ale zastygł, gdy przechwycił spojrzenie dziewczyny. Wpatrywała się w niego hipnotycznie. W ciemnych, ocienionych długimi rzęsami oczach migotało coś niepojętego. Wstała i na chwiejnych nogach podeszła do niego. Opadła na kolana i dotknęła czołem jego kolana. Położył dłoń na jej krótko obciętych włosach.

- Proszę cię, dziecko... - wykrztusił i umilkł. Zapadła cisza.

- No właśnie - ze złośliwym i ciut zawistnym uśmiechem wyszeptał po chwili Baruch. - Ciężko traktować jak dziecko kogoś tak pięknego, prawda?

Tylko von Horn zachował przytomność umysłu. Podeszedł do klęczącej i zarzucił jej na ramiona wojskowy płaszcz po Melkiadesie.

„Pod wzgardę podpada wszystko, co tchórzliwe, lękliwe, małostkowe, wszystko, co zdąza do ciasno pojętej pożyteczności; pogardy również godzien jest człowiek podejrzliwy o niewolniczym spojrzeniu, i pozwalająca poniewierać sobą psia odmiana człowieka, i żebrzący pochlebca a przede wszystkim kłamca: - zasadniczym dogmatem wszelkiej arystokracji jest przeświadczenie o kłamliwości gminu pospolitego. My prawdomówni - tak zwali siebie ludzie szlacheckiego pochodzenia w starożytnej Grecji. Leży to jak na dłoni, że określenia wartości moralnych odnosiły się przede wszystkim do człowieka, zaś dopiero w drugim rzędzie i znacznie później poczęto je przykładać także do postępków: i dlatego w grube błędy popadają historycy

moralności, którzy przyjmują za punkt wyjścia takie pytania, jak: dlaczego litościwe uczynki bywają chwalone? Człowiek odmiany dostojnej czuje, że od niego zależy naznaczanie wartości; nie potrzebuje niczyjego przyzwolenia, rozumuje bowiem: co dla mnie szkodliwe, to samo w sobie jest szkodliwe, i wie, że w jego mocy jest nadawać wagę rzeczom, że dano mu tworzyć wartości. Czci to wszystko, co w sobie dostrzega; taki morał jest uświetnieniem siebie samego. Nad wszystkim góruje poczucie pełni, potęgi, co pragnie się przelać, szczęścia, jakie daje wielkie wzmożenie, świadomość bogactwa, które chciałoby się rozdarować i rozdać: - gdyż człowiek dostojny również pomaga nieszczęśliwemu, nigdy wszakże lub prawie nigdy z litości, lecz z popędu, poczętego z nadmiaru mocy. Człowiek dostojny czci w sobie mocarza i tego, co ma władzę nad sobą samym, który umie mówić i milczeć, który z rozkoszą potrafi być dla siebie surowym i twardym i ma cześć dla wszystkiego, co surowe i twarde”⁵².

Czytałem te słowa dziesiątki razy, wpatrując się w wiszącą na oparciu krzesła marynarkę. Na jej rękawie niebiesciła się gwiazda Dawida, ohydny dowód przynależności do rasy skazanej na niebyt przez swoje kupieckie tchórzostwo. Za dnia błąkałem się ulicami przy bramie do getta, patrząc, jak za posterunkiem pojawiali się oficerowie niemieccy z kobietami. Mieli szare, bezlitosne oczy i wąskie usta. Emanowała z nich siła i arogancja. Taka sama, jaką kiedyś wyczuwałem w Adamie. Ta arogancja, która kazała mu, gdy przyszedłem do niego po śmierci Justyny, zapalić papierosa i powiedzieć, że nie czuje się winnym, gdyż przecież mieszczańska córka wiedziała co robi, zaś jej śmierć była naturalnym ryzykiem wkalkulowanym przez nią w nocę spędzone z nim. Siedziałem naprzeciwko niego na twardym krześle. Na stoliku między nami leżała szabla jego ojca z napisem „Honor i Ojczyzna”. Czyścił ją miękką szmatką i ostrzył drobnoziarnistą osełką, wodząc po ostrzu z delikatnością, z jaką ja mógłbym tylko dotykać ukochaną kobietę. Patrzyłem na wytrawione, ściemniałe litery i na jego bladą, przepętlioną okrutną pewnością siebie twarz. Palił nie patrząc na mnie. Gdy zaciągał się, przymykał oczy, jakby nie chciał mnie widzieć. Wziąłem do ręki szorstki jaszczur rękonożki, oplecionej

złożonym drutem. Przylgnęła do dłoni, dając siłę. Otworzył szeroko usta i zaczął puszczać krągłe kółka, starając się trafić jednym w drugie. Jakby się nic nie wydarzyło. A potem postawił przed sobą małe, oprawione w drewno lustro i nie wypuszczając z ust cygaretki, wycisnął biały łój z pryszcza na szyi. Jakby był absolutnie sam. Mnie nie było. Byłem tylko jego semickim cieniem. Nikim. Równie mało znaczącym, co Justyna Antczak, która była dla niego tylko zabawką, pochwą otoczoną atrakcyjnym opakowaniem. Zacząłem się pocić. Szabla w śliskiej dłoni drżała. Wystarczyło z pół zamachu ciąć tę zakochaną w sobie twarz. Zgruchotać kark ze złotymi włoskami, wyrwać tętnice, rozłupać chronioną jasnym włosiem i samouwielbieniem czaszkę, by zrozumieć, co w niej uprawniało go do tego obłąkanego poczucia wyższości. Jeden zdecydowany ruch, by w starotestamentowy sposób odpłacić za zhańbione łono Justyny, za jej ból i żalostną agonię na brudnych schodach do nory akuszerki, w której jakaś brudna jędra spalała właśnie krwawy strzep wyrwany z miękkiej pochwy, wrażliwej jak zraniony ślimak. Sekunda zdecydowania, by potem już nigdy nie patrzeć na siebie z pogardą, by poczuć, że jest się mężczyzną. Wnętrza ud zaczęły drgać. Oddychałem z trudem, jakby powietrze stało się wilgotne i ciężkie, spływające w dół płuc jak brudna woda. A potem, w jednej chwili, wszystko minęło. W jednym olśnieniu pojąłem, że on miał rację. Co może być pełniejszą afirmacją własnego życia, niż ofiara z człowieka? Dopóki widzisz w innych odbicie samego siebie, stworzonego na obraz i podobieństwo Boga, dopóty jesteś niewolnikiem. Dopiero odrzucenie litości i uznania dla podobieństwa wyzwala. Wszyscy bogowie żądali krwi. Nawet zdeprawowany litością Bóg chrześcijan kazał swym wyznawcom pić krew i zjadać ciało własnego syna. Jedynie śmierć miała moc wyzwolenia. Jedynie cudze cierpienie chroniło przed własną nicością.

Odłożyłem szablę z dziwnie nie na miejscu napisem i spojrzałem na Adama. Krew odpłynęła z oczu i przestałem się pocić. Dawna miłość wróciła. Na chwilę, gdyż wkrótce miało nadejść prawdziwe uczucie. To, na które czeka się całe życie. Po którym wszystko wcześniejsze wydaje się śmieszne, dziecinne pomyłką.

- Wszyscy milczymy w jej obecności - zauważył von Horn, dorzucając do ognia. - Ukradkowo przyglądamy się jej, gdy je lub czesze włosy... i nic nie mówimy, a przecież ma co najwyżej osiemnaście lat! Rozgadujemy się dopiero, jak teraz, gdy pójdzie się myć.

- Ale ma siwe włosy na głowie - przerwał mu Baruch, który właśnie cierpliwie ćwiczył się w przyswojonej od Rema sztuce zwijania papierosów.

- *I te drobne zmarszczki z boku zaciśniętych do bólu ust i bezdenne, mroczne oczy...*

- Przestałbyś mówić Werterem - przerwał mu Sosnkowski, zagryzając zęby na cygaretkę. - Po prostu, przeszła przez obóz i... jest piękna. To onieśmiela.

- Nieprawda! - Sigismund pokręcił głową. - Ona jest niesamowita. Może dlatego, że milczy i tylko odpowiada na pytania... A może to ta panika w jej oczach... Ona musiała przeżyć piekło.

- Przy Remie się uspokaja - kwaśno zauważył Baruch - choć jest gojem... No, ale jak zobaczyła to, co myśmy widzieli, to musiała dojść do wniosku, że z panem kapitanem - uśmiechnął się przymilnie - lepiej być na stopie przyjacielskiej. Taka myśl naprawdę uspokaja. Mnie też.

Von Horn wyrwał z długiej pochewki liścia miękką łydę i zmiążdżył ją zębami.

- Masz trochę racji - przyznał niechętnie. - Nie znałem nikogo, kto potrafiłby w ciągu kilkunastu sekund zabić trzech ludzi... A taki się wydaje szlachetny i piękny, jak posiwiały nieco grecki bożek... - głos mu się załamał.

Sosnkowski chrząknął i uciekł spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

- Z tymi ludźmi bym nie przesadzał. To byłoby, nie ludzie! - zaperzył się Gebert, ale Sigismund nie dał się zbić z pantałyku.

- Gdy ćwiczyliśmy przed wyjazdem, nie rozumiałem, że to jak rzucałeś nożem albo ciąłeś worki z sianem, ma jakieś znaczenie... Dopiero teraz zrozumiałem...

- Co zrozumiałeś? - chrapliwie spytał Sosnkowski. Zrobił się blady, a wokół oczu pojawiła się siatka zmarszczek.

- Że Baruch tym razem ma rację, choć ciężko w to uwierzyć - chłodno powiedział von Horn. - Obcowanie z tobą jest jak zabawa z dynamitem. Jak głaskanie wilka... Niby ma gładkie futro, ale wystarczy, że coś zrobisz źle...

- Pan kapitan nie taki! - z przymilnym uśmiechem wtrącił się Gebert. - Przecież myśmy są przyjacieli, prawda? Przecież nie można się bać, gdy ktoś stał się już nam bliski? - warga zadrgała mu niepewnie. - Jak oswojony wilczur... One nie gryzą swoich. Sosnkowski wypluł niedopałek i zdeptał go.

- Naprawdę powinieneś występować w cyrku, Baruch - powiedział poważnie. - I zgadywać ludzkie myśli, żeby łatwiej im kieszenie opróżniać... W konspiracji miałem pseudonim *Wilczur*...

- Myślę, że to dobry pseudonim - powiedziała cicho, wyłaniając się z mroku. Zamilkli i wpatrzyli się w jej dziewczęco-starczą twarz. Milczała, nie spuszczać ciemnych oczu. Von Horn podał jej aluminiowy kubek i nalał do niego zbożowej kawy. Pozostałym dolał do kubków spirytusu. Gdy dziewczyna podstawiała swój, zawahał się.

- Ile ty masz lat, Judyto? - spytał niepewnie.

- Sto - odparła spokojnie i drugą ręką przechyliła dzbanek.

Pili w milczeniu, wpatrując się w pomarańczowy ogień, wyrzucający co chwilę w górę snopy iskier.

Baruch, by przerwać milczenie, wyciągnął z za siebie gitarę. Uderzył w struny i zaśpiewał:

*Brider, lomir zixfrejen,
Lomir zixfrejen,
Oj, lomir lustik zajn!*

*Inejnem frejlex zajn,
Cuzamen lustik zajn!
Bridelex, idelex,
Frejlex zol zajn!*

*Zingt, tanct, frejt zix ale,
S'iz baj undz a grojse simxe,
S'iz baj undz a grojser jomtev,
Lixtik iz ojf der nesome,
Bridelex, zingt, bridelex, tanct,
A simxe iz baj undz hajnt!
Hava nagila, hava nagila,
Hava nagila venismexa...⁵³*

Judyta dopiła swój kubek i w ciszy wstała. Bez słowa podeszła do burty wozu i wpełzła jak kot pod plandekę.

- No cóż - powiedział cicho Sigismund - myślę, że Baruch naprawdę ma rację.

- W czym tym razem? - Rem robił wrażenie wściekłego, choć wyraźnie się hamował.

- Ona patrzyła tylko na ciebie, choć to przecież Gebert śpiewał - niemal szeptem wyrzucił von Horn. - Będą ci zazdrościć, Rem. Tak pięknej dziewczyny jeszcze nie spotkałem - w jego głosie zagrał odcień zawiści i tłumionej rozpacz.

- A ja nie zazdrozczę - Baruch zapalił papierosa i odął wargi. - Po pierwsze, nie zna się na sztuce i nie umie docenić artysty...

- Czyli ciebie? - niewinnie spytał von Horn, który już się opanował.

- Po drugie, mógłby być jej ojcem, co jakoś zawsze dziwnie wygląda, choć tym razem oboje są siwi - Gebert nie dawał się zbić z pantałyku. - A po trzecie, jaka to frajda romansować z Żydówką? Będzie zawsze widziała tylko dzieci, rodzinę i wspólne wyjścia do synagogi...

- Z Remem u boku? - von Horn wysoko podniósł brwi. - Coś ci się Baruch, wybacz szczerść, popierdoliło. Wyobrażasz sobie naszego żydokomunozercę, jak co niedziela do synagogi ze swoją sziksą drałuje? To już czysta brednia.

- Zgadza się, bo kto chodzi do synagogi w niedzielę?

- Wy Żydzi potraficie świętego wyprowadzić z równowagi - wyrzucił z siebie Sigismund. - Czemu po prostu nie powiesz, że

zazdrościsz? Baruch wzruszył ramionami.

- Ja całe życie marzyłem o sziksie - powiedział poważnie. - Takiej prawdziwej: cysatej blondynce, którą po każdej potańcówce daje dupy, a potem biegnie do kościoła, żeby uzyskać rozgrzeszenie... A w dodatku, jak się uwolnić od Żydówki? Zwłaszcza, jak ona takie piekło przeszła? Będzie całe życie się bać, że zostanie sama. To ciężar...

- Inni nazywają to wiernością.

- Ale ja potrzebuję trochę rozrywki, a nie szukania bezpieczeństwa!

- Może dlatego wybrała Rema? Pragnęła ciebie, ale zrozumiała, że ty do założenia rodziny się nie nadajesz? - szyderczo spytał von Horn. - Jesteś zbyt przystojny, żeby marnować się na jedną tylko szparkę?

- To możliwe - z ożywieniem podchwycił Gebert. - Mame zawsze mi mówiła...

- Baruch, idź spać - z rezygnacją przerwał mu Sigismund. - Wybacz szczerą, ale to twoja mama powinna trafić do obozu, za to, co ci zrobiła...

- Trafiła - cicho powiedział Gebert. Wstał i odszedł w ciemność, nie słysząc, jak von Horn wyszeptał:

- Przepraszam.

Gdy rozległy się gwizdki, w całej kamienicy zaczęły trzaskać drzwi. Kobięce głosy podniosły się histeryczną falą, a potem opadły w monotonny, łzawy jęk. Dzieci płakały, a starcy odrywali mezuzy z drzwi, by upchnąć je w tekturowych walizach. Żołnierze w ciemnozielonych mundurach walili kolbami w drzwi. Coś krzyczeli, ale nie rozróżniałem słów, wciąż ogłuszony skowytami kobiet. Ludzie zaczęli schodzić po schodach, ciągnąc za sobą tekturowe walizki i toboły z pościeli, do których powrzucaли wszystko, co wydało im się wartościowe. Jakiś mężczyzna niósł pęk świeżo zapaćkanych farb obrazów. Dziecko za nim ciągnęło po stopniach konika na biegunach. Otwarte na oścież mieszkania obscenicznie ukazywały prawdę o życiu: odchodzące tapety, rozczłapane buty w przedpokojach, starcze laski upchnięte wstydliwie za szafy, a nade

wszystko mówiły o prawdzie życia, dysząc ludzkim smrodem. Korytarz wypełniał odór ludzkiego stada. Przedziwna mieszanina potu, spalenizny, bździny i czegoś nieuchwytnego - mieszaniny zwierzęcego strachu i beznadziei. Pachnidło dwudziestego wieku, który miał wszystkich wyzwolić za pomocą pary, elektryczności i kina. Ich przeznaczeniem było powieść ludzkość ku zbawieniu, w zastępstwie obiecanego w chwili słabości Mesjasza, przywiodły ich zaś tylko na brudne podwórko, zalane światłem samochodowych reflektorów i wrzaskiem krwistogębnych żołdaków. Gdy wypełzli wszyscy i zastygli jak zahipnotyzowane przez węża małpy, pojawił się jasnowłosa mężczyzna w czarnym mundurze. Jego cień najpierw potężniał w rozżarzonej reflektorami bramie, by w końcu zmaleć i nabrać mocy. Skoncentrować się w zimnych oczach pod skórzanym daszkiem czapki. Uderzał się szpicrutą po bryczesach i był wyraźnie zły, że jego przełożeni kazali mu rzucić się do gardła Żydom o tak późnej porze. Pod oczami miał cienie, jak ktoś wyrwany przed chwilą ze snu, ale mimo to był piękny. Miał w sobie to coś, co miał mieć Adam. To, co kazało przed tysiącami lat ubóstwiać Jahwe, który był, jaki był: nie poprzez uwielbienie innych, lecz przez uwielbienie siebie samego.

Obojętnie przeszedł przed szeregiem przerażonych i objuczonych dobytkiem ludzi. Był on - jasnoaryjski w swym wyprasowanym, aksamitnie czarnym mundurze i my - judejsko lękliwi, pełni brudnych myśli, okaleczeni i nędzni. I wszystko stało się jasne. Podział na płową bestię i podludzi stracił swoją umowność. Stał się oczywistością, równie prawdziwą, jak objajająca mi kolana walizka oklejona marmurkowym papierem i smród wywołanych strachem pierdnieć. Przystanął i zapalił papierosa. Alle Behinderten raustreten!⁵⁴ Nie krzyknął, nawet nie podniósł głosu, a przecież wszyscy okulawieni i powykręceni, zaczęli się przeciskać przez tłum ku germańskiemu bożkowi wojny. Sich legen! I wszyscy oszukani przez los postępnie położyli się twarzami ku cegłom podwórka. Ziewnął i zapalił papierosa, jak każdy zaspany człowiek, mający do wykonania jakąś robotę. A potem wyjął ze skórzanej, pięknie wyglansowanej kabury Parabellum, przeładował go i raz za razem strzelił tym leżącym w tył łysiejących łbów. Nikt nie krzyknął.

Wszyscy stali w karnym porządku, wpatrując się z psim oddaniem w pozbawione blasku, szare oczy. Wszystko stało się znów zrozumiałe i proste. Wszechświat powrócił do równowagi stworzonej miliony lat temu. Do podziału na jedzących i jedzonych, na drapieżców i trawożerców. I nic się już nie dało z tym zrobić. Ten ład był jedynym możliwym. Wszystko inne było ułudą chorych z pokory i podłości mózgów.

Na ceglanym obmurowaniu wyrwanej bramy stał kamienny lew, trzymający w pazurzystych łapach tarczę herbową. Pod nim, białą farbą widniał napis cyrylicą: *MIN NIET*. Drzewa w długiej alei były poorane kulami. Pod nimi, zamiast ściółki leżały nadpalone stronice książek. Gdy przejeżdżali, spod kół wzbijały się strzępy tłustej, jakby wilgotnej sadzy. Na końcu szpaleru drzew widzieli bryłę pałacu. Okna czerniły się spalenizną. Na podwórku stał rozbity pociskiem niemiecki czołg. Obok niego piętrzyła się hałda wyrzuconych z okien, pogruchootanych mebli. Za nimi, w makabrycznym nieładzie walały się cynowe trumny, z których wysypywały się trupy obciążone zeschniętą skórą i zetłętymi, kiedyś bogato szamerowanymi mundurami.

- Rewolucyjna Armia Czerwona uderza stalową pięścią zarówno w żywych, jak i w martwych wrogów - zadeklamował Baruch, ale minę miał nietęgą.

- Zdziwiał mnie ich energia życiowa - warknął Sosnkowski. - Komu by się chciało dźwigać takie ciężary z piwnic?

- Pewnie sądzili, że w środku znajdują złoto - cicho powiedział von Horn. Był blady, a wokół ust pojawiły się zmarszczki. - Mnie bardziej zastanawia, co zrobili z żywymi...

- Nie martw się - popisał się wrażliwością Gebert - na pewno uciekli przed frontem.

- Niemcy tak, ale co się stało z resztą?

- Z jaką resztą?

- No... jak u mnie w domu... To znaczy w burżuazyjnym gnieździe obszarniczym, które porzuciłem dla rewolucji... Ogrodnicy, sprzątaczkini... oni na pewno byli tutejsi. Ślężacy. Jak ja.

- Nie tak, jak ty, bo bez von przed nazwiskiem - bez złośliwości, ze zmęczeniem dodał Sosnkowski. Zza jego ramienia Judyta patrzyła na upiorną mieszaninę ludzkich ciał. Miała ciemne, nienaturalnie rozwarłe oczy.

- O tam jest jeden. Taki normalny i mimo wszystko, żywy Ślązak! - ucieszył się Baruch. - Nie mówiłem, że wszystko będzie w porządku? Wojna pałacom, pokój chatom...

Na skraju lasu stał mężczyzna w zielonym, rozpiętym tużurku. Wydawało się, że ma na twarzy szeroki uśmiech. Gdy podeszli bliżej ujrzeli, że nie miał górnej wargi. Obnażone zęby nadawały jego twarzy trupi, szydery wyraz. Patrząc na nich, chłostał witką brzożową jasnozielone pokrzywy. Miał na sobie brudną, wystrzępioną marynarkę z dyndającymi obscenicznie guzikami, a na kołnierzu srebrny liść dębu.

- Gajowy - mruknął Sigismund.

- Kiedyś - dodał cicho Rem - zanim mu ktoś to zrobił. Okaleczony mężczyzna zaśmiał się głośno. Pierdnął, a potem z figlarnym uśmiechem zaczął deklamować:

*Ich warte hier... ich warte hier Stirb nicht vor mir*⁵⁵

- Czknął i znów zaśmiał się. Jego głos był syczący, ledwie zrozumiały z powodu braku górnej wargi. Nagle ucichł. Spiał się w sobie. Nasłuchiwał chwilę, a potem z paniką w twarzy wydukał: *Sie kommen zu euch in der Nacht... und stehlen eure kleinen heißen Tränen... sie warten bis der Mond erwacht... und drücken sie in meine kalten Venen...*⁵⁶ - krzyknął coś niezrozumiale i dał nura w zarośla. Przez chwilę słyszeli, jak przedziera się przez krzaki, a potem odległe trzaski utonęły w jazgocie ptaków i szumie drzew. Stali bez ruchu, jakby obawiali się ruszyć.

- Spójrzcie! - krzyknął za nimi odporny na wszystko, znów ożywiony Baruch. - Ktoś tu ostatnio jechał! - pokazywał na ślady po kołach wyżłobione w wysypanej tłuczniem ścieżce.

Idąc tym śladem, przeszli przez kamienny mostek z żeliwną barierką, zdobioną masywnymi kulami, u podstawy których wiły się małe smoki z obłazącą pozłotą. Po chwili zobaczyli ukrytą w cieniu okrągłą kapliczkę z mosiężną kopułą pokrytą

grynszpanem. Między zdobieniami w kształcie doryckich kolumn ciemniały jajowate okna, w których słabo błyszcząły przyciemnione od kurzu witraże. Nad obitymi ćwiekami drzwiami widniały gotyckie litery:

*Ich komm wieder in zehn Tagen,
als dein Schatten werd dich jagen*

*Heimlich werd ich auferstehen und du wirst um Gnade flehen
dann knie ich mich in dein Gesicht und steck den Finger in die
Asche*

*Asche zu Asche und Staub zu Staub*⁵⁷

Nad nimi, w półokrągłej niszy stał anioł o kobiecej twarzy i trzymał palec przy ustach, jakby nakazywał ciszę. Rem pchnął ciężkie drzwi, które rozwarły się ze zgrzytem. W nozdrza wionął im potworny, skondensowany smród rozkładu. Baruch zachwiał się i zaczął wymiotować. Von Horn cofnął się i przyłożył rękaw koszuli do twarzy.

- Nie podchodź - stłumionym głosem ostrzegł Judytę, która skuliła się w sobie, zrobiła krok w przód i złapała Sosnkowskiego za fałdę płaszcza. Jak przestraszone dziecko, szukające ochrony ojca. Rem delikatnie uwolnił się ze spazmatycznego chwytu. Złapał dziewczynę za ramiona.

- Nic ci się nie stanie - szepnął. - Pójdiesz teraz z Baruchem do motorów. Dobrze?

Kiwnęła głową. Dziecinnie. Posłusznie. Gebert z otumanionym spojrzeniem poszedł wraz z nią w stronę pałacu. Judyta co chwila obracała się, jakby chciała się upewnić, że Rem wciąż jest za nią. Sosnkowski wyjął z kieszeni trójkątny kawałek sukna, którym oplatał głowę, gdy prowadził motocykl. Obwiązał nim twarz. Weszli do środka. Wnętrze kaplicy było wykładane ciemnożyłkowanym marmurem, który wyglądał jak starcze, pokryte żyłami i wybroczynami ciało. Przez okrągłe witraże wlewało się czerwone światło, rozplywające się na kafłowanej, brudnej podłodze. Brodzili w nim jak we wstającej z mokrej trawy mgle. Naprzeciw wejścia wisiał na ścianie

ściemniały obraz Marii z Dzieciątkiem. W miejscu, skąd zdjęto złotą szatę obrazu, farba była jaśniejsza, a werniks niespękany. Dwa alabastrowe aniołki wyciągały kikuty rąk ku górze, w stronę zerwanego, zapewne złoconego baldachimu. Twarze Boga i jego Matki były ciemne, spękane jak wyschnięta ziemia. Pod obrazem stały drewniane mary, na których leżał opuchnięty, wylewający się z zetlałego, czarnego munduru trup mężczyzny. Obrzmiałe dłonie i rozlewająca się twarz były niebieskawe, z plamami gnilnymi, z których wyciekała czarna ciecz, tworząca pod marami kałużę, wokół której roiły się złotozielone muchy. Wzdłuż ciała były hałdami ułożone zwiędłe kwiaty polne. Na podłodze u stóp ciała rozlewały się jeziora zastygłego już wosku.

Na piersi zmarłego, tuż obok splecionych, potwornie opuchłych palców ze schodzącymi paznokciami, leżało czarno-białe zdjęcie. Rem podniósł je i obejrzał. Na fotografii widać było wnętrze pałacowej komnaty. W środku widniała obłożona dębową boazerią kolumna z dziesiątkami poroży jelonków. Wzdłuż jednej ściany stała niska, rzeźbiona biblioteczka. Po jej lewej stronie przeciąg wzdymał firankę w półokrągłym wysokim oknie. Po prawej stał bogato zdobiony, marmurowy kominek. Na nim widać było brązową figurę Tezeusza, mordującego Minotaura. Na skórzanym fotelu rozpierał się szczupły, jasnowłosy mężczyzna. Miał wąską twarz z kwadratowym podbródkiem i arystokratyczne nozdrza. Przy nim stała smukła dziewczyna w fartuszkach pokojówki. Miała krągłą twarz i wielkie, ciemne oczy. Siedzący trzymał dłoń opartą na jej udzie, ona zaś z półuśmiechem odpychała jego rękę.

Z tyłu zdjęcia był napis: *Rauden, 21.05.1939*. Poniżej zdanie napisane kaleczoną polszczyzną: *Znaide Cie wszedie*. A obok: *Fur immer Dein*⁵⁸: *Heinrich*.

- Kto to jest? - spytał von Horn.

- Heinrich von Treppf - powiedział cicho Rem. - Stallman przywiózł ciało, by mu sprawić godny pochówek, ale coś go spłoszyło, a może uznał, że nie ma sensu składać ciała von

Treppfa w grobowcu rodzinnym, skoro Sowieci go zbezczeszili...
Być może zamierza wrócić, ale tego nie wiemy...

- On porusza się teraz sam - mruknął Sigismund. - Dopóki współpracował z Rosjanami, Singer mógł uzyskiwać informacje od kogoś, kogo tam miał... służbowo lub prywatnie.

- Jeśli chcesz mi powiedzieć, że Singer ma szpiega u Ruskich - kwaśno warknął Sosnkowski - to może to być tylko jakiś jego pobratymiec, z którym razem do bar micwy szedł.

- Nie obchodzi mnie to - z nagłą niechęcią wykrztusił von Horn. - Chcę tylko powiedzieć, że obojętne, kto donosił Singerowi - teraz już tego zrobić nie może, gdyż Stallman podróżuje sam. Co najwyżej w towarzystwie rozwiązanych trupów. A to oznacza, że szukamy na oślep.

- Nie jest tak źle - Rem unikał wzroku Sigismunda. - Wiemy, czego on szuka, a zatem potrafimy go namierzyć.

- A czegoż to niby on szuka?

- Tej dziewczyny - Sosnkowski skrzywił się. - Jeśli on wierzy, że jest von Treppfem, to będzie szukał tej kochanicy, bo przecież tuż przed wojną dał jej słowo, że ją znajdzie... A ponieważ ona jest Polką, to pewnie tutejsi będą wiedzieć, gdzie ją znaleźć.

- Skąd wiesz, że to Polka?

- A czemu pisałyby po polsku swoje obietnice? I jaka Niemka pracowała na Śląsku jako pokojówka?

- Jaki ja głupi jestem! - walnął się w czoło Sigismund.

- Z nas dwóch tylko ja jestem idiotą - powiedział cicho Sosnkowski - ale nie mów o tym Baruchowi. Ktoś musi we mnie wierzyć...

ROZDZIAŁ VIII

Siedzieliśmy na rozżarzonej placu na spakowanych na chybcika walizkach. Nie było nic do picia. Wokół nas pulsował gorączką i strachem tłum skatowanych upałem ludzi. Od strony torów stał upiornie racjonalny karabin maszynowy na trójnogu. Wokół niego rozsiedli się niemieccy żołnierze, którzy polewali wodą z manierek włożone pod hełmy chustki, ale gdy podpełzła do nich kobieta z dzieckiem na ręku i prosiła o wodę, odpędzili ją kopniakami. Wszystko układało się w spójny obraz. Rzeczywistość ustrukturyzowała się. Nabrała sensu i kierunku. Stała się racjonalna. Owadzia. W świecie insektów nie istniało dobro i zło. Były jedynie wkodowane instynkty i służące im zasady logiki. Technika była tylko przedłużeniem owadziej racjonalności. Gdy miałem siedem lat, mój tata zerwał drewnianą podłogę, by pozbyć się karaluchów, które uprzykrzały życie маме. Odrywał deskę za deską. Składał je higienicznie na kupkę, a potem polewał zbrukaną insekciami odchodami wylewkę palonym wapnem. Karaluchy rozbiegały się w panice. Samice kryły się w załamaniach desek, próbując uchronić wielkie, napuchłe jaja noszone na końcach odwłoków. Przy każdej oderwanej desce, chmara chitynowych pancerzyków i rozedrganych czułek rozsypywała się w krąg, jak stado uderzonych wiatrem szpaków. Gdy ojciec sypał wapno, ginęły. Marły setkami, wraz ze swoją stadną moralnością i chronionymi przez mądrość natury jajami. Niemal słyszałem przenikliwy wrzask, który z pewnością unosił się nad tym rozdygotanym stadem. Wibrujący krzyk rozpaczy gazowanych owadów.

U wejścia do karczmy wisiał kolorowy kiedyś szyld przedstawiający stojącego na tylnych nogach jednoroźca. Pod nim wiły się gotykami zielone litery: *Unterm Einhorn*⁵⁹. W oknie

pałała się samotna lampa naftowa. Sosnkowski pchnął malowane zieloną farbą drzwi i wszedł do środka. Pod lampą na drewnianym parapecie siedziało trzech milczących, ponurych chłopów. Przed nimi stały wysokie kufle piwa. Jeden z trójki palił długą fajkę z malowanym, porcelanowym cybuchem. Tylko on podniósł wzrok, gdy oficerskie, wysokie buty Rema załomotały o deski podłogi. Za szynkwasem stał stary, dziwacznie poskręcany mężczyzna. Wokół chudych bioder miał zawiązany fartuch z napisem: *Schlesien fur Schlesier*⁶⁰. Nad nim rozczapierzał skrzydła wielki, wypchany cietrzew.

Rem podszedł do oberżysty, słysząc za sobą miękkie kroki von Horna.

- Co ma cietrzew do jednoroźca? - spytał.

- Co?

- On tylko tak - pospieszył z wyjaśnieniem von Horn. - Ciekawski jest.

- Nie bądź pytaj i nie pytaj - zauważył filozoficznie karczmarz.

- Nie podoba mi się takie postawienie sprawy - mruknął Rem. W kątach szczęki napięły mu się mięśnie i zaczął zaciskać lewą pięść.

- On dużo przeszedł - znów wpadł mu w słowo Sigismund, próbując wciąż łagodzić sytuację. - Wojna nikogo nie oszczędziła...

- Jo tam se nie żałują - oświadczył staruch. - Mnie tam za jedno, kto z kim wojuje, co by ino za piwo płacił.

- Dwa piwa - grzecznie poprosił von Horn, choć wyraz jego twarzy przestał być przyjazny. Karczmarz nalał piwa z odrapanej, zardzewiałej kegi i postawił przed nimi dwa grubościennie kufle.

- Tej dziewczyny szukamy - Rem położył przed nim wzięte z trupa von Treppfa zdjęcie, podczas gdy Sigismund starannie wyliczał na dłoni drobne monety zapłaty.

- Nie znam - nie patrząc, odpowiedział staruch.

- A może by tak chociaż popatrzeć? - głos Sosnkowskiego nabrał ostrych tonów.

- On tylko tak, z powodu traumy i w ogóle - wciąż starał się

łagodzić von Horn.

- Trałmo czy nie, mom to w rzyci - oświadczył karczmarz, robiąc przy tym wrażenie, że wie, co mówi.

- O to, to... - zgodził się Rem i z zaskakującą lekkością przeskoczył szynkwias. Złapał starca za spraną koszulę i skręcił ją w dłoni.

- Na razie grzecznie się pytam - powiedział chrapliwie - ale jak nie dostanę odpowiedzi, skoczy mi ciśnienie. A wtedy, szanowny panie, robię rzeczy mnie samego zadziwiające...

- Co on godo? - oberżysta, widać się bezsilnie w uchwycie Rema, zwrócił się do von Horna.

- Myślę, że chce wam przekazać, że jak mu nie odpowiecie, to za siebie nie odpowiada - układnie odpowiedział Sigismund.

- Że co? - stary wyglądał na zdetonowanego.

- Rzeknijcie mu prawdę - poradził mu nałogowy fajczarz z zainteresowaniem przyglądający się scenie - abo on wos w morde jebnie. Widzi mi się, co to fajnisty, ale twordy karlus jest, co nie, chopy? Chopy odpowiedziały zgodnym pomrukiem. Panowała widać zgoda co do oceny Sosnkowskiego.

- To jest córka Szewczykowej! - rozdarł się starzec. - W pałacu do wojny robiła, a bo co?

- Nic - mruknął Sigismund. - Nas interesuje tylko, gdzie ją znajdziemy?

- Za mąż poszła ze dwa roki temu - rozdygotanym głosem oświadczył karczmarz - i z mężem do Kielc wyjechała!

- Do Kielc? - nie odrywając wzroku od starucha, nieufnie powtórzył Rem.

- Prawdę godo - fajczarz potwierdził. - Gupia dziełcha do goroli wyjechała.

- A kto może potwierdzić? - podchwytliwie spytał von Horn.

- A choby jej siostra - pykając z fajki mruknął flegmatycznie palacz. - A starego Wiencorza puście. On i bez tego na umyśle słabuje.

Jechaliśmy stłoczeni w bydlęcym wagonie. Przykładałem usta do szpar między deskami, by oddychać. Powietrze było przesycone

odorem. skisłego moczu i wysychających na udach ekskrementów. Mężczyzna za mną umarł w nocy, ale wciąż stał, podtrzymywany przez stłoczony tłum. Tylko z ust po kilku godzinach zaczął wydobywać się kwaśny, wilgotny zapach. Jakaś kobieta za plecami stojących zawodziła monotonię: Dawidek, Dawidek... Ktoś klął mechanicznie. Ktoś inny wyjaśniał, że duszący, słodki odór, który dławił bardziej niż inne, pochodził z zawiniętego w beciki Dawidka, którego matka od trzech dni nie wypuszczała z rąk, mimo tego, że szerniał i spuchł od rozkładu. Gdy pociąg zatrzymywał się na stacjach, przyciskałem oko do dziury po sęku w desce wagonu. Na zewnątrz widziałem niechlujne dworce z żółtawej cegły, chłopów z koszami pełnymi jaj i znudzonych, niemieckich żołnierzy. Na zewnątrz istniał normalny świat. To nie był koniec świata. Nie słyszałem trąb archaniołów zwiastujących nadejście Pana. Ludzie kupowali wódkę i jaja. Targowali się. Kłócili. Gdy mijali ich Niemcy, kłaniali się unieźenie, zdejmując z głów czapki. My, zamknięci w wagonach przeżywaliśmy samych siebie. Smakowaliśmy prawdę o nas samych, ujawnianą przez ściekające do butów gówno, smród potu i gnijącego mięsa. Bóg pokazywał narodowi wybranemu prawdę, którą zwykli ludzie poznają zawsze za późno. I nikogo to nie obchodziło.

Przed oczami świadków rozgrywał się kosmiczny dramat demaskacji złudzeń, ale nikt nie był zainteresowany. Tak, jak nikomu nie spędza snu z powiek los tępionych szczurów lub stonek. Zrozumiałem, że śmierć nie ma takiej samej wagi dla wszystkich. Nie umieraliśmy godnie. Jak wojownicy Nibelungów, z radosnym śmiechem ciągnąc za sobą wrogów.

Zdychaliśmy jak robactwo. Przeliczeni. Zważeni. Wciągnięci na listy przewozowe. Ponumerowani jak bydło.

Zasłużyliśmy na tę śmierć, gdyż stulecia bezradności zniszczyły w nas drapieżne pragnienie krwi.

Można zapędzić do rzeźni owce lub krowy. Niech ktoś spróbuje tej sztuki ze stadem wilków.

Chałupa była pochylona w stronę drogi i podparta ociosanymi z grubsza pieńkami sosen. Za zbitym ze zbutwiałych desek

ogrodzeniem, zachłystywał się szczekiem kudłaty kundel.

- Myślisz, że mnie ugryzie? - zadumał się Sigismund.

- Myślę, że nie. Dlatego tak się pieni, żeby nie musiał nic robić - mruknął Sosnkowski. - Jakoś nie wierzę, że on tak na serio. Za bardzo się stara... Von Horn z namaszczeniem zdjął z dwóch sztachet obręcz z kawałka blachy i ostrożnie pchnął furtkę. Kundel podkulił pod siebie ogon i czmychnął do budy pod drzwiami, skąd wyrżał z niedowierzaniem na pysku.

- Zadziałało - stwierdził Sigismund. - Skąd wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. Czułem tylko, że taki kundel nie może szczekać na poważnie. Do tego potrzeba choć trochę rasy. Przeszli do murowanej sieni, gdzie na szybach widać był dziesiątki roztluczonych komarzyc i pajaków. Zastukali. Otworzyła im gruba dziewczyna z rumieńcami na policzkach. Była ubrana w czarną suknię, ale uśmiechnęła się zachęcająco, gdy zobaczyła blond czuprynę von Horna.

- Pani Szewczyk?

Kiwnęła entuzjastycznie głową.

- Powiedzieli nam w karczmie, że pani wie, gdzie szukać pani siostry... - rozwiął jej złudzenia Rem. - To się zgadza?

- Siostry ni ma - z urazą w głosie powiedziała kobieta. - I nie pisała od wesela.

- A gdzie mieszka, wie? - twarz von Horna mówiła wszystko, co myśli o nalanej twarzy gospodyni.

- A bo co?

- A bo my jej znajomi - powiedział cicho Sosnkowski. - Dawni przyjaciele Heinricha von Treppfa.

- Też mi nowina! - prychnął babon. - On godoł, że kocha, ale mu cycek nie stowoł. To jaka to miłość?

- Żadna - przyświadczył z wyraźną ochotą von Horn. - A skąd wie, że nie stawał mu ten, no... cycek?

- Przeca mi Hanka godała - oświadczyła nalana pańcia. - Padała, że nigdy nie znoła chopa, co by tak bardzo chcioł i tak bardzo nie móg...

- To brzmi poważnie - zauważył Sigismund. - Znaczy, impotentem był?

- Że co? - z pogardą w twarzy spytała Szewczykówna.
- No, wiemy to na pewno, że von Treppfowi nie stawał?
- Na pewno, na pewno... - przedrzeźniała go Szewczykówna. - Hanka nie była pierwszo. Już Julka Szklorz, co w pałacu za kucharkę robiła, godała, że młody Treppf ją chcioł wydudkać, ale mu cycek nie stanoł...
- Aha - inteligentnie zauważył Sigismund. - To czemu akurat Hanka taka ważna w jego życiu była?
- A bo to normalny człowiek zno, czemu taki wariot se dziewczkę upodoba? Godoł, że kocho. I mnie się widzi, że prowde godał.
- Czemu?
- A bo żenić się chcioł - ze zdziwieniem w głosie powiedziała Szewczykówna. - Przeca nie każdy, komu dupczyć się chce, prawi, coby się żenić, ni?
- Rychtyk - oświadczył von Horn, udowadniając, że faktycznie pochodzi ze Śląska. - A gdzie myją znajdyemy? Znaczy się, Hanke?
- Dyć w Kielcach - mruknęła Szewczykówna, wpatrując się z zainteresowaniem w grające mięśnie na szczęce Sosnkowskiego.
- Z jednym robotnikiem wędrownym wyjechała. Gupia jedna.
- Gupia - kiwnął głową Sigismud. - Ale na pewno do Kielc?
- A bo co? Czy jo na gupiom wyglondom?
- Niece - zapewnił ją von Horn. - Ja tylko tak... Trauma powojenna nikogo nie oszczędza.
- A jakiś adres moglibyśmy dostać? - wtrącił się do rozmowy Rem.
- Oni tam wszyscy w pożydowskich domach siedzą, ale Hanke znejść łatwo. W knajpie „Hulanka” pod Kielcami robi. Tam wojska dużo stoi, to karczma piniondz przynosi. Pisała, że jom wszyscy tam już znajom i wiedzom, co to śwarno dziełcha jest. Jak jo - spojrziała zalotnie w błękitne oczy Sigismunda, który zamrugął nerwowo. - Jo się nie załamują, choć dopiero co narzeczonego mi na grubie zasypało...
- No właśnie - chrząknął Sigismund, nerwowo uciekając spojrzeniem. - Trauma naprawdę nikogo nie oszczędza.

- Nie przejeździemy - warknął von Horn po rozmowie ze

stojącym na skrzyżowaniu dróg żołnierzem z chorągiewkami sygnalizacyjnymi w rękach. - Mówi, że jednostki frontowe wracają do Rosji. Dziesiątki tysięcy ludzi... A z drugiej strony płyną repatrianci. A do tego, gdzieś tam z przodu zepsuł się czołg i musieli czekać na zgodę dowództwa, żeby go inne czołgi do rowu zepchnęły. Tam jest piekło. Musimy czekać.

- I to długo - dodał Baruch, który stojąc na pace motoru, wspinał się na palce, próbując przedrzeć się wzrokiem przez kłębiący się tłum. - Wszyscy chyba tak myślą, bo przygotowują się do nocy... Zwłaszcza, że zmrok zaraz zacznie zapadać, a jechać w ciemie, to niedobry pomysł.

- No trudno - Rem zrezygnowany zsiadł ze skórzanego siodełka i wyciągnął z paki okopcony kociołek na łańcuchu. - Nocujemy z nimi. Rozbili obozowisko, przyglądając się przesuwającym się wciąż drogą kolumnom sowieckiego wojska i wozom uciekinierów z dawnych kresów Rzeczypospolitej. Gdy zaparzyli zbożową kawę, na poboczu zatrzymał się malowany na zielono wóz zaprzęzony w dwa wychudłe konie. Na burcie miał malowaną jaskrawą farbą napis: *ZIRKUS*, pod nim żółciły się mniejsze litery cyrylicy: *IJMPK*. Podszedł do nich chudy mężczyzna z podgolonym karkiem i z oklapłym, siwiejącym wąsem.

- Towarzysze artyści - zagadał, uśmiechając się samymi ustami.

- Dołączyć można? My tu, z moją asystentką, noc spędzić musimy, bo chamstwo drogę zagraża... To i pokaz damy, coby trocha grosza zarobić. Wy, jak widzę, z branży jesteście... To może razem przedstawienie damy?

- My na razie odpoczywamy po trudach tournée - powiedział, jak zwykle gadatliwy Baruch - ale zapraszamy do kompanii. Być może do występu, mimo wywczasu dołączymy...

- Co ty robisz? - syknął zbiełały ze złości Sosnkowski. - Po kiego nam ktoś obcy?

- Bo już na następnym popasie nie będzie za co ani chleba, ani wódki kupić - szepnął Gebert. - A coś mi się widzi, że przywyklim już do zakrapianych wieczorów...

Rem nie odpowiedział, tylko kwaśno uśmiechnął się do fałszywej twarzy wędrownego cyrkowca, który wyprostował się z udawaną dumą i wyrecytował:

- Kukliński Wacław... Dawniej major armijny... - Sosnkowski skrzywił się, ale nowo przybyłego to nie skonfundowało. - A dziś skromny artysta drogi - dokończył. - Panowie pozwolą... - w tym samym momencie z paki motoru wyskoczyła Judyta. Kukliński obrzucił ją szybkim, taksującym spojrzeniem i z obleśnym uśmiechem wyrzucił z siebie:

- A więc, waszmościowie macie i artystkę rewiową. Powitać. I ja podróżuję z panią Kuklińską... Sławomiro, pozwól do nas! - krzyknął w stronę wozu. - Panowie chcą się z tobą zapoznać...

Plandeka wozu uchyliła się i na zakurzoną drogę zsunęła się niezgrabnie zniszczona kobieta. Mogła mieć między czterdzieści a pięćdziesiąt lat. Była bardzo szczupła. Na chudych pośladkach ledwie trzymały się kawaleryjskie bryczesy. Wojskowa koszula opinała niemal płaski korpus. Z rozpiętego kołnierza wystawały upiornie obojczyki ozdobione brązowym znamieniem z boku szyi. Pod oczami rozlewały się wielkie, napuchnięte worki. Niedomknięta wargą odsłaniała drobne zęby, z których jeden był złoty. Miała dołek w brodzie i głębokie bruzdy wokół Oczu i wzdłuż ust. Jedyne, co przypominało o dawnej urodzie, to gęste, jakby szorstkie włosy.

- Sławomiro - zagruchał Kukliński - pozwól, że przedstawię naszych nowych przyjaciół... Są to ludzie szlachetni i oddani sztuce, jak my... Kobieta sztywno dygnęła. Jak bojący się bicia pies.

- Pani mąż nieco przesadził - powiedział wolno, zdrewniałym głosem, Sosnkowski. - Nie jesteśmy ani takimi artystami, ani oficerami... jak państwo.

- Ależ to nic nie szkodzi! - zaświergotał Kukliński. - Żyjemy w nowym, bezklasowym społeczeństwie. Czy państwo uwierzylibyście, że byłem ongi majorem kawalerii?

- Nie bardzo - mruknął Rem, nie siląc się na grzeczność.

- A teraz, proszę - Kukliński ominął niebezpieczeństwo towarzyskiej wpadki - prowadzimy życie cygańskie, jak nie

przymierzając, Żydzi...

- A czemu to Żydzi prowadzą życie cygańskie? - głos Sosnkowskiego nabrzmiewał niechęcią na tyle silną, że von Horn z obawą obrzucił go szybkim spojrzeniem.

- Ale, ale! - Kukliński z wdziękiem kuglarza zażegnał burzę. - My tu wymieniamy się mówiąc kolokwialnie grzecznościami i bon motami...

- Czy to aluzje do mnie? - wciąż prowokował Rem.

- A czas płynie - Kukliński nie dawał się zbić z pantałyku. - Pora, by zarobić parę groszy!

- Tuś pan utrafił - Baruch dał wyraz swemu narodowemu rozsądkowi. - Tak właśnie czekam i czekam...

- Sławomiro! - władczo zakomenderował Kukliński. - Graj!! Chuda kobieta wyjęła zza plandeki bębenek i zaczęła w niego walić, krzycząc przy tym piskliwie:

- Arrivado major Kukliński!... major Kukliński ist gekommen!... Major Kukliński k wam, towarzyszczi prijechał!

- Duże w tym materii pomieszanie - powiedział półgłosem Baruch, a Sosnkowski dodał:

- Amen.

W tym czasie wokół bębniącej Sławomiry Kuklińskiej zebrał się mały tłumek. Prócz repatriantów widać też było zaciekawione, mongolskie twarze żołnierzy zwycięskiej Armii Czerwonej. Kuklińska zdjęła bluzę, zostając w naszywanym cekinami, acz zażółconym biustonoszu. W tym czasie jej mąż wyniósł z wozu plecioną ze słomy tarczę, na tle której ustawił wdzięczącą się zwiędłą małżonkę. Za pasem miał wetknięte noże z kościaną rękojeścią. Kuklińska zastygła, wznosząc ręce i krzywiąc twarz w grymas udający uśmiech. Kukliński wyjął zza pasa noże i trzymając je w lewej dłoni prawą zrobił szeroki, niezgrabny ruch.

- On ją zabije - szepnął Sosnkowski. - Nie ma pojęcia o nożu! Ostrze wbiło się niecały centymetr od głowy kobiety. Kuklińska pozieleniała. Jej malowany uśmiech upiornie zastygł na poblądłej twarzy.

- Nie chcę na to patrzeć! - syknął Rem. Podszedł do

zaskoczonych Kuklińskiego, wyjął mu z ręki noże.

Stanął w lekkim rozkroku.

Cok! Cok! Cok! Ostrza gładko i bezpiecznie wbiły się w tarczę wokół sylwetki Kuklińskiej. Buchnęły brawa. Baruch z czapką obszedł stojących. Kukliński podszedł do Rema i z przymilnym uśmiechem wychrypiał:

- Od razu poznać artystę... Powinszować!

- Nie. To ja panu winszuję. I zazdroszczę.

- Czego? - nie zrozumiał Kukliński.

- Szczęścia. Pańskiego lub żony. To, że ona wciąż żyje, to cud. Równie wielki, że pan z takim spokojem ryzykujesz jej życiem.

W milczeniu Kukliński wyjął z maty noże i wsadził je za pasek.

- Do wozu! - warknął do żony, która jak tresowany pies wskoczyła na pakę.

- Przynajmniej umie rozmawiać z kobietami - próbował rozładować napięcie Baruch, ale w zapadłym milczeniu jego uśmiech zdrewniał.

Wieczorem zapalili ognisko. Gebert, który utargował z Kuklińskim co nieco z pieniędzy zebranych po występie, przyniósł spirytus kupiony od żołnierzy, więc języki się rozwiązały. Baruch zaśpiewał kilka fragmentów pieśni hasydzkich, mieszając je ze sprośnymi przyśpiewkami:

*...Und er erzählt dem Annerl vom Berge Sinai,
und greift ihr an die Waderln hinauf bis an die Knie.
Nicht nur auf Haupt und Glieder ruht die geweihte Hand
er senkt sie langsam nieder bis ins Gelobte Land.
„Ei“, spricht er, „liebes Annerl, greift in die Kutten, Maus,
und hol mir meinen Priesterstab, den Segen Gottes' raus...⁶¹*

Z mroku wyłonił się Kukliński z żoną. W ręku miał pękaty bukłaczek.

- Panowie pozwolą, że się dosiędziemy - zakwilił. - Mamy pyszny poczęstunek. Można?

Sosnkowski coś szepnął niedosłyszalnie, ale von Horn, po Śląsku otwarty na poczęstunek, szerokim gestem zaprosił gości.

Kukliński nalał do stojących wokół ognia kubków. Przy kubku Judyty drgnęła mu ręka.

- Panienska widać, że starozakonna - mruknął. - Nalać?

- Mi pan nalałeś - z dziwnym wyrazem twarzy powiedział Gebert.

- A bo pan jesteś taki... nowomodny - skrzywił się w przyklejonym fałszu Kukliński. - Ale ta panna tu milkliwa i poważna, jakby żywcem ze Starego Testamentu wyjęta, tom myślał...

- Źleś pan myślał - warknął Rem, ale zanim zdążył rozwinąć myśl, z ciemności wyłoniło się dwóch mężczyzn w wojskowych płaszczach i cywilnych czapkach.

- Panowie - wychrypieli - my tak względem tego, co i owszem...

- Proszę? - nie zrozumiał Baruch.

- No, panienska przy nożach taka zręczna i cycki w cekiny miała, to pomyślelim...

- Ile? - głos Kuklińskiego nabrał rzetelności kupieckiej.

- Stówkę?

- Dwie. Od głowy - wyjaśnił rzeczowo Kukliński.

Jeden z mężczyzn kiwnął głową.

- Dużo - stęknął - ale co robić. Czasy trudne, płacić trzeba... - wręczył Kuklińskiemu banknoty.

- Sławomiro - uroczyście mruknął Kukliński - udaj się z panami na chwilę, by porozmawiać o sztuce. Ja w tym czasie z naszymi nowymi przyjaciółmi posiedzę... o Polsce zniewolonej komunistycznym jarzmem porozmawiamy. Kobieta wstała. Oczy miała martwe. Bez cienia blasku. Nie patrząc na nikogo podeszła do klientów. W trójkę udali się w stronę najbliższych krzaków. Z dała od płonących ognisk repatriantów. Zapadła cisza. Słysząc było tylko głośnie przetykanie wódki przez Barucha, który niespokojnymi oczyma wodził od Rema do Kuklińskiego. Twarz Sosnkowskiego była martwa, za to w jego oczach odbijały się dziko płomienie ogniska. Nikt nic nie mówił. Minuty upływały w upiornym bezruchu. Jakby czekali na czyjąś zapowiedzianą śmierć. Po boleśnie długiej chwili Kuklińska wyłoniła się z mroku i sztywno usiadła koło męża. Miała rozmazaną szminkę.

Poruszała się z trudem, jakby coś ją bolało z dołu brzucha. Za nią ciemność wypluła dwóch mężczyzn. Byli rozgrzani. Roztańczeni, jakby przed chwilą dostali prezenty świąteczne. Na twarzach obu pełgał rumieniec.

- Panowie - wychrypiał jeden - my by jeszcze chcieli i tę młodszą...

- No! - potwierdził jego kolega - taka jęwejska mołodycia. to miód z mlekiem, nie?

Wiało od nich spirytusem i spermą.

Rem wstał i z kocią ociężałością podszedł do nich.

- Won! - zasyczał.

- Ale co pan?!? My ino tak...

- Ja też ino tak - wychrypiał z wysiłkiem. Coś w jego głosie pchnęło ich obu w mrok. Bez słowa.

- Ty też - powiedział nie obracając się, ale Kukliński zrozumiał do kogo mówił.

- Chcieli tylko żydowskiej cipki skosztować - ze słyszalnym zdziwieniem w głosie starał się wytłumaczyć. - Po co od razu taki gwałt?

- Spierdalaj, stręczycielska gnido!!... Albo zabiję! - Rem wciąż się nie odwracał, ale barki zadrgały mu z kielżnanego napięcia.

- Niech pan lepiej idzie - poradził Kuklińskiemu Baruch. - Gdybym to ja mówił, to bym tylko mówił... A że to jest on... to aż dziw, że on cokolwiek mówi. Niech pan idzie. Naprawdę. To taka rozsądna, żydowska rada... No, instynkt samozachowawczy nawet byłym majorom coś podpowiada, nie?

Oboje zniknęli w mroku. Jak duchy. Sosnkowski wolno się odwrócił ledwie panując nad twarzą. Przechwycił wzrok Judyty. Rozjaśniony i przerażony zarazem. Nikt nic nie powiedział, tylko Gebert nerwowo patrząc na Rema wydukał coś o późnej porze i że kto rano wstaje, temu Jehowa daje. Dziewczyna nie spuściła wzroku. W jej oczach pełgało coś więcej niż lęk.

Obóz koncentracyjny jest kwintesencją prawdy. Teatralnym podręcznikiem filozofii. Moralitetem odgrywanym na co dzień na potrzeby niewidzialnej publiki. Na co dzień ukrywamy prawdę

bardzo starannie. Czeszemy i strzyżemy włosy. Czyścimy ubrania. Myjemy zęby i skrapiamy się perfumami. Otaczamy się przedmiotami, w nadziei, że ich sztuczny ład zasłoni prawdę. Jak mrówki budujemy wokół nas uporządkowany świat, który zasłania nam widok na piekło. Ładem oślepiamy się na prawdę.

Oczywiście, ona dopada nas. Zwykle w śmierdzącej krochmalem i środkami dezynfekcyjnymi pościeli szpitalnej. Tyle, że już jest za późno. Prawda, choć miała nas wyzwolić, stawia nas nagimi na mrozie. Odchodzimy dławiąc się nią i wiedząc, że już na wszystko jest za późno. Zaś obóz pozwala ją dojrzeć bez osłonek. Czuje się ją. Smakuje. Osiada na twarzy popiołem z krematoriów. Wdziera smrodem tłumy ludzkich bydląt, beznadziei, brudu i strachu. Prawda ma upiorną twarz wygłodniałego człowieka, który mimo skrecającego głodu i świadomości, że i tak umrze, wciąż boi się innego człowieka na tyle mocno, by bezwolnie patrzeć, jak drapieżnik w czarnym mundurze wybiera spośród tłumy ofiarę. Współczesne demokracje kryją tę prawdę. Nikt nie chce jej pojąć, gdyż jej konsekwencją byłoby zaprzeczenie wszystkiego, co przywykliśmy nazywać cywilizacją. Krew, gówno i śmierć budują perspektywę poznawczą człowieka. Jak przed dziesiątkami tysięcy lat, wśród stad roślinożerców mogą bezkarnie krążyć drapieżniki. Są bezpieczne w otoczeniu setek bezwolnych stworzeń, których jedynym przeznaczeniem jest być zjedzonym.

Wokół jarzyły się słabo dogasające ogniska. Z oddali słychać było bałabajkę i rzewne czastuszki śpiewane pijanymi głosami żołnierzy. Od wozów repatriantów także dochodziły fragmenty piosenek, przemieszane z chrapaniem i donośnymi pierdnięciami. Ogień pełzał po bierwionach, rozbijając ich powierzchnię na pomarańczowo rozżarzone łuski, które od czasu do czasu pękały, wyrzucając w górę snopy iskier. Judyta nie spuszczała oczu z Sosnkowskiego, który wyraźnie nieswój, wstał w końcu i z papierosem w ustach wyszedł z kręgu światła wokół ogniska. Stał w ciemności, kilkanaście metrów od roztańczonego bąbla ciepła. Usłyszał za sobą trzaśnięcie gałązki i

odwrócił się. Von Horn skrzywił twarz w przeproszającym grymasie.

- Chcesz być sam? Rem bez słowa wzruszył ramionami. - Nie uciekniesz od tego - von Horn zapalił papierosa, błyskając przez chwilę benzynową zapalniczką.

- Od czego?

- Od ludzi - zaśmiał się Sigismund. - Od poranionych, przerażonych ludzi, którzy jak ćmy ciągną do ciebie.

- Nie wiem, co masz na myśli - powiedział szorstko.

- Ona tego nie ukrywa - mruknął spokojnie von Horn. - Bo jest jak bezpański pies. Szuka kogoś, kto ją przytuli, ochroni. Nie zostawi. Przeszła przez piekło. Nic dziwnego, że wybrała ciebie.

- Wciąż nie wiem, co chcesz powiedzieć! - zawarczał Sosnkowski.

- Wiesz - Sigismund usiadł ciężko i zaciągnął się głęboko dymem. Żar na czubku papierosa rozjaśnił jego delikatną twarz aryjskiego amora. - Kiedyś ojciec znalazł w lesie wyżła... Zgubić się musiał komuś na polowaniu, choć ponoć psy wszędzie i zawsze trafiają. Był wychudzony, ze zmierzwioną sierścią. Cały drżał. Gdy widział człowieka, łąsił się jak szczenię. Tulił się do nóg, więc wszyscy klęli, bo wiecznie wywracali się o niego. Kucharze i służba nienawidzili go, bo nie pozwalał im zbliżać się do gabinetu ojca. Po kilku tygodniach niemal wrócił do siebie. Był wesoły i zaokrąglił się. I wtedy ojciec na kilka dni wyjechał do Breslau... Pies oszalał. Przestał jeść. Siedział pod drzwiami jego gabinetu. Skuczał. Nocami wył, budząc wszystkich... On bał się, że znów zostanie sam.

- I co się z nim stało?

- Gdy ojciec zmarł na zawał w 1939 roku, zdechł ze zgryzoty. Nie obchodziło go, że wszędzie wokół było pełno ludzi. Dla niego zniknął ten jeden człowiek, który kiedyś dał mu poczucie bezpieczeństwa. Ten jedyny, którego wybrał na swojego pana i obrońcę przed samotnością.

- Po co mi o tym mówisz?

- Nie różnimy się tak bardzo od psów - szepnął Sigismund. - My też potrzebujemy kogoś, kto da nam poczucie wiary w sens życia.

Da bezpieczeństwo. I siłę. To nie miłość, to dziecięcy egoizm, ale w objawach dorównuje najgorętszemu zakochaniu... i o wiele dłużej trwa - zgasił peta i dodał: - Gdybyś przeszedł przez kacet, a potem żył w świecie pełnym ludzi, którzy wciąż patrzą na ciebie jak na rzeźne zwierzę, to jak ona, przyłgnałbyś do tego, kto ma w sobie wystarczająco siły i gniewu, by być szlachetnym, mimo własnego okrucieństwa. Nie uciekniesz przed nią... - chciał dalej mówić, ale Rem położył mu rękę na ustach.

- Cicho! - syknął. - Idą do nas! - pociągnął go za sobą na wilgotną od rosy trawę.

Od ognisk repatriantów doleciał chór pijanych głosów Ktoś coś mówił judzącym, sykliwym głosem, ktoś inny odpowiadał grubym, chłopskim basem. W ciemności zaczęły się poruszać pochodnie. Jak spłoszone żar-ptaki. Murmur głosów i niesione ognie zbliżyły się do ogniska, przy którym siedział Gebert i Judyta. Okrążyły ich oboje, odcinając od motorów. Krępi mężczyźni w brudnych marynarkach obstąpili ognisko. Wśród nich widać było Kuklińskiego. Gebert przygarbił się i skrzywił twarz w przymilnym uśmiechu. Judyta skuliła się, jakby chciała uciec w głąb siebie. Ukryć swój niepohamowany, kłusający strach.

- Panie majorze! - Baruch przymilnie zagruchał - zapraszamy do kompanii... Czołem panowie!

- My nie czołem z byle wołem! - charknął stojący obok Kuklińskiego mężczyzna o ukraińskiej, zarośniętej twarzy i zaśmiał się kretyńsko, jego kompan mruknął z zazdrością:

- Tyś, Stefanie, człowiek bywały i dowcipny. Od razu widać. Żydaś zgasił jak świecę pierdnięciem...

- Ty się tu, Żydku, nie łaś! - ostro powiedział Kukliński. Na twarzy już nie miał konferansjerskiej serdeczności. Wokół ust wystąpiły ostre zmarszczki. - My względem twojego aroganckiego kolegi przyszli i tej żydowskiej suczki... Gdzie on?

- Rem poszedł wódki szukać - swobodnie skłamał Gebert. W zestawieniu z błyszczącymi opętańczym strachem oczami, jego uśmiech wyglądał upiornie. Jak obnażone zęby trupa.

- To jak wróci, to my mu pokażem, co znaczy patriotów obrażać

- zarechotał towarzysz Kuklińskiego.

- A tymi czasy, my, Boże ludzie, z Żydóweczką się poweselim. Chłopy, wiecie to, że Żydóweczki w poprzek majom?

Mężczyźni wokół zatrzęśli się w obleśnym, niebezpiecznym śmiechu.

- Panowie - drżącym głosem wyskrzeczwał Baruch - dajcie spokój. Demokrację budujemy... będziemy znowu chodzić po swych własnych schodach...

Kukliński niedbałym, niemal scenicznym ruchem kopnął go w twarz. Gebert upadł w tył charcząc i skulił się płacząc. Jeden z towarzyszy Kuklińskiego dobiegł do niego i zdzielił go okutym orczykiem w głowę, niemal zrywając mu brew i kawałek ucha. Judyta zeszywniała. Podszedł do niej kozacki amant, złapał za podbródek i szarpnięciem obrócił jej twarz do światła.

- Noo, mylić się nie myliłem, młodycia to jak krew z mlikiem!
- niemal zaśpiewał. - A jak jeszcze naprawdę ma w poprzek, to już naprawdę starego Józefa Bóg za wierną służbę Rzeczypospolitej wynagrodził... Hej, Chłopy! Przytrzymać mi ją!

Do Judyty doskoczyło dwóch mężczyzn. Przewrócili ją na ziemię i przytrzymali ręce. Zadarli jej spódnicę i zdarli bawełniane majtki, odsłaniając ciepły, futrzany mrok. Dziewczyna leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Nie broniła się. Tylko z przygryzionej wargi popłynęła strużka krwi.

- Zaczekajmy lepiej na jej gacha! - zaskrzeczał Kukliński, nie odrywając jednak wzroku od krocza Judyty. - Najpierw obowiązki, potem nagroda!

- Pan major nie przesadza - jego kompan także nie odrywał oczu od Judyty. - Jak przyjdzie, to mu się obiecany wpierdol spuści... A tera, pora na trocha rozrywki - wolnym ruchem zaczął rozpinać guziki rozporka.

- Pięciu razem z Kuklińskim, mają orczyki i pałki - tchnął Remowi w ucho von Horn. - A nasza broń została na pace motorów.

- A choćby ich było stu - mruknął Sosnkowski, przez zaciśnięte zęby. Rozpiął rękaw koszuli, uwalniając przytroczoną do przedramienia skórzaną pochwę z nożem. Wyjął broń powoli,

tak by nie załśniła w płomieniach ogniska. Złapał nóż w taki sposób, że wywecowane jak brzytwa ostrze biegło w dół nadgarstka. Von Horn, patrząc z niepokojem na zbiele, ściągnięte jak u wściekłego psa wargi Rema, zaczął gorączkowo szeptać:

- Uspokój się... Odciągnij tylko ich uwagę na chwilę. Doskoczę do motorów po karabin...

- Nie będziemy strzelać - mruknął ledwie słyszalnie Rem - bo byśmy wojsko ściągnęli. Nie chcę dostać kuli już po tym, jak się z ubeckiej katowni wyrwałem.

- To co zrobimy, na Boga!? - w głosie Sigismunda słychać było zważenie.

- Zabijemy ich cicho. Z Bogiem, a nawet mimo Boga.

Poderwał się w milczeniu. Jak upiór doskoczył do stojących plecami do mroku mężczyzn. Pierwszy, cięty w bok szyi zatoczył się na Kuklińskiego, który spryskany krwią tętniczą zapiszczał i upadł przywalony jego ciężarem. Drugi, zawadzony lekko końcówką ostrza, która wgryzła się tuż nad jabłkiem Adama, zacharczał i opadł na kolana, trzymając się za gardło. Spomiędzy palców tryskała spieniona jucha. Dwóch osiłków przytrzymujących Judytę, usiłowało wstać, ale ich ruchy były powolne i niezgrabne. Pierwszemu rozciął tętnicę skroniową, zalewając mu oczy sikającą farbą, drugi zakwiczał, odskoczył w tył i potknął się, uderzony kamieniem w głowę przez von Horna, który podbiegł do trzymającego się za tętniącą krwią skroń i powalił go potężnym uderzeniem. W tym czasie walczący z przeciętą tchawicą napastnik wycharczał coś niezrozumiale i upadł twarzą na ziemię.

- Znaczy, że jak Kmicic, żyw będzie? - zajęczał poblady von Horn.

Rem pokręcił głową. Podszedł do Kuklińskiego szarpiącego się ze skrzyconym w agonii ciałem. Klęknął przy nim, przyciskając mu skrzyconą głowę do ziemi.

- Nienawidzę stręczycieli, którzy mentalność hycła ukrywają pod zasłoną szumnych słów - powiedział cicho. - Ale, mimo sześciu lat wojny, to dla mnie wciąż za mało, żeby zabić... Jednak

chciałeś skrzywdzić bliskich mi ludzi, a to już dla mnie wystarczy... - kątem oka zauważył bladą twarz żony Kuklińskiego, która wychynęła z mroku oświetlona przez ogon iskier wyrzuconych z ogniska. Drgnął. Zrobił ruch, jakby chciał wstać z twarzy kuplerza.

- Ja... - zaczął mówić, ale nie skończył.

Kobieta z zaciśniętymi ustami, rzuciła pod nogi szeroki, nabijany pas z cyrkowymi nożami. Odwróciła się i zniknęła w ciemności. Po chwili doleciało ich trzaśnięcie bata i skrzyp osi wozu.

- No i po rozwodzie - zdławionym głosem zauważył von Horn.

- Panowie mnie puszczają... - zakwilił Kukliński. - Ja tylko tak... Przecież nie będziemy się jak chamy nożami rzezać. To nie po oficersku... Ja tylko tak, żeby Żydka nastraszyć... Każdy by tak zrobił... nie?

- Nie każdy, tylko podłe bydlę - mruknął Rem. - Powinienem uwolnić świat od takiej kanalii, jak uwolniłem od tych brudów, które przywlokłeś ze sobą, ale wciąż nie umiem zabić bezbronnego...

- Bogu dzięki! - wyrwało się leżącemu.

- Więc ja cię, bydlaku, jedynie oszelmuję - wysyczał Sosnkowski. - Jak w dawnych, dobrych czasach. Dziękuj Bogu za niebo gwiaździste nade mną i prawo moralne we mnie.

- Co? - nie zrozumiał dawny major kawalerii.



- Obetnę ci uszy i nos - wyjaśnił Rem. - Ale uprzedzam, jeśli zaczniesz wyc, poczuję się zagrożony i pošę cię w daleką podróż za twoimi koleżkami. Zrozumiałeś?

- Pan żartuje... Prawda? To tylko żart? Pan mnie straszy dowcipnie? Von Horn szybko stanął przed skuloną Judytą, zasłaniając jej widok. Kukliński zmartwiał.

- On wie, że ja nigdy nie żartuję - wykrztusił z siebie Rem. - A ty zaraz to pojdziesz. Pamiętaj: jeden krzyk i poderżnę ci gardło! Pochylił się nad Kuklińskim i wykonał trzy szybkie ruchy. Leżący zabulgotał. Dygocząc wydostał się spod trupa i przytrzymując chusteczkę przy twarzy, z tłumionym jękiem pognął w mrok.

Sosnkowski, wciąż w przykłęku, odwrócił się do zbielełego Sigismunda. W milczeniu popatrzyli na siebie. Wokół nic się nie zmieniło. W dalszym ciągu od ognisk dobiegały urywane śpiewy.

- Musimy jechać - powiedział z trudem Sosnkowski. - Zanim się zorientują... Zanim zobaczą ciała.

Patrzyli na niego z bladymi twarzami, oświetlonymi przez upiornie pomarańczowe płomienie ogniska. W milczeniu. Z oczami pełnymi mroku. Jedynie w oczach Judyty w aksamitnej ciemności tańczyły złote iskierki.

Singer, siedząc przy biurku, zapalił papierosa. Rozejrzał się, zatrzymując łąpczywie dym w płucach. W pokoju była stara, szerniała szafa z rzeźbioną głową Gorgony na koronie mebla, siennik pod oknem z rzuconym niedbale kocem, miska na trójnogu z drutu. Na biurku stało zdjęcie młodej kobiety w tradycyjnej peruce żydowskiej. Śmiała się do obiektywu, trzymając na kolanach może dwuletnie dziecko. Obok tej fotografii stała druga, przedstawiająca Dzierżyńskiego z okresu działalności konspiracyjnej. Młody Feliks miał bezczelne, okrutne spojrzenie jasnych oczu. Wąskie usta zaciskał na obłomku cygara. Na zdjęciu czarnym tuszem wypisany był cytat: *W rewolucyjnej walce, komunista musi mieć trzy cechy: czyste ręce, chłodną głowę i gorące serce.* Singer z szuflady wyjął kilka zdjęć, na których stał objęty z Aaronem Stallmanem. Chwilę im się przyglądał, po czym porwał je na strzępy i spalił w popielniczkę zrobionej z mosiężnej donicy. Przykręcił knot lampy naftowej i siedział chwilę w mroku. Wstał i podszedł do okna. Odsunął ciężkie od kurzu, pluszowe zasłony. Po drugiej stronie ulicy, w ciemności bramy rozjarzył się ognek ukradkiem zapalonego papierosa. Nieco dalej, przy skrzyżowaniu stał ciemny samochód, w którym także migotał żar palonych papierosów.

Singer wrócił do biurka i wysunął wyżej tłący się knot. Usiadł ciężko i z wiszącego na oparciu krzesła kabury na pasie wyjął czarnooksydowany pistolet TOZ. Przeładował go i położył przed sobą. Z dolnej szuflady biurka wyciągnął garść odznaczeń i teczkę dokumentów Ordery rozsypał po podłodze. Dokumenty systematycznie darł na paski i palił w donicy. Pod nogą rzeźbionego krzesła miał butelkę spirytusu, z której co chwila dolewał sobie do grubościennej szklanki po musztardzie. Gdy skończył niszczenie dokumentów, odchylił się na krześle i wyjął zza szybki zdjęcie kobiety z dzieckiem. Zachłannie wpatrywał się w nie, jakby próbował wbić je w pamięć, a potem postawił fotografię na krawędzi donicy, pstryknął zapalniczką i podpalił jej dolną krawędź. Błękitnawy płomyk popęzł wzdłuż wycinanego brzegu, zwinął zdjęcie w pomarszczony rulon, błysnął pomarańczowo, spopielał twarze zastygłych w przeszłości ludzi. Singer wpatrywał się intensywnie w pełgające po popiołach iskry, a potem wyjął magazynek z pistoletu i przeładował go, wyrzucając nabój z komory. Zaśmiał się szczekliwie i zadeklamował:

*Nie w barłogu rodowitym
Śród ojczystych mogił skonam,
Lecz mi snadź na trakcie bitym
Śmierć od Boga przeznaczona.
Na kamieniach, pod kopytem,
Pod kołami skrzypiącymi,
Pod dziurawym mostem zmytym
Albo w rowie, w mokrej ziemi...⁶²*

- Nie odbierają raportów - z tłumioną furią powiedział von Horn. - Jakby o nas zapomnieli.

- Może to tylko sowiecki burdel? - zasugerował Sosnkowski. - Ktoś się upił, ktoś zapomniał..

- Ty ich nie znasz - warknął Sigismund. - Jak trzeba, to oni są zdyscyplinowani jak pruski junkier. Aż dziw bierze...

- Zadziwia cię, że bolszewię stać na porządek? - chytrze spytał

Rem.

- Nie musisz mnie prowokować - odgryzł się von Horn. - Ja tylko chcę powiedzieć, że coś musiało się stać, bo nikt nie odbiera moich komunikatów...

- Poradzimy sobie bez nich.

- No nie wiem - Sigismund zagryzł wargi. - Potrzebujemy benzyny, żeby dojechać do Kielc, a nie mamy już ani grosza. Nie mamy pieniędzy ani na paliwo, ani na jedzenie, ani na wódkę.

- Czyli sytuacja jest poważna - włączył się do rozmowy Baruch, który leżąc na pace przysłuchiwał się rozmowie. - Jak realizować szczytne cele rewolucji światowej bez paliwa i spirytu?

- No właśnie - von Horn zagryzł wargi. - Jak mamy dojechać do celu misji, skoro nie mamy pieniędzy, by kupić benzynę?

- Możemy zarobić - pomimo wstrząśnienia mózgu, Baruch pozostawał racjonalny.

- Jak? - z melodramatyczną nutą spytał Sigismund.

- A normalnie - Baruch wciąż zachowywał trzeźwy umysł - wystarczy kilka występów Rema i będziemy mieć na wódkę... I na paliwo, rzecz jasna - dodał po chwili, jakby tknięty jakąś myślą.

- Ustawisz się mu pod nożem? - von Horn był nieustępliwy.

- Ja? - Gebert nie wyglądał na przestraszonego, lecz na zamyślnego. - Tu kobiety potrzeba. Publika to lubi.

- Chcesz ryzykować życiem Judyty? - nieco fałszywie uniósł się von Horn.

- Widziałeś, jak on obchodzi się z nożem? - trzeźwo spytał Baruch. - Zresztą spytaj ją, czy się boi stanąć mu jako cel. Judyto - zwrócił się do zamyślanej dziewczyny - potrzebujemy zarobić trochę grosza, by móc dalej jechać. Zostaniesz asystentką Rema.

- Pewnie.

- Ale on będzie rzucał w ciebie nożami! - w głosie von Horna wciąż pobrzmiwała histeria.

- No to co? - Judyta zmarszczyła brwi, jakby próbowała zrozumieć, o co mu chodzi. - On umie to robić. On wszystko umie robić.

- Bredzisz kobieto! - zeźlił się Sigismund. - Mówi przez ciebie infantylne zakochanie! Wyobrażasz sobie, że na przykład Rem

umie rozwiązywać różniczki?

- Czy różniczka to wyniczek odejmowanka? - dociekliwie spytał Baruch.

- Bredzicie wszyscy - z rozpaczą powiedział Sigismund. - Wierzycie w niego za mocno.

- A ty nie wierzysz?

Von Horn zamilkł i w końcu z godnością wyjaśnił:

- Może macie rację. On naprawdę nieźle radzi sobie z nożem...

Singer wysiadł z samochodu pod szarym budynkiem. Mignął legitymacją strażnikowi z karabinem przerzuconym przez ramię i wszedł po ciemnych schodach na pierwsze piętro. Gdy pchnął drzwi do swojego wydziału, przywitała go cisza. Wszystkie drzwi do pokoi były zamknięte. W gabinecie nie było sekretarki. Za uchylonym oknem słychać było kłębiące się gołębie, którym ktoś musiał wysypać jedzenie na parapet. Singer wszedł do biura. Za biurkiem siedział mężczyzna w ciemnym mundurze MBP. Palił papierosa w długiej, drewnianej lufce i przyglądał się swoim kwadratowym paznokciom. Nie podniósł wzroku, gdy trzasnęły zamykane przez Singera drzwi.

- Towarzysz Wołłejko do mnie - Singer nieudolnie próbował nadać temu zdaniu charakter pytania.

- A owszem - mężczyzna podniósł w końcu szczerzą twarz o zapadłych policzkach. Uśmiechnął się, napinając upiornie skórę na policzkach. Singer wzdrygnął się.

- Źle się czujecie?

- Nie - mruknął Singer i sięgnął po papierosa. Wołłejko usłużnie podsunął mu zapalniczkę.

- Nie siadacie?

- Siedzicie na moim miejscu.

- Ajajaj, co za chamstwo! - obojętnie wyrzucił z siebie Wołłejko, nie ruszając się z miejsca.

Singer usiadł ciężko na krześle dla petentów i skrzyżował nogi w oficerskich, wysokich butach. Milczał, patrząc na rozjaśnioną oczekiwaną uciechą twarz gościa.

- Musicie mieć w zanadrzu jakieś wyjątkowe świństwo -

powiedział ze zmęczeniem. - Już dawno nie widziałem was tak rozradowanego, Wołłejko. Zwykle macie ten wyraz twarzy, gdy kogoś przy was biją.

- Ja tylko służę ojczyźnie - filuterny uśmiech kanalii ustąpił miejsca maskowanej nienawiści.

- To prawda - ze zmęczeniem w głosie mruknął Singer. - Służycie jej, donosząc od prawie dwudziestu lat...

- To łgarstwo! - twarz Wołłejki skrzywiła się w nagłej furii.

- Jak wszyscy łgarze bardzo emocjonalnie reagujecie, gdy wam się powie, kim jesteście. Skąd w takim czymś, jak wy tyle wrażliwości?

Wołłejko zerwał się i zaczął szybkimi krokami przemierzać gabinet. Nie patrzył na Singera. Mamrotał coś do siebie, podkreślając niesłyszalne słowa ostrymi ruchami wyprostowanego palca. Singer przyglądał mu się spod półprzymkniętych powiek.

- Wam się wydawało, że możecie mną pomiatać! - wybuchnął nieoczekiwanie zrozumiałą polszczyzną Wołłejko. - Mną!!

- Wami? - Singer podniósł brwi w udawanym zdumieniu. - Zachowujecie się Wołłejko, jakbyście byli grafem von Schlochen, a nie donosicielem i psychopata.

- To łgarstwo!

- Ależ wiem o tym - Singer rzucił papierosa na podłogę i zdeptał go. - W życiu nie sądziłem, że jesteście grafem von Schlochen.

- Wy sobie ze mnie żarty robicie, Singer - Wołłejko nagle się uspokoił. Siadł i splótł dłonie na biurku.

- Mówi wam coś nazwisko Goldfaust?

- Gold... Faust? Czytałem Goethego, ale mam wrażenie, że mylicie imiona bohatera...

- Wy sobie ze mnie kpicie! - Wołłejko spurpurowiał i zaczął wyłamywać palce. - Ale do czasu... Zczekajcie godzinę albo dwie...

- O czym mówicie? - ostrym głosem spytał Singer.

- O Icku Goldfauscie - z satysfakcją powiedział Wołłejko - waszym semickim kumplu, służącym w jednostce łącznikowej z

towarzyszami doradcami z Ministerstwa Gasudarstwiennoj Biezopasnosti. Dwa dni temu złapano go, gdy nadawał komunikat z nielegalnej krótkofalówki. Podczas przesłuchania wymienił was, jako odbiorcę informacji. Na początku mu nie wierzono, gdyż oczekiwano, że ten cały Icek pracuje dla którejś z imperialistycznych służb, ale - pomimo nalegań towarzyszy radzieckich - Goldfaust powtarzał wasze nazwisko.

- Zналиśmy się - bez cienia emocji powiedział Singer. - Wymienił moje nazwisko zapewne z nerwów i przemęczenia. Pewnie metody naszych towarzyszy nieco go przytłumiły...

- Nie na tyle, by zapomnieć o treści przekazywanych wam informacji - na dnie martwych oczu Wołłejki rozjarzyły się iskry uciechy. - Dlaczego Goldfaust musiał was informować o miejscu pobytu waszego najbliższego przyjaciela, Aarona Stallmana? Wszystko z tęsknoty?

- Z tęsknoty za rozumem u takich kreatur, jak wy! - syknął Singer. Wołłejko wstał. Skóra na czole zbielała, za to pod oczami wystąpiły ceglaste wypieki.

- Myślałem, że z wami da się po dobroci! - zapiszczał - ale wy, Żydzi, jesteście nieprzewidywalni!

- W przeciwieństwie do was, Wołłejko. Wy ze swoją chłopską podłością i chamską głupotą jesteście wyjątkowo przewidywalni.

- Ja mógłbym nawet nie pytać - z dziwnie drgającym czołem wydukał Wołłejko. - Mnie towarzysze radzieccy dali wolną rękę, bo towarzysz Stallman wykonuje dla nich jakieś misje ważne dla międzynarodowego ruchu robotniczego, ale ja chciałem grać z wami uczciwie...

- Uczciwie? - parsknął Singer. - Skąd wy w ogóle znacie takie słowo, Wołłejko? W waszych ustach brzmi to jak publiczne pierdnięcie.

Wołłejko wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je i krzyknął:

- Gil, Salomon! Do mnie!

Do gabinetu weszli dwaj żołnierze o niskich czołach z brutalnymi ustami. Jeden miał zniekształconą czaszkę dziedzicznego syfilityka.

- Odebrać pułkownikowi Singerowi broń osobistą i do pokoju

przesłuchań z nim! Już!

Singer wstał i odpiął pas z TOZ-em. Wyprowadzili go na zalany słońcem korytarz. Choć nie stawiał oporu, wykręcili mu ręce i wlekli między sobą.

- Ja was znajdę - szepnął, gdy złośliwie wyłamali mu bark. - Nawet gdybym miał przeszukać wszystkie ochronki dla dziedzicznie skretyniałych w tym mieście...

- Juści - zauważył jeden z żołnierzy. - Was jutro, pojutrze już nie będzie, to jak wam szukać?

ROZDZIAŁ IX

- O, kurwa! - syknął Baruch - aleśmy wpadli!

Wyjechali z zarośniętego brzoza wąwozu, zatrzymali przy kilku ciężarówkach załadowanych wysoko meblami, żeliwnymi piecami i zrolowanymi dywanami. Przy nich stał wojskowy gazik.

- Szabrownicy - zauważył Gebert - i wojsko. Może być strzelanina...

- Chyba nie - mruknął von Horn. - Razem stoją...

Faktycznie w grupce cywili stał gruby kapitan i palił papierosa. Gdy zauważył motocykle, tłusta twarz mu się rozjaśniła. Dostojnym krokiem podszedł do nich, wypychając brzuch jak ukrytą na pasie piłkę. Za nim podążyli dwaj młodzi żołnierze z pepeszami dyndającymi niedbale na szyjach. Twarze mieli opalone do wysokości oczu. Dokładnie tak, jak padał cień daszków ich czapek.

- A skąd to takie szumne motory mamy? - spytał grubas wachlując się chusteczką.

- Prawdziwe BMW, towarzyszu kapitanie - mruknął jeden z szeregowców wpatrując się zachłannie w znaki na bakach. - Ja do wojny na mechanika się uczyłem, to i dobrą maszynę zawsze poznam.

- O, jak pięknie - rozjaśnił się grubas. - Bo nam się właśnie auto zepsuło...

- Podrzucimy chętnie - mruknął przez zaciśnięte zęby Sosnkowski. - Dokąd potrzeba?

- W różne miejsca, niedostępne dla cywila - wyszczerzył zęby tłuscioch. - Rekwirujemy motocykle na potrzeby armii ludowej.

- Nie za szybko? - wycedził Rem, ale von Horn złapał go przezornie za ramię i z przesyconą fałszem przyjaźnią spytał:

- Macie tutaj konwój szabrowników. I tak będziecie ich

odstawiać do najbliższego miasta, nie wystarczą wam ich ciężarówki?

- Konwój szabrowników? - jeden z cywili, który w międzyczasie podszedł do nich, skrzywił się i splunął. - Skąd to takie niewychowane się bierze? Twarze pozostałych stały się zacięte i twarde.

- My tylko tak, z ciekawości - włączył się Gebert. - Ale już wszystko jasne... Bierzcie panowie... towarzysze, chciałem rzec. My proste ludzie, to i mało dyplomatycznie te sprawy załatwiamy Nie będzie przecież zwady?

- Nie będzie - łaskawie mruknął grubas. - Szklarz, wypiszcie pokwitowanie!

Jeden z żołnierzy z raportówki wyjął brulion z nadrukiem: *ТЕТРАДЬ КОМУНИСТА*⁶³, wydarł z niego kartkę, nagryzmolił na niej: *Rekfiruje sie na poczeby Ludowego Wojska Polskiego. Wydaje sie na proźbe zaintersowanego*, po czym wręczył ją Remowi. Sosnkowski podniósł ją z niedowierzaniem do oczu, a potem spojrzął na von Horna, który z napięciem przyglądał się żołnierzom i wciąż otaczającym ich cywilom, których twarze nabrały niedobrej, groźnej ciekawości.

- A co mi tam! - oświadczył znienacka tłusty kapitan. - Ja o byle co nie stoję! Wyładujcie im wszystko z pak. Znajcie moje dobre serce!

- Dziękujemy, towarzyszu kapitanie! - ze słyszalną ulgą wymruczał Gebert. A szabrownicy zaszumieli zdziwieni.

Żołnierze powyrzucali skrzynie po amunicji służące jako toboły podróżne i wielkie worki podróżne uszyte z namiotowego płótna. Za nimi wyskoczyli na drogę Baruch i Judyta. Grubas wgramolił się przez burtę i dostojnie skinął na swoich podwładnych, którzy wsiedli na motocykle i kopnęli startery. W drugą stronę ruszyły ciężarówki załadowane towarami.

- Powodzenia, powodzenia, towarzysze! - krzyczał entuzjastycznie Gebert, a gdy motory i ciężarówki zniknęły za horyzontem, starł uśmiech z twarzy i dodał: - Żebyście zdechli, skurwysyny! Von Horn rzucił okiem na twarz Sosnkowskiego i szybko się odsunął.

- Musieliśmy im je oddać - powiedział szybko. - Szabrownicy opłacili się tej gnidzie, więc mielibyśmy ich wszystkich na karku... A to ludzie zdolni do wszystkiego i... za dużo ich było! A poza tym, ten kretyn nie sprawdził, co wyrzuca. Mamy w skrzyniach broń i radiostację!

- Wiem - wydusił z siebie Rem. - I nawet mi lżej, bo to dowód na to, że komuna sama siebie zeżre, ale nie wiem, co zrobimy bez motocykli. Będziemy taskać to na plecach??

- Musimy zdobyć forszę - wzruszył ramionami przysłuchujący się im Baruch. - I tak trzeba byłoby dać występy, bo benzyny już nie mieliśmy... Zakopimy radiostację, bo za ciężka, żeby ją dźwigać, a na nasze sygnały nikt i tak nie odpowiada... I długą broń, bo się w plecakach nie zmieści. Na piechotę dojdziemy do najbliższego miasta. Zarobimy na bilety kolejowe. Dojedziemy do Kielc... - zająknął się, ale dzielnie dokończył: - Tam Rem zrobi swoje i wszyscy się rozjedziemy. Z nagrodami w kieszeniach... Tak?

Von Horn podał papierosa Sosnkowskiemu, który bez słowa wziął jednego i zapalił, inhalując się głęboko dymem.

- Tak? - powtórzył Gebert. - Czy zapominamy o tym wszystkim i rozchodzimy się... Każdy do swoich spraw?

- Ja wierzę w komunizm - oświadczył z mocą Sigismund. - Po odrzuceniu wypaczenia syjonistycznego, ślubowałem poświęcić życie sprawie rewolucji.

- Ja tam myślę, że łatwiej by mi było zostać kapelanem wojskowym, gdybym zrobił o co władza ludowa prosi - z dziwnym wyrazem twarzy szepnął Baruch. - A poza tym, widzi mi się, że lepiej zrobić, co nam kazano, niż żeby tym razem nas zaczęli szukać. Rem już wyrok śmierci ma, my mieć w każdej chwili możemy... to może lepiej zakończmy, co zaczęliśmy, tak?

- Tak - mruknął Rem. - Co byśmy zrobili bez twojego semickiego rozsądku, Baruch?

Singer siedział na krześle, z rękoma przykutymi do szczebli oparcia. Miał rozcięte uderzeniami kabla łuki brwiowe. Pod nosem zwisały mu skrzepy krwi, a pod oczami rozlewały się

wielkie, napuchnięte sińce. Z rozbitych warg sączyły się nitki srebrnej śliny przemieszanej z krwią.

- Mówiłem wam, że niepotrzebnie się opieracie - Wołlejko pieszczotliwie przejechał dłonią po szerokiej ranie na twarzy Singera, który wyprężył się i zaskowyczał z bólu.

- Powiedziałem wam wszystko - wystękał.

- O wampirze? O opętaniu przez duszę faszysty? - Wołlejko parsknął śmiechem. - Czy wy, Żydzi, zawsze musicie bredzić, jak ten wasz semicki Chrystus? Ukrzyżować się dla błazeńskich teorii, to jakiś nonsens... Czy to nie dowodzi, że chrześcijaństwo, jako skażone judejskim szaleństwem, musi przegrać z materializmem naukowym?

- Właśnie mi uświadomiliście - wydusił z siebie Singer, patrząc na niego przez zapuchnięte powieki - że macie rację... że chrześcijaństwo z wiarą w poświęcenie, to kwintesencja tego, w co wierzę... To wyjątkowa ironia losu.

- Nie wiem, o czym mówicie - z pogardą oświadczył Wołlejko.

- Tego jestem pewien - kiwnął głową Singer.

Jarmark koński był końskim tylko z nazwy. Na drabiniastych wozach sprzedawano bowiem wszystko, co dało się skraść z żydowskich domów i z kamienic opuszczonej Warszawy. Pierzyny, garnitury, garnki, dziecięce kołyski, srebrem wyszywane tałesy i święte obrazy, na których obrzydliwie szlachetny Jezus pocił się krwią w Ogrójcu, a nawet oprawne w złocone ramki patenty oficerskie nieżyjących już pewnie ludzi.

- Czemu on jest blondynem? - zaciekawiał się Gebert.

- Kto?

- No... ten Jezus? Przecież to Żyd był, nie?

- Mów ciszej! - syknął Sigismund, rozglądając się nerwowo.

- Nie był? - z dziwnym dla niego uporem dopytywał się Baruch.

- Skończ! - von Horn był wyjątkowo poważny. - Nie wiem, czy Rem wytrzyma, jak się ktoś przyczepi.

Baruch popatrzył uważnie na ponurą i zaciętą twarz Sosnkowskiego i zamilkł. Milczeli wszyscy oglądając powycinane z ram obrazy i oficerskie szable sprzedawane przez

śmierdzących spirytusem facecików o kosych, chytrych spojrzeń.

- Wytrzymasz bez pakowania nas w kolejną kabałę? - spytał w końcu von Horn.

- Tak - twarz Sosnkowskiego była nieruchoma i blada.

- Jesteś pewien? Pomimo tego... wszystkiego?

- Tak.

- Ale oni plugawią wszystko, w co wierzyłeś?

- Nie musisz mi o tym mówić. Odwal się.

- Zuch! - Sigismund z satysfakcją poklepał Rema po ramieniu. - Zaczynasz trzeźwieć po zatruciu polską szlachetczyzną...

- To nie szlachetczyzna - wyszeptał Sosnkowski - tylko rozwiewająca się wiara w to, że naród, któremu służysz, składa się z ludzi... A nie z niebezpiecznych bydła i świń.

- Już przestań - von Horn ścisnął go za ramię. - Potrzebujemy pieniędzy żeby dojechać do Kielc... Właśnie po to, by zmniejszyć ilość zła w świecie. Nie zapomniałeś o tym?

- Nie. Każ Baruchowi robić reklamę. Powtórzmy numer byłego majora Kuklińskiego.

Gebert - na znak Sigismunda - zadał w trąbkę i zaczął krzyżeć:

- UWAGA, UWAGA! Tylko dzisiaj i w tej minucie! Wyjątkowy! Nożownik z Murstanu!!

- Skąd??? - warknął Rem, ale von Horn uciszył go syknięciem.

- Pokaże mistrzostwo, rzucając ostrymi jak brzytwa nożami w odległą córę starożytnej królowej Saaby! - darł się Baruch, żywo wymachując trąbką. - Egzotyczna piękność z kobiecością w poprzek zostanie okolona deszczem nagiego żelaza!

- Co on bredzi? - jęknął cicho Sosnkowski.

- Nie przeszkadzaj! - von Horn zagryzł zęby. - To prawdziwy artysta! Zaczynam wierzyć, że zostanie kapelanem Wojska Polskiego...

- Bez drgnienia powieką stanie naprzeciw lecących grotów - kontynuował Baruch z natchnioną twarzą. - Jako córka Izraela pozwoli stali dźwięczeć wokół niej bez cienia lęku! Nie drgnie jej nic, co drgnąć by mogło!! Nie ulękła się Cyklonu B, nie ulęknie się i noża!



- Cyklon nie jest „be”, ino cacy! - zawył ktoś z tłumu. - Żydki są „be”!

Tłum zachichotał, a wzrok Sigismunda znów z niepokojem przeleciał po ponurej twarzy Rema, która napięta się jeszcze bardziej. Oczy mu się zwęziły, a w kącikach pojawiła się siatka zmarszczek. Judyta wystąpiła zza pleców Barucha, ustawiła tarczę plecioną z sitowia na leszczynowych drągach i upozowała

się na jej tle. Miała na sobie białą koszulę i znalezione w budzie motocykla kawaleryjskie sztylpy, wpuszczone w zgrabne kozaczki, wycyganione za samogon od rosyjskich sanitariuszek przez Geberta. Jej smagła twarz za wielkimi, ciemnymi oczami na tle szerokich, chłopskich ryjów, raziła obcością.

- Pokaż kuciapę, Żydóweczko! - zawył parobek ze strzechą skołtunionych włosów. - Obaczym, czy masz naprawdę w poprzek! Tłum zarechotał, wydzielając urokliwą woń cebuli.

Sosnkowski drgnął. Sigismund złapał go za ramię, ale Rem strząsnął jego rękę i mruknął:

- Nic mi nie jest. Zaczynajmy...

Wyglądał na chorego. Wysokie zakola były pokryte potem, a jasne oczy miały nieruchomy, martwy wyraz. Tęczówki były małe i ostre, jak czubki szpilek.

Stanął przed dziewczyną, która patrzyła na niego z ufnością i podziwem. Ciężko wyjął noże z pochew szerokiego pasa. Rozłożył je wachlarzem w lewej ręce. Motłoch umilkł. Gdy podpity parobek zaczął coś wykrzykiwać, dwóch chłopów nakładło mu pięściami po karku i kopniakami wyrzuciło z pierwszego rzędu. Wszyscy patrzyli na chorobliwie zaciętą, ponurą twarz Rema, który w milczeniu wziął pierwsze ostrze i cicho powiedział:

- Nie bój się, Judyto.

- Nie boję się. Nie z tobą. Nigdy.

- Żydowinka zadurzona... - wybełkotał z tyłu obity parobczak, ale tym razem nikt się nie roześmiał, za to dało się usłyszeć potężne plaśnięcie i łomot padającego ciała.

Ruchy Sosnkowskiego były tak szybkie, że niemal uciekły obserwatorom. Tylko wbijające się noże wokół dziewczyny udowodniały prawdziwość tego, co się działo. Czerń achnęła, a potem buchnęły oklaski. Gebert szybko zaczął obchodzić widzów z czapką w dłoni. Rem podszedł do Judyty. Przyłgnęła do niego. Poczul zapach jej ciała i nacisk dziewczęcych sutek na piersi. Po raz pierwszy nie odsunął jej szorstko, jak robił to poprzednio, gdy dziewczyna usiłowała szukać jego bliskości. Przytulił ją mocno, jakby chciał osłonić przed wrogim tłumem. Przed smrodem

niemytych ciał i kłującymi spojrzeniami. Ktoś dotknął jego ramienia. Odwrócił się, oswobadzając ręce.

Za nim stał pleczysty, posiwiały na skroniach chłop. Miał czerstwą, spaloną słońcem twarz. W ręku trzymał dwa aluminiowe kubki i glinianą flaszkę. Za nim rozpychało się dwóch, równie jak on szerokich młodzieńców o ponurych twarzach.

- Wybaczcie - powiedział nowoprzybyły. - Ino zech chciał powiedzieć, że tu nie wszyscy tacy. Wojna, panie gównu, co normalnie pod miedzami leży, na drogach rozrzuciło. Nie myślcie, że tu wszyscy z takiego gówna robieni... Synkowie moi Połjana, no tego pijanego, obili... A jam pomyślał, że zaproszę na nocleg. Bo to noc się zbliża, a po nocy jechać, to Złego kusić. No, co wy na to?

- Nie mamy czym za nocleg zapłacić.

Chłop wyraźnie się zachnął.

- Zapraszam - powiedział z naciskiem. - U mnie słowo droższe od piniendzy.

- Dziękujemy - wyciągnął rękę do zapraszającego. - Kapitan Sosnkowski, bardzo mi miło.

- Józwa Kozik - uścisk miał tak mocny, że Rem się skrzywił. - Przed wojnom sikawkowym w straży ochotniczej byłem, to prawie, jak kapitan, nie?

Nad zbitym z desek stołem wisiała na drucianym pałku lampa naftowa, wokół której wirowały kosmate, rozhisteryzowane ćmy. Siedzieli na ściemniałych ze starości krzesłach, ściskając w rękach szklanki z mętym bimbrem. Kozik, z zaczerwienioną od alkoholu twarzą mówił powoli:

- Gdy weszli Niemce i bolszewika wypędzili, ludzie zaczęli wyciągać z domów Żydów, co się enkawudzistom wysługiwali. Pędzili ich ulicą koło cmentarza... Tłukli kłonicami, kłuli widłami... A Niemce ino zdjęcia robili. Jeden Icek, co go Proszecie nazywali, chciał się wykupić, ale go Wikaruk i Złotoszuk siekierami przy drodze zarabali... Potem ich spędzili do stodoły i ogień zażgli...

- Ktoś ich bronił? - spytał von Horn.

- Nie - Kozik pokręcił głową. - To ruskie pacholki byli, to i nikt o to krzyw nie był... Ino potem się zaczęło zbydlęcenie. Zaczęli z domów Żydów wyrzucać, bez różnicy, czy ktoś z nich z donosami do czerwonych ganiał, czy w domu przestraszony siedział... Niemce ich na ciężarówkę ładowali i wywozili. Wielu Żydów się ukryło u sąsiadów. Dziecka oddawali razem z piniondzmi, coby je przed obozem uchronić. Wielu wzięło i dziecka, i piniondze.

- Wszyscy dotrzykali umowy? - Blady, ze splekanymi wargami Rem wyglądał jak mocno pijany, choć jego szklanka była niemal pełna.

- Koźluki dziecko utopili, choć piniondze wzięli - powiedziała Kozik, a Wikaruk żandarom na wdowę Prycuk, że Żydka małego trzyma, doniósł... To i ją, i Żydka z ogniem puścili.

- I? - von Horn nalał wódki do szklanek, zaczynając od poczerwieniałego Barucha.

- Koźlukom ktoś czerwonego kura na dach chałupy puścił, pierwszej okna i drzwi podparwszy - Kozik szorstkimi rękami skręcił papierosa. - A Wikaruka znejdli za wsiom. Ktoś go za bardzo obił, coby się mógł do wsi doczołgać, to i ścierwo w mrozie uświerkło.

- To ktoś silny być musiał - mruknął Rem, patrząc na pleczystych synów Kozika, którzy poruszyli się pod spojrzeniem, ale bez niepokoju. Jak wielkie, pewne siebie psy.

- Silny i porządny - dodał Gebert, podsuwając Kozikowi ogień. - Niech Bóg prowadzi tego człowieka... i dzieci jego, i dzieci jego dzieci.

- Dobrzeście powiedzieli, choć - bez urazy - żeście Żyd. Ale Boga mamy jednego, to on wszystko to kiedyś uczciwie rozpatrzy. Ziarno od plew odsieje - Kozik skrzywił się, co miało pewnie oznaczać uśmiech. - Jeden Bóg i jedna ino ścieżka, coby dobrym być, nawet, jak trza tę dobroć kłonicą bronić.

Nikt nic nie powiedział, tylko von Horn dolał wódki do znów pustych szklanek. Tym razem zaczął od Kozika.

Rano, gdy otrzeźwieli, żona Kozika - chuda milcząca kobieta z

siwym warkoczem aż po pas - dała im zawinięty w płótno, wielki, okrągły bochen chleba. Stali przed chałupą w milczeniu, paląc papierosy. Kozik żuł tytoń i co chwila spluwał brązową śliną pod nogi.

Sosnkowski sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął z niej małe zawiniątko. Rozwinął je i podał Kozikowi ściemniały krzyż Virtuti Militari.

- Dostałem za wojnę z bolszewikami - powiedział. - Nic innego nie mam, a myślę, że wam się on bardziej niż mnie należy.

Chłop wziął do ręki order.

- A nie myślicie, że za to, cośmy zrobili, srom nam i hańba?

- Nie. Dlatego wam go daję. To jedyne, co mam cennego.

Kozik strzyknął śliną i schował medal do kieszeni.

- Przyjmuję - uśmiechnął się szeroko. - Na chwałę Ojczyzny - znów strzyknął śliną i dodał: - Jednak mnie się ten nocleg do czegoś przydał...

Dziewczyna kleiła się do Rema. Unikał jej. W pociągu siadał zawsze naprzeciwko albo odgradzał się od jej tętniącego młodością ciała gadatliwym Baruchem lub palącym papierosa za papierosem von Hornem. Ale gdy wysiadali była zawsze tuż za nim. Blisko. Za blisko.

Nad wypaczonymi drzwiami wisiał nieudolnie malowany szyld przedstawiający kufel piwa, nad którym wił się napis: *HULANKA*. Na żelaznym haku kołysała się zapalona lampa naftowa. Jej uchwyt był przymocowany do łańcucha potężną kłódką. Na drewnianej belce służącej do troczenia koni siedziało kilku pijanych młodzieńców. Byli bladzi z przepicia. Jeden rzygał, opierając się o ścianę. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Za to, gdy ich kroki załomotały o deski przed wejściem, wszystkie twarze zwróciły się ku nim. W przepitych twarzach błyszczało coś złośliwego i złego. Oczy wydawały się kawałkami szkła wbitymi w budyniowate policzki. Gdy idący przodem Gebert wszedł schodkami na zbity z desek podest wiodący do drzwi, jeden z młodzieńców oderwał się od koniowiązu i zastąpił mu drogę.

Baruch zatrzymał się, trzymając niepewnie w ręce wojskowy plecak z uwiązaną u dołu pałatką.

- Ja do knajpy - wymamrotał unikając bezczelnego spojrzenia.

- Zamknięta - oświadczył młodzian - jest i będzie.

Jego koledzy zarzeli junacko. Parobczak chciał dalej mówić, ale z ciemności wyłonił się Sosnkowski. Załomotał wysokimi butami o deski. Podszedł do Geberta i odsunął go na bok. Miał ściągniętą twarz i nieruchome oczy.

- Z drogi, chamie - powiedział z wyraźnym trudem.

Chłopiek wyprostował się próbując dorównać wzrostem Remowi. Potem przebiegł wzrokiem po Baruchu i stojącym koło Judyty von Hornie. Drgnęły mu usta i zszedł na bok.

- Ja ino tak - mruknął, unikając wzroku Rema - dla szpasu.

W milczeniu weszli do zadymionego wnętrza. W środku siedziało kilkunastu chłopów oraz kilku żołnierzy na przepustce. Wszyscy kiwali się nad flaszkami wódki z matowanego szkła. Za szynkwasem stała zakutana w czarną chustę kobiecina. Koło niej rozpierał się ogromny mężczyzna przepasany fartuchem. W rękę trzymał blaszaną beczułkę z napisem CIMPT i rozlewał z niej mętną ciecz do odkorkowanych butelek. Gdy ciecz dochodziła do krawędzi flaszek, ulewał z nich odrobinę, by pozbyć się zdechłych much i mysich odchodów. Reszta sali przyglądała mu się bez zainteresowania.

- Szukamy Hanki Szewczyk - powiedział von Horn, uprzedzając Sosnkowskiego, który ciężki wzrok wbił w zachlapaną wódką podłogę.

- Ło Jezusie - karczmarka przeżegnała się. - Słyszysz, Macieju?

- Słyszę, słyszę - odpowiedział grubas. Odłożył beczułkę, przyłożył palec do nosa i wysmarkał się na podłogę. Usta Rema drgnęły, ale nic nie powiedział, za to von Horn zaczął szybko mówić, mrugając nerwowo oczami.

- My jej znajomi. Siostra nam powiedziała, że ona tu pracuje, to pomyśleliśmy, że przyjdziemy, odwiedzimy, dowiemy się, jak żyje...

- Nie dowieta się - oświadczył karczmarz.

- A czemuż to? - zgrzytliwie spytał Rem.

- A bo nie żyje - oznajmił grubas. Z jakichś jemu tylko znanych powodów w jego głosie słychać było satysfakcję.

- Jak to... nie żyje? - Sigismund zamrugał oczami, jak znerwicowana pensjonarka. - Kiedy zmarła?

- Będzie ze dwa tygodnie nazad.

- Dlaczego? Jak?

- Tego to my nie wiemy, panie - włączyła się do rozmowy chuda kobieta. - Mąż szukał jej, coby do roboty przysła... bo ona u nas będzie z rok już robiła... ale na stryszku jej nie było.

- Na stryszku?

- A bo kazalim my jej tam spać... Mąż przez nią zasnąć nie mógł.

- Jej mąż?

- Mój. Jej mąż piniendzy na dom nie miał, to spał w dawnej boźnicy, co to ją dla drwali dali...

- Aha, czyli mieszkała w stodole na stryszku? I tam jej nie było?

- Szukalim i w końcu psy ją znaleźli. Leżała tu niedaleko, w krzakach... Golutka, panie, kraśna dziewczka, ino... martwa.

- Ktoś ją zabił? Jak?

- A oberznął jej cyce - z wciąż słyszalną satysfakcją oświadczył małżonek karczmarki. - Już nie była taka harda, jak kiedyś - w oczach jego żony błysnęło coś dzikiego, ale nic nie powiedziała.

- Mało kto jest hardy, jak mu cycki obetną i zabiją w krzakach - zaczął mówić Rem, ale szybko przebił go von Horn, mówiąc:

- A ktoś może nam coś więcej powiedzieć? My jej przyjaciele byli...

- Jej chłop, co ją ze Śląska tu do nas przywiedł - mruknęła kobieta, rzucając kose spojrzenie na męża.

- Mieszka na końcu ulicy, za posterunkiem sowieckim. Grycuk go zwał... Damian Grycuk.

Baruch i Sigismund obrócili się i zaczęli iść do drzwi, gdy Rem półgłosem spytał karczmarza:

- A gdyby tak tobie obciąć cycki, tłuściochu?

Chciał mówić dalej, ale jak na komendę von Horn i Gebert zawrócili, złapali go pod ramiona i wywlekli z knajpy. Za nimi

wybiegła Judyta, która nie spuszczała oczu z bladej twarzy Rema.

Na zewnątrz stali ci sami parobczacy, których Sosnkowski spędził z drogi, tyle że do nich dołączyło trzech innych. Ustawili się półkolem, trzymając w rękach pozbierane z drogi otoczaki.

- My tu na was, pany, czekamy - oświadczył strzechowłosy.

- Słuchaj - szepnął ekstatycznie Baruch do Sigismunda - wystarczył jeden Rem, żeby do mnie per „pan” zaczęli mówić! Kocham ten naród!

- Tylko że musiałbyś, jak on, za każdym razem w mordę bić. Gdybyście ich w pysk bili, zamiast żyrować weksle, to kto wie? Może byście do dzisiaj w przyjaźni z nimi byli? - skrzywił się i głośno dodał:

- Na razie trzymam mojego przyjaciela mocno... ale jeśli nie pójdziecie sobie precz, mogę go puścić...

Zacznie krzyczeć: mordować.

*I spuści psy wojny*⁶⁴ - zadeklamował półgłosem Baruch, a Judyta z zaciekawieniem wyjrzała zza jego pleców, przyglądając się twarzom napastników. Ani ona, ani Gebert nie zdradzali objawów zdenerwowania.

- My na was, pany, czekali - z uporem powtórzył parobek, ale jego głos był dziwnie niepewny.

Baruch puścił ramię Sosnkowskiego, który szarpnięciem wyswobodził drugie ramię i podciągnął rękaw ukazując skórzaną pochwę. W świetle lampy jego oczy złociły się jak zwierzęce ślepie.

- Albo położycie kamienie - powiedział chrapliwie - i przeprosicie...

- Abo? - wciąż próbował być zaczepny kudłaty.

- Albo umrzecie - wyjaśnił Rem i wyciągnął nóż.

Młodzieńcy drgnęli. Jeden z nich powoli położył kamień i splunął:

- Ja tam przepraszam - powiedział cicho. - Mie to gównu obchodzi... Ja się charakternikowi za byłe co porzezać nie dam.

Inni poszli za jego przykładem. Na końcu strzechowłosy odłożył kamień, ale stał niezdecydowanie, jakby nie mógł

uwierzyć. Rem podszedł do niego i otwartą dłonią z całej siły uderzył go w twarz. Chłop złapał się za krwawiące ucho.

- Ło, Jezusku! - załkał i skoczył w mrok. Za nim podążyli jego koledzy.

- Lubię patrzeć, jak odtwarzasz ład naturalny - powiedział von Horn - i tylko myślę, że gdyby więcej takich jak ty było, to o rewolucji moglibyśmy tylko pomarzyć.

Wyprowadzili Singera z zalanej wodą celi na korytarz. Stał chwiejnie, przyzwyczajając oczy do światła zwisających na drutach żarówek. Pokryte strupami ręce zwisały bezwładnie wzdłuż tułowia. Twarz była sina, z ciemnymi plamami po uderzeniach. Jedno oko znikło za olbrzymią opuchlizną, drugie nabiegło krwią. Końce palców były sine, pokryte zeschniętą krwią z zerwanych paznokci. Poprowadzili go schodami w górę. Szedł jak pijany, trzymając się kurczowo drucianej poręczy. Już po pierwszym piętrze musieli go wlec, żeby doszedł do trzeciego. Na górze, rzucony na wyłożoną splekanymi kafkami podłogę, skulił się i leżał, aż otrzeźwiła go struga lodowatej wody z wiadra. Taplając się w poczerwieniałej kałuży podpełzł do ściany i oparł się o nią, ciężko oddychając. Otworzył oczy, gdy ktoś go uderzył mocno w twarz. Przed nim stał Wołlejko z triumfującym wyrazem twarzy. W ręku trzymał papierosa i zieloną, tekturową teczkę.

- Mam was już wszystkich - wyszeptał Wołlejko, stukając znacząco w teczkę. - Całe to reakcyjno-judejskie sprzysiężenie. Ale już się nie wyrwiecie... Już mam zeznania.

Singer z wysiłkiem, opierając się plecami o ścianę wstał. Za jego plecami pozostała szeroka plama roztartej juchy. Po jego lewej stronie rozciągał się długi korytarz z dziesiątkami drzwi, po prawej szerokie okno z niskim murkiem, na którym stały upiornie drobnomieszczańskie rośliny doniczkowe.

Wołlejko podszedł do niego i dmuchnął mu w twarz gryzącym dymem.

- Przegrałeś - powiedział z krzywym uśmiechem.

- Tak - kiwnął głową Singer - ale każdą klęskę można

przekształcić w zwycięstwo. *Umysł jest sobie światem... Z piekła niebo, z nieba piekło...*⁶⁵

- Co tam mamrocześ, Żydku?

- Mówię - głos Singera nabrał mocy - jak prorok na pustyni... W pewnym sensie, Wołłejko, jestem ci wdzięczny... Ja - dzięki tobie - odzyskałem Boga... i siebie.

- Co?

- Gów... no - odepchnął się plecami od ściany. Złapał Wołłejkę za kurtkę mundurową. Razem zatoczyli się jak drewniane pajace. Jeden z wartowników uderzył Singera kolbą karabinu. Nie zwrócił na to uwagi. Z rękami zaciśniętymi na piersi Wołłejki, popchnął go w stronę szyby. Uderzyli w drewnianą ramę. Przez chwilę zawiśli nad studnią podwórka, obsypani odłamkami szkła i puchnącymi plamkami krwi. W niepojętej równowadze spoglądali sobie przez moment w twarze odarte z kłamstwa. A potem - w ciszy utkanej z wrzasków strażników - runęli w dół. Ku wilgotnym, kocim łbom podwórka.

ROZDZIAŁ X

Dawna żydowska bożnica była zasiedlona przez robotników leśnych. Chudzi, szerniali mężczyźni leżeli na siennikach, przy których stały pachnące żywicą siekierki i wysokie filcowe buty, z wywieszonymi na cholewach śmierdzącymi onucami. Było ciemno. Większość lokatorów spała, tylko kilku rznąło w karty, pijąc wódkę z pogiętych, blaszanych kubków. Zachowywali się cicho. Widać było, że obecność siekier i mężczyzn umiejących się nimi posługiwać bardzo pomagały zachować szacunek dla drugiego człowieka. Wypyтали grających w karty, którzy przyciszonymi głosami wskazali im barłóg i podeszli do mężczyzny leżącego z rękami pod głową. Miał jasne, skręcone lekko włosy i kanciastą, wzbudzającą zaufanie twarz. Leżał na sienniku w zszarzałych od brudu kalesonach z troczkami i w poźółkłej od potu podkoszulce.

- Pan Grycuk? - spytał von Horn.

Leżący usiadł i odruchowo sięgnął po leżącą u wezglowia siekierę.

- Nie ma potrzeby - uspokoił go Sigismund - chcieliśmy tylko pogadać o Hance.

Grycuk przyjrzał się im w milczeniu, wyłuskał spod poduszki zmiętą paczkę papierosów. Pstryknął benzynową zapalniczką i głęboko zaciągnął się dymem.

- Chcieli my się żenić - powiedział ze wschodnim zaśpiewem. - Kochał ja ją.

- Powie nam pan, jak zmarła? - wydukał von Horn.

- A wy co? Policja?

- Nie. Przyjaciele ze Śląska.

- A po co wam to wiedzieć?

- Bośmy jej dobrze życzyli - wtrącił się Baruch. - I chcielibyśmy sprawiedliwości.

- Zabili jo - powiedział Grycuk i przejechał dłonią po jasnych włosach. - To ja jej nawet wybaczyłem.

- Co żeście jej wybaczyli? - włączył się do rozmowy Rem.

- Tego Żydka, co do niej z kwiatami przyjeżdżał - powiedział z taką prostotą Grycuk, że wszyscy spuścili wzrok. - Wybaczyłem, choć mi chłopcy powiedzieli, że on u niej na noc został tuż przed tym, jak ją zabili...

- A jemu wybaczyliście? - nie wytrzymał Sigismund.

- Czego miałem wybaczać? - wyraźnie zdziwił się Grycuk. - Jak suka nie da, to pies nie weźmie...

- A może to on ją zabił?

- Ale bez co miał jo zabijać? - Grycuk podniósł ku Remowi błękitne, bezmyślnie uczciwe oczy. - Przeca dostał, co chciał, nie? Został u niej na noc, nie?

- To kto ją zabił?

- Dezentery abo Ruskie - z zadziwiającą pewnością powiedział Grycuk. - Trza wybaczyć. Chopy przez pięć lat bez kobity wojowali... Pambuk jeden wie, jak ja by robił, jakbym w takiej potrzebie był.

- A wiecie, kim był ten... znajomy Hanki? - spytał Rem.

- Znaczy, ten Żydek? Nie wiem. Nie znam. Ino wiem, że on w Kielcach w domu na Plantach siedem mieszka, bo mi kolega, co go woził, powiedział. Nawet chciałem go na pogrzeb zaprosić, bo przeca z kwiatami jeździł - znaczy kochał, a nie ino dupczyć chciał... alem pomyślał, że Żyd na katolickim pogrzebie jakoś nie bardzo pasuje... Ja sam nie bardzo wiedziałem, czy iść...

- A czemu to? - Baruch robił wrażenie zagubionego.

- Bom ja grekokatolik - wyjaśnił spokojnie Grycuk. - Tom pomyślał, że dla księdza jeden taki, jak ja wystarczy. Po co jeszcze mu Żydowina na pogrzeb ściągać?

- Więcej takich, jak wy nam trzeba - mruknął Rem. - Żeby było normalnie.

- Znaczy chodzących do cerkwi? - Grycuk zmarszczył się w niedorozumieniu.

- Ludzi - wyjaśnił Sosnkowski.

Zachodzące nad polami słońce nagle wskoczyło w napuchniętą, otuloną pomarańczową obwódką chmurę. Było parno. Skóra lepiała się do przepoconych koszul i nawet krążące komary przyklejały się do niej i ginęły w mokrym plaśnięciu. Ptaki krzyczały w koronach drzew, a nad płynącym wzdłuż drogi strumykiem miotały się chmury muchówek. Z daleka, potężniejąc powoli, nadciągnął grzmot.

Zaraz po nim, uderzył im w twarze podmuch wilgotnego, chłodnego wiatru.

- Złapie nas burza - mruknął Baruch. - I to potężna. Cały horyzont zaciągnęło.

- Tam jest jakiś mur! - von Horn wskazał przed siebie. - Może to wioska?

Przyspieszyli kroku. Wiatr wzbijał z drogi wirujące tumany kurzu. Nieprzyjemnie smagał rozgrzane, spocone ciała. Niebo nad nimi szybko ciemniało, przechodząc w fioletowo-szare, nabrzmiące deszczem sklepienie. Dobiegli do muru i wzdłuż niego pognali w stronę widocznej bramy. Stanęli przy rozbitych wieżach.

- To kirkut! - wydyszał zmachany Gebert. - Przyjdzie moknąć! Przed nimi, pośród łopianów i pokrzyw stały nierówne szeregi ostrych macew. Na niektórych były rzeźby lwa, drzewa, dzbana lub złączonych dłoni. Na innych tylko napisy po hebrajsku. Część z pomników wyobrażała zawody leżących pod nimi ludzi: narzędzia pracy, książki, liczydła. Między ubogimi macewami widniały bogato rzeźbione grobowce, kryte miedzianymi kopułami z zaciekami grynszpanu. Za lasem ostro zakończonych macew widać było niewielką budowlę z drzwiami i bocznymi oknami.

- Schowajmy się tam! - krzyknął Rem. - To kaplica?

- Nie - w twarzy Barucha pojawił się zabobonny lęk - tam myje się ciała przed złożeniem do grobu... W środku jest wanna, mało miejsca...

- Ale to duży kirkut, więc jest pewnie więcej takich łaźni! Gebert wzdrygnął się.

- Tu duchy zmarłych krążą - szepnęła. - Dybuk w ciało wejść

może. Duszą zawładnąć...

- Ja tam skryję się przed deszczem - przekrzykując potężniejącą wichurę oznajmił Rem. - A wy chcecie moknąć? Robi się coraz zimniej...

Za pierwszą mykwą bieliła się jeszcze jedna. Von Horn zaciągnął zbielełego ze strachu Barucha do pierwszej, Sosnkowski z Judytą schronili się w następnej.

Na środku stała kamienna wanna. Jej boki były wyłożone spękanymi kaflami, w szparach których rósł puchaty, zakończony brązowymi czułkami mech. Na podłodze z gresu, tam gdzie wiatr nawiał ziemię, plenił się powój. Przycupnęli przy ścianie, osłonięci wanną od dującego przez zakratowane okna wiatru. Na zewnątrz zapadła zupełna ciemność, przecinana jedynie trzaskającymi jak bicze błyskawicami. Deszcz uderzył w szeregi pokrzyw między macewami, niemal je łamiąc. Po chwili w blaszany dach załomotało coś głucho, jakby po miedzianych płytach galopowały setki małych koników. Za oknami kamienne pomniki zostały pokryte rozpryskującymi się drobinami lodu. Grad wielkości gołębih jaj rozrywał liście łopianu, łamał gałęzie głogu i rozsypywał się po zarastających ścieżkach i ogrodzonych rdzewiejącymi płótkami grobach. Zrobiło się przenikliwie zimno. Wilgotna od potu skóra pokrywała się gęsią skórką. Sosnkowski rozścielił swój wojłok. Położyli się na nim i nakryli kocem Judyty. Każde błysnięcie za oknem rozświetlało przez moment wnętrze, napełniając je roztańczonymi cieniami. Judyta złapała go pod kocem za rękę. Jej dłoń drżała i była leciutko wilgotna. Zesztywniał, ale nie wyswobodził dłoni. Jej ciepło przenikało mokrą koszulę. Rozgrzewało.

Na zewnątrz łomot gradu przeszedł w monotony poszum deszczu. Dziewczyna leżała obok. Jej dłoń, mimo oddalającej się burzy drżała coraz mocniej. Był spięty. Aż do bólu. Chciał wyswobodzić rękę, ale zamiast tego, podniósł ją do twarzy. Wciągnął w nozdrza zapach młodego potu. Wnętrza ud zaczęły mu drzeć i wbrew sobie kurczył palce stóp. Judyta obróciła się ku niemu. Przyłgnęła do niego całym prężnym, zazdrośnie młodym ciałem. Włosy na karku i plecach Rema podniosły się, a piersi

zaczęły boleć od tarcia o mokre płótno koszuli. Wbrew sobie przysunął twarz do twarzy dziewczyny, wdychając jej pachnący ziołami oddech. Od napięcia zaczął go boleć tył ud i mięśnie wzdłuż kręgosłupa. Wtulił nos we wgłębienie nad obojczykiem, smakując bukiet zapachów. Powoli przekręcił głowę, przytykając ucho do piersi Judyty. Słyszał jej serce. Szybkie. Nerwowe. Jak tętno złapanego w dłoń ptaka. Poczuł jej dłoń na włosach. A potem biodra lgnące do jego bioder. Ciasno, z nietłumionym pragnieniem. Z pełną akceptacją. Pierwszy pocałunek był jak nieśmiała próba. Muśnięcie spierzchniętych ust, gotowych do ucieczki. A potem niemal zderzyli się zębami. Delikatne wargi i drobny język. Zmieszanie ślin i oddechów. Bez cienia wstydu wyłuskała się ze spodni i bluzy. Błysk pioruna wyciął z mroku jej chude ciało. Maleńkie piersi z napiętymi sutkami. Wystające kości miednicy. Brzuch niepostrzeżenie przechodzący w porośnięte krótkim włosiem łono. Wygładzone cieniem gładkie krągłości bioder. Szczupłe, długie uda. Nieco za duże dłonie z błyszczącymi, obgryzionymi paznokciami. I oczy. Wielkie, rozświetlone wewnętrzną burzą. Migdałowate. Ocienione długimi, niepokojąco gęstymi rzęsami. Maleńki, zadarty leciutko nos. A potem błyskawica roztopiła się w mroku. Ciemność nasyciła się zapachem cynamonu i nieskrywanego pragnienia.

Przyjęła go całą sobą. Otwarta. Gotowa na wszystko. Akceptująca. Miękka i mokra. Jak pucharek wypełniony mlecznym likierem. Wyszła mu naprzeciw. Odnalazł ją. Głęboko w niej. W rozbłysku wielkich sarnich oczu. W spazmie szczupłych, dziewczęcych ud. W sutkach kolących jego zarośniętą pierś.

- Kocham cię - powiedział cicho. - Jesteś dla mnie wszystkim. Milczała chwilę. A potem ledwie słyszalnie tchnęła mu w ucho:

- Będiesz ze mną? Zawsze?

- Tak.

Leżała w ciszy przez moment, uspakajając rozdygotane rozkoszą mięśnie, a potem dodała:

- Przy tobie już nigdy nie będę się bać, prawda?

- Nigdy - potwierdził żarliwie. - Jestem gotów zabić i umrzeć

dla ciebie, Judyto. Jesteś dla mnie wszystkim... Przyszłaś do mnie, gdy już sądziłem, że wszystko za mną, że przegrałem życie... Ale pojawiłaś się, a ja jestem gotów dla ciebie żyć i umrzeć.

- Wiem - wyszeptała sennie, tuląc się do niego. - Widziałam, jak zabijasz i dzięki temu już się nie boję... Teraz chcę, żebyś żył dla mnie. Obiecujesz?

- Przysięgam na Boga - zapewnił żarliwie.

- Och, wy Polacy - szepnęła zasypiając. - Po co do rzeczy oczywistych zawsze mieszacie Boga?



Von Horn rozpalając rano ognisko, był ponury, a Gebert kaszłał.

- Ten kretyń spędził całą noc na zewnątrz - wyjaśnił Sigismund.

- Bo rzekomo nie chciał plugawić świętego miejsca. W dodatku głądził coś o duchach zmarłych... No i przeziębził się.

Judyta, nienaturalnie odprężona i spokojna, podeszła do Barucha i przyłożyła mu dłoń do czoła.

- Jest rozpalony - oświadczyła. - Potrzebny jest lekarz...

- Tu wszystkim potrzebny jest lekarz - mruknął Gebert. - Rano von Horn podarł i wyrzucił zdjęcie Rema, które wcześniej nosił w portfelu. Moje przeziębienie to przy tym pestka...

Zapadła cisza. Dopiero Judyta złamała ją, mówiąc i nerwowo spoglądając na niewyspanego, pobladłego Sigismunda:

- Jedźmy do Kielc. Tam zaprowadzimy go do lekarza... A Rem zrobi, co mu zlecono - zająknęła się, ale potem dzielnie dokończyła:

- Żebyśmy wszyscy mogli żyć długo i szczęśliwie.

- I ja tam - dokończył Baruch, starając się zapanować nad szczekaniem zębów - miód i wino pić będą...

Szli przez niemal trzy godziny. Gebert ledwie powłóczył nogami, więc często zatrzymywali się, by odpoczął. Sigismund zwilżał mu usta, a potem pomagał mu iść, przytrzymując go, gdy się potykał. W końcu zatrzymała się przy nich furmanka ze starym chłopem wiozącym bańki z mlekiem do stacji. Obrzucił ich szybkim spojrzeniem, wyjął fajkę z ust i mruknął:

- Siednijcie se... Ino co by Żydóweczka z dała od baniaków, co by mi mleka nie skwasiła...

Nawet Rem był zbyt zmęczony, by zareagować, więc siedli spokojnie z tyłu furmanki i jechali otępiali, kiwając się ospale, a chłop palił, strzykał śliną i zgodnie z najlepszymi tradycjami ziemi kieleckiej, milczał aż do stacji. Gdy wysiedli i von Horn chciał mu zapłacić, staruch splunął zielonkawą śliną i mruknął:

- Krześcijańska to rzecz.

A potem sięgnął pod koziół i wyciągnął glinianą karafę. Dał ją Remowi. Charknął i mruknął:

- Żydek zachorzał... się mi widzi. Dajcie mu to, to znów zdrów będzie.

- Co to jest? - zainteresował się śląsko rozsądny Sigismund.

- Kocie sadło... spirt... żółtka z podwójnych jaj, co je dwóch kogutków naraz dutkało... czosnek - wymamrotał chłop. - Musi

pomóc.

- Żydowi ten cud mniemany dajecie? - zaczepnie rzucił Sosnkowski.

- Żyd nie Żyd - flegmatycznie odparł staruch - ale zachorzał... a nie pomóc choremu - grzech. Dawajcie mu, aby często a dużo, to pomoże.

Zaciął konia, który bez emocji poczłapał dalej, równie zrezygnowany, jak jego właściciel.

Napoił Barucha chłopską miksturą. Najpierw porzygał się, ale potem zapadł w spokojny sen siedząc na ławce, która jakimś cudem ostała się na peronie.

Przez stację jechały głównie sowieckie eszelony zaklejone plakatami z towarzyszem Stalinem pozdrawiającym rozentuzjasmowane tłumy, pod którymi wił się napis:

*ЛЮВИМЫЙ СТАЛИН - СЧАСТЬЕ НАРОДНОЕ!*⁶⁶ Były to długie składy ze zrabowanym na zachodzie mieniem, żelazne platformy z obciążniętymi plandekami czołgami i działami, otwarte wagony bydłce, w których tłoczyli się pijani i weseli żołnierze z zaciętymi twarzami pod niepoważnymi, pierożkowatymi furażerkami, wiecznie pijani i grający na harmoszkach. Kupili od nich kilka puszek z naklejkami służby aprowizacyjnej Wehrmachtu i wielki jak koło od wozu bochen chleba. Rosjanie, choć pijani, nie byli agresywni, jedynie widok Judyty budził ich z alkoholowego odrętwienia i wbijał w wyraźny niepokój, więc Rem kazał jej siedzieć zakutaną w chuście koło półprzytomnego Barucha. Pod wieczór udało im się wsiąść do pociągu podmiejskiego, w którym - mimo klatek z gdaczącymi kurami i pudełek z żółtymi, puchatymi kaczuszkami - znaleźli miejsce dla Geberta i Judyty w przedziale. Na ławkach ze zbitych ciasno deseczek siedziało dwóch robotników ze spękanyimi, brudnymi dłońmi, mężczyzna w zielonym kapeluszu, sztuczkowych spodniach i okularach z popękanyimi szklami, starsza kobieta w żałobie i ksiądz, koło którego z westchnieniem ulgi ulokował się von Horn. Siedzący naprzeciwko Gebert mruczał coś w gorączkowym śnie, a Judyta nie spuszczała oczu ze stojącego w

korytarzu Rema. Na ścianie obok okna wisiał plakat, na którym tłusty mężczyzna w okularach i meloniku siedział na pełnym na kolanach robotniku, paląc przy tym z niesmakiem papierosa w długiej lufce. Pod nimi widniał czerwony napis:

NIE CHCESZ POWROTU KAPITALISTUW - GŁOSUJ TRZY RAZY tak.

Niżej, ktoś dopisał ołówkiem chemicznym:

Co to za skrzyńka, co to za pniak - wrzucasz NIE wychodzi TAK. Obok, innym charakterem pisma napisano:

Co to za skrzyńeczka, co to za szkatułka - wrzucasz Mikołajczyk wychodzi Gomułka. Ten napis był przekreślony czerwoną kredką z dopiskiem: *reakcyjne huje.*

Pociąg co kilka minut zatrzymywał się, przepuszczając składy wojskowe, więc znudzeni robotnicy wyjęli flaszkę i dwa kubki. Najpierw pili w milczeniu i do siebie, jednak po jakimś czasie alkohol obudził w nich słowiańską duszę, więc puścili kubek wokół przedziału, mówiąc co by wszyscy pili, bo mają więcej. Gdy kubek doszedł do Barucha, ten pokręcił głową. Młody robotnik szybko cofnął rękę ale starszy robotnik spiorunował go wzrokiem i mruknął:

- Człowiekowi nie dać się napić?? - zwrócił się do Geberta z ojcowskim wyrazem twarzy: - Pij! Komu mówię?

- Chory jestem... i nie swojak.

- To cię wyleczy. Wódka wszystko leczy. No! A poza tym, ja widzę, żeś swój!

Baruch wypił, a potem wstydliwie wyciągnął z kieszeni marynarki obłą flaszkę.

- To w rewanżu - wydukał.

- No, teraz to można jechać - ucieszył się starszy robotnik, a ksiądz z uciechy zapomniał przeżegnać kubek.

Gdy pili, jedynie od czasu do czasu wymieniając światłe uwagi na temat pogody i upadku obyczajów, nagle w korytarzu pojawił się harcerz w czapce zapiętej pod brodą na pasek. Za nim szedł ponury mężczyzna w prochowcu z zaciekami od potu pod pachami oraz strażnik kolejowy o zapijaczonej twarzy. Posuwali się z trudem zatłoczonym korytarzem, wpadając na tłumoki

przekupek i worki zwolnionych do cywila żołnierzy. Przystawali przy przeszklonych drzwiach przedziałów. Chłopak na przedzie lustrował wnętrze, po czym wszyscy trzej ruszali dalej. Przy przedziale z Baruchem i Judytą, chłopak poprawił pasek pod brodą, przyjrzał się sinawemu nosowi Geberta i nosowo zażądał:

- Dokumenty, obywatelu!

Stary robotnik odłożył flaszkę na ziemię i wciąż z patriarchalnym wyrazem twarzy spojrzął na harcerza.

- Coś ci się, synek, pojebało - mruknął. - W milicjanta się bawisz?

- Chłopak ma rację - włączył się zza pleców gówniarza mężczyzna w przepoconym prochowcu. - Mamy prawo wiedzieć, z kim jedziemy.

- Wy nie jedziecie, ino my - robotnik otarł wąsy i znacząco spojrzął na swojego towarzysza, który poklepał po pustej butelce.

- Nie wy tu władza - wtrącił półpijany kolejarz.

- Znaczy się, wyście tu władza - spytał Rem - i chcecie wiedzieć, kto akurat w tym przedziale jedzie? A co szpiegów szukacie?

- Nie szpiegów, ino Żydów - z młodzieńczym ożywieniem zajęczał harcerz.

Sosnkowski zrobił krok w kierunku kontrolerów, ale zatrzymał go von Horn, który zerwał się z siedzenia.

- Pany się nie wtrącają - mruknął robot i także wstał, odsuwając sękatą ręką Sigismunda.

- Jakże to tak? - mruknął. - Co wy mi tu opowiadacie? Na tośmy sześć lat wojnę prowadzili? Myślicie, kurwa, że ja nie wiem, z kim wódkę piję? Won!

Rem wyrwał się z uścisku Sigismunda, stanął tuż przy mężczyźnie w prochowcu i przybliżył twarz na centymetry do jego twarzy.

- Słyszałeś, gnido? - wysyczał. - Nie będzie legitymowania, sprawdzania kennkart i zagładania w spodnie. Won!

Mętne oczy kontrolera czystości rasowej zmętniały jeszcze bardziej. Gasły pod spojrzeniem jasnych, nieruchomych oczu Sosnkowskiego. Pod nosem i na linii włosów pojawiły się plamy potu.

Cofnął się ostrożnie, nie spuszczając wzroku z Rema. Za nim podążył harcerz. Strażnik chwilę stał, by zaznaczyć powagę urzędu, a potem macając niepewnie ręką zniknął w milczącym tłumie chłopów.

- Źle zrobiłem - mruknął markotnie Rem. - Trzeba było im choćby kopa w dupę dać, żeby zapamiętali tę lekcję.

- Ehm - odchrząknął z wyraźną aprobatą siwy robotnik - wy, panie, kim z zawodu jesteście?

- Zawodowym oficerem - mruknął przez zaciśnięte zęby Sosnkowski. - A co?

- Nic. Ino widzę, coście się od narodu nie oderwali - podał Remowi kubek z wódką. - Niech żyje Wojsko Polskie! Mnie też się widzi, że kop w dupę mógł ich na dobrą drogę sprowadzić... No, ale Bóg z nimi, nie bendem ich teraz, człowiek leciwy, po peronach gonić, bo z samej złości za to bieganie, na kopie bym nie skończył... A wtedy to wstyd, panie, lać takie gnidy, jakby to ludziami było...

Na dworcu kieleckim zaczepił ich jakiś obywatel w brudnym podkoszulku, który plując sobie nonszalancko pod nogi zaproponował im dwunastoletnią siostrę - dziewczę. Sosnkowski, który od dawna miał ponury i zacięty nastrój, przybrał zaczepny wyraz twarzy i zrobił krok w stronę alfonsa, ale gdy Sigidmund pokazał mu stojącą pod zadaszeniem dwunastoletnią dziewczę, która wyglądała - przy pewnej wyrozumiałości - na czterdzieści lat, zgasił wzrok i pozwolił von Hornowi posłać kuplera do wszystkich diabłów. Robiło się późno, więc podeszli do budki zawiadowcy stacji, który wskazał im dom, gdzie kwaterowano przyjeżdżających pociągami ze wschodu repatriantów. Spędzili tam noc, pijąc wódkę kupioną od zaopatrzeniowca Wojska Polskiego, który usłyszawszy kaszel Barucha - z bliżej nieznanych powodów - dał im fiolkę aspiryn jako bonus. Judyta tuliła się cały czas do Rema, jakby bała się, że za chwilę zniknie. Pijany von Horn, przyglądając się jej, miał podkrążone oczy i drgał mu mięsień w policzku. Baruch zasnął oparty o brudną ścianę.

Kaszlał przez sen i choć - był spocony - gdy się budził, mówił, że mu zimno.

Rem obudził się nad ranem. Judyta leżała obok z twarzą wtuloną w jego pachę i z ręką przerzuconą przez pierś. Oddychała równomiernie, ale długie rzęsy drgały, jakby we śnie przeżywała coś strasznego. Odgarnął kosmyk ciemnych włosów ze spoconego czoła dziewczyny. Lekko, by jej nie zbudzić pocałował wilgotną, delikatną powiekę.

Ostrożnie usiadł i łapczywie wpatrzył się w twarz Judyty. Otworzyła oczy i bez ruchu wpatrywała się w jego ściągniętą twarz. Jej wielkie oczy były niemal czarne w słabym świetle poranka.

- Kocham cię - szepnął. - Jak nigdy nikogo. Jesteś moją pierwszą miłością, wiesz?

- Wiem - mruknęła, jakby odpowiadała na pytanie namolnego chłopczyka. Nie zostawisz mnie nigdy, prawda? Będziesz mnie bronić, tak?

- Tak.

- To dobrze - zamknęła oczy i zasnęła jak dziecko.

Było gorąco. Rem z von Hornem siedzieli w cieniu zakurzonego drzewa, na którym wisiały karteczki z wiadomościami dla tych, którzy wracali z sowieckiej granicy. Sosnkowski leniwymi ruchami ostrzył nóż na skórzanym pasie, a Sigismund nerwowo palił papierosa za papierosem. Za nimi leniwie toczyła się płytka, kamienista rzeczka. Po drugiej stronie widać było dziwny, ścięty jak dziób statku budynek z płaskim dachem. Od frontu i po lewej stronie wystawały z niego ażurowe, żelazne balkony. Prawa ściana błyszczała jedynie oknami i czerwoną tabliczką z napisem: *KOMITET ŻYDOWSKI*. Między nim a rzeką rozciągał się spory plac ograniczony z jednej strony niebrukowaną ulicą, z drugiej zniszczonym budynkiem szkoły. Na boisku szkolnym leżały stosy materiałów budowlanych wśród których kręcili się leniwie jacyś mężczyźni. Z Komitetu Żydowskiego wyłoniła się Judyta włokąca osłabionego Barucha. Przebrnęli przez plac i zdyszani usiedli koło Rema i von Horna.

- Stallman mieszka na drugim piętrze - wydyszała Judyta. - Razem z przewodniczącym Komitetu, niejakim Kahane... mówią, że Kahane wyprowadził się z jego pokoju już po pierwszej nocy, ale nie chciał powiedzieć dlaczego.

- Numer pokoju? - spytał Rem, wsuwając nóż do pochwy na przedramieniu i zasłaniając ją rękawem koszuli.

- Nie wiedzą. Na końcu korytarza, po lewej stronie schodów. Ponoć łatwo poznać, bo to jedyne drzwi z tabliczką. Na niej ma być napis: *ARZT*.

- Dobrze - Sosnkowski wstał i pokręcił głową, rozluźniając spięte mięśnie. - Zaczekajcie tu na mnie. Załatwię... wszystko, wrócę do was... I zaczniemy nowe życie. Nikt już nie będzie nas ścigać, ani do niczego zmuszać.

Trawiony gorączką Gebert wybełkotał niewyraźnie:

- ...będziemy chodzić po swych własnych schodach... - a potem dodał nieprzytomnie błyskając oczami: - Jak już zostanę kapelanem Wojska Polskiego, to dam wam ślub...

- Przecież chcesz zostać działaczem PPR? - złośliwie spytał Sigismund. - Nie mógłbyś się zdecydować? Poza tym, jak chcesz dać Judycie ślub kościelny, skoro ona starowiercem jest? A ty sam jesteś synem rabina?? Przyznasz, że to dość niezwykłe?

- Wszystko jest niezwykłe - wybełkotał rozpalony Baruch. - A ja mogę im dać ślub i teraz, jako syn rabego, i potem, jako kapelan połowy... Mnie tam jedno.

- Wierzę - zaczął mówić von Horn, ale przerwała mu Judyta.

- Daj nam ślub - z nieoczekiwaną gwałtownością zażądała. - Naprawdę możesz? Taki prawdziwy? Jak w synagodze??

- On tylko żart... - zaczął mówić von Horn, ale przyjrząwszy się wyrazowi twarzy dziewczyny, zachnął się i dodał: - Na pewno może. Jest synem znanego rabina.

- Ja proszę - Judyta złapała za rękaw Rema. - Zanim pójdziesz... Chcę, bez względu na to, co się stanie... Boję się, że nie zdążę, że coś się stanie... że to ostatnia szansa... Wiem, że jestem głupia, ale... Proszę!

Sosnkowski najpierw spojrzeniem spytał Sigismunda, a potem z nieruchomą twarzą zwrócił się do Barucha i szepnął:

- Daj jej to...
- Ale nie jesteś Żydem...
- No to co? Nie jesteś chyba rasistą??

Gebert z gorączkowymi wypiekami na twarzy wyjął z kieszeni piersiówkę i blaszany kubek. Nalał do niego wódki i zaintonował fałszowanym na polską modłę hebrajskim:

- *Harei At Mekudeshet Li B'tabaat Zo Kedat Moshe V'Yisrael*⁶⁷...Reszty nie pamiętam - powiedział z żalem - ale napijcie się wina z tego kielicha i będziecie mężem i żoną.

Judyta zrobiła potężny łyk z aluminiowego kubka i łapiąc oddech po bimbrze, wystękała:

- Jestem twoją żoną. Wróć do mnie.
- Wrócę - powiedział poważnie. - Na zawsze.



Ruszył powoli przez pusty ciągle o tej porze plac. Po chwili usłyszał za sobą kroki.

- Jakoś tak jest lepiej - mruknął von Horn, zrównując z nim krok. - Uczciwiej, żebyś nie szedł sam.

- Uczciwiej podzielić krew na dwóch?

- Można to tak ująć - odburknął Sigismund.

W milczeniu podeszli do budynku. Pchnęli ciężkie, zdobione

drzwi. Weszli po drewnianych schodach, mijając ponurego mężczyznę na piętrze, wpatrującego się w zadbane krzaczek araukarii, stojący w glinianej donicy na zapastowanej podłodze. Gdy go mijali podniósł wyniszczoną twarz i szepnął:

- Taki ład. Czemu nie mam go w sobie?

Sigismund został na półpiętrze, a Rem ruszył dalej widząc na końcu korytarza jarzącą się od słońca szybę. Zastukał do drzwi z mosiężną tabliczką pozostałą po niemieckim lekarzu. Ktoś w środku odsunął zasuwkę. Gdy drzwi uchylały się, Sosnkowski z całej siły kopnął w nie. Usłyszał krzyk i łomot padającego ciała.

Wpadł do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Na wyłożonej kaflami podłodze leżał szczupły, ciemnowłosy mężczyzna. Spomiędzy przyciśniętych do twarzy dłoni, przeciekała krew. Rem wyszarpnął nóż z pochwy i doskoczył do leżącego, który zwinnie, jak złapane w pułapkę zwierzę, przetoczył się po podłodze i z wybicia rękami stanął na nogi. Sięgnął w tył i zza paska spodni wyjął cienki, wywecowany nóż. Pochylił się i zaczął krążyć wokół Rema, kryjąc ostrze za ruszającą się zwodniczo dłonią. Spod ciemnych włosów ciekł mu pot, zatrzymując się na zrosniętych, krzaczastych brwiach. Sosnkowski także się zgiął w pół i trzymając nóż blisko ciała, obracał się w miejscu jak wieżyczka czołgu, nie spuszczać oczu ze Stallmana.

- Kto cię nasłał? - wysyczał Stallman. - Rosjanie? Jakiś ambitny skurwysyn z MBP? Powiedz, zanim cię zabiję.

- Widzę w tym błąd logiczny - powiedział Rem. - Jakoś nie dostrzegam związku między mówieniem a zabijaniem... Mało tego, ja nie żądam od ciebie zwierzeń przed twoją śmiercią. Wiem wystarczająco dużo o tobie.

- Typowa dla słowiańskiej głupoty arogancja - zaczął mówić Stallman, ale nie skończył. Skoczył w połowie zdania. Jak napięta sprężyna. Jak atakujące zwierzę. Wyrzucił dłoń z nożem w przód ruchem tak szybkim, że niemal niedostrzegalnym dla oka. Rem skrzył ciało, przepuszczając stal i drobnym, niemal pieszczotliwym ruchem ciął po przedramieniu Stallmana.

Aaron przeleciał obok niego. Obrócił się gwałtownie, wpatrując się w zakrwawiony nadgarstek.

Przejechał językiem po ranie. Jego ciemne oczy błysnęły spod opadających włosów. Krew z prawej dłoni ściekała na podłogę, rozbryzgując się na kremowych kaflach. Powoli, jak w koszmarnym śnie, pochylił się, wpatrując się w plamy własnej juchy. Sosnkowski zrobił wypad na lewą nogę. Wyrzucił dłoń z nożem, celując w tętnicę szyjną. Trafił w próżnię. Stallman podparł się lewą dłonią i ciął go o milimetry mijając tętnicę udową. Nogi pod Remem ugięły się. Opadł na lewe kolano instynktownie odbijając lewą dłonią pchnięcie Stallmana. Szczepili się ze sobą i upadli, łapiąc się za uzbrojone ręce. Uderzył czołem w twarz przeciwnika, czując jak krew Aarona rozbryzguje się na jego twarzy i wtedy Stallman wygiął ciało i kopnął Rema kolanem w krocze. Sosnkowski zaskowyczał. Wszystko w nim pękło, jak rwąca się guma. Zmiękł jak rzucona na podłogę szmata. Stallman uderzył nadgarstkiem Rema o podłogę, wytrącając mu z dłoni nóż. Przyłożył mu ostrze do pulsującej tętnicy.

Rem zamknął oczy, oczekując na cios.

Nic się nie stało. Ucisk ostrza na boku szyi zelżał.

Stallman wstał z niego. Sosnkowski spojrzał na niego z niedowierzaniem. Aaron opadł na kolana i odrzucił nóż od siebie. Rem wstał z trudem sięgając po swoją broń.

Stallman, nie patrząc na Sosnkowskiego, wyszeptał:

- Uwolnij mnie.

Zmienił się wyraz jego twarzy. Znikły ostre zmarszczki wokół ust i wygięcie lewej brwi. Pojawiło się zagubienie i bezradna rozpacz. Rem szybkim ruchem przyłożył wywecowane ostrze do szyi Żyda.

- No, tnij! - zawarczał Stallman. - Zrób to... Dla mnie i dla wszystkich dookoła.

- Weź nóż - wychrypiał Sosnkowski.

- Nie - pokręcił głową Aaron. - To ma być egzekucja, a nie kretyński pojedynek dobra i zła.

- Ale... - zaczął mówić Sosnkowski i przerwał. Zza okien dobiegł go krzyk setek gardeł. Spojrzał przez brudne szyby. Na placu

roilo się od ludzi. Stali wokół domu w jakimś dziwnie owadzim, obłąkanie geometrycznym szyku.

Załomotały kolby w drzwi.

- Otwierać, do kurwy nędzy! - zawył ktoś.

Stallman wstał z klęczek. Jego smagła twarz była blada. Pod oczami pojawiły się cienie.

- Nie będziesz musiał kalać się zatrutą krwią - wyszeptał. - Kto inny rozleje ją za ciebie.

Podniósł nóż i podszedł do drzwi. Przekręcił zasuwkę. Gdy drzwi się otworzyły, wzniosł ręce, jakby oczekiwał na coś, a potem upadł w przód, wyrzucając przed siebie rękę z nożem. Stęknęły strzały. Stallman obrócił się powoli, wpatrując się w rozszerzającą się na jego piersi plamę krwi.

Upadł twarzą w przód. Spod jego skurczonego ciała rozlała się rubinowa kałuża.

W tym samym momencie gdzieś z głębi korytarza doleciał krzyk von Horna. Rem wzdrygnął się i zbladł. Przeskoczył nad ciałem Stallmana. Barkiem wbił się w stłoczony tłum cywili, na czele których stał milicjant wymieniający magazynek swojej Tetetki. Siłą inercji przepchnął ich do drewnianej bariery schodów, która pękła.

Ciała runęły w dół, na stłoczonych na półpiętrze ludzi. Sosnkowski rozdając ciosy przebił się przez zasłaniających się pepeszami milicjantów. Szerokimi cięciami noża wyswobodził się od trzymających go rąk. Ktoś krzyczał. Z tyłu odpowiadały mu zwierzęce, chrapliwe głosy.

Von Horn był wtłoczony w pękniętą, drewnianą barierę na półpiętrze. Pod nim kłębił się tłum. Ludzie wyciągali ręce do sikającej z rozciętej tętnicy Sigismunda krwi. Ktoś zawodził obłąkanie. Z pokojów w całym domu słyhać było wrzask kobiet i przekleństwa. W powietrzu unosiła się chmura pierza z rozdartej poduszki, trzymanej przez nagą kobietę, leżącą u stóp Sigismunda. Przez płótno przesączały się brunatne plamy.

Rem przytulił twarz do bladego policzka von Horna, widząc, jak rozcięta tętnica przestaje wyrzucać krew, a oczy Sigismunda zasnuwają się mgłą.

- Ży... dy... mor... der... cy... - dobiegło go skandowanie tłumu na zewnątrz. Miarowe i niezatrzymane, jak bicie serca.

Puścił von Horna. Czyjeś ręce go trzymały. Ciął na oślep, uwalniając się od skuwających go dłoni. Wystrzelił w przód, wywracając kogoś. Deptał po czyichś twarzach. Ktoś przenikliwie wył. Jakaś kobieta jazgotliwie prosiła o litość. Chciał krzyczeć, ale w zasuszonych ustach język był jak wiór. Przebił się przez tłum, zostawiając za sobą tryskającą krew i przekleństwa. Przeszedł przez ludzkie twarze, jak ostrze noża przez masło, czując na twarzy cudzą krew. Wierzgając i tnąc dopadł drabinki wiodącej na poddasze. Wyrwał się z trzymających go rąk. Dźwignął się w górę, zostawiając za sobą pulsującą krwią ranę i skłębioną czerń. Ktoś skowyczał. Odpowiadały mu obłąkane głosy stada. Łamiąc czyjeś palce, wyswobodził się z obchwyty. Wciągnął się po żelaznej drabinie. Kopiając wywindował się na dach i przetoczył po rozgrzanej od słońca papie. Leżał przez chwilę dysząc. Skandowanie tłumu nakładało się na bicie jego serca.

- Ży... dy... morder... cy... Ży... dy... za... bój... cy...

Przyklęknął. Nikt go nie ścigał.

Włożył nóż do pochwy na przedramieniu. Zaśpiew tłumu ogłuszał. Otumaniał.

- Ży... dy... mor... der... cy...

Ślizgając się po dachówkach, dobiegł do krawędzi dachu. W dole, na placu kłębił się tłum. Setki małych, bladych twarzy, zatopionych w rozwibrowanej masie. Połączonych nienawiścią. Zrównanych w zezwierzęceniu.

- Ży... dy... krwio... pij... cy...

Przylgnął do krawędzi dachu. Widział, jak z pierwszego i drugiego piętra wyrzucano ludzi prosto w ręce pulsującego miarowo jak umierające serce motłochu. Kobiety, dzieci, starcy. Rozszarpywani. Umierający w samotności. Wśród obcych. Swoich. W nienawiści. Pełzł obmurowaniem dachu aż do blaszanej rynny.

- Ży... dy... zabój... cy...

Kalecząc dłonie zsunął się po rynnie, czując smak własnej krwi w ustach..

- Ży... dy... wam... pi... ry...

Przekoziółkował w upadku. Z nożem w ręku pognał w stronę drzewa, pod którym zostawił Judytę z chorym Baruchem. Bił pięściami. Przecinał się przez zbity w obłędzie tłum. W nozdrzach czuł zapach krwi i spalenizny.

- Ży... dy... mor... der... cy...

Ktoś mu zastąpił drogę. Chciał dokumentów. Zniknął uderzony pięścią.

- Ży... dy... ka... na... lie...

Ktoś kniaził mu z boku. Nóż znów był oblepiony krwią.

- Ży... dy... by... dla... ki...

Przebił się przez tłum. Wypadł z tyłu owadziego kręgu. Już bezpieczny za plecami ludzi skupionych na białym domu, który górował nad tłumem jak ostroga wbijająca się w spienione, mroczne morze. Pognał w stronę rzeczki, gdzie widział pojedyncze, poruszające się jak w dziwnym tańcu sylwetki.

Baruch leżał na plecach. Widać było, że się nie bronił. Bezbronny do końca. Czaszka nad brwiami była zgruchotana. Miazga krwi i odłamków kości. Nie próbował nawet wykpić się i oszukać. Gorączka była zbyt silna. Jego lub napastników.

Za jego ciałem, leżała Judyta. Nad nią wciąż się znęcali. Wszyscy podobni do siebie, grubi i tęgokarcy. Bili kijami nie po to by zabić. Dziewczyna już nie broniła się. Nieruchoma i obojętna. Uderzali, by zbeczcześcić jej piękno. Zbrukać idealne, gładkie ciało. Doskonałe, lecz dla nich nieosiągalne. By splugawić doskonałość dziewczęcych piersi. Rozerwać biel krocza i nietykalność twarzy. Bili, by zemścić się za własny bród i brzydotę.

Niepotrzebnie.

Jej twarz była pokryta skrzepem krwi. Nieruchoma. Uderzenia były zbędne.

Wpadł między nich jak wilk w stado owiec. Nie chronił się. Ciął szeroko, ciągnąc za ostrzem rozbryzgi juchy. Rozrywał tętnice, otwierał odęte brzuchy, ujawniając prawdę o człowieku.

Zlegli wokół. Nieruchomi. Jeden klęczał i bulgocząc pochlastaną krtanią, usiłował przeładować wyjęty za późno

pistolet. Rem bez wysiłku wyszarpnął mu go z ręki i włożył za pas.

Wyrwani z życia, gdy sądzili, że są bezkarni. Nietykalni.

Miał ręce aż po łokcie we krwi.

Ukląkł przy Judycie. Leżała na plecach. Z dziwnym uśmiechem na skatowanej twarzy elfa.

Wziął ją na ręce. Lekką. Bajkową.

Słońce odbijało się od wody w rzece. Roztopiało się w łzach. Oślepiało.

Szedł powoli w stronę światła, zagradzanego szpalerem żołnierzy.

- Stać!

Położył dziewczynę w kurzu ulicy. Wyjął pistolet zza pasa.

- Rzuć broń! Kurwa!!

Przeładował pistolet, patrząc na zmartwiałe twarze żołnierzy i nieruchomą, zastygłą już na zawsze Judytę. W słońcu lśniły metalowe orzełki na czapkach.

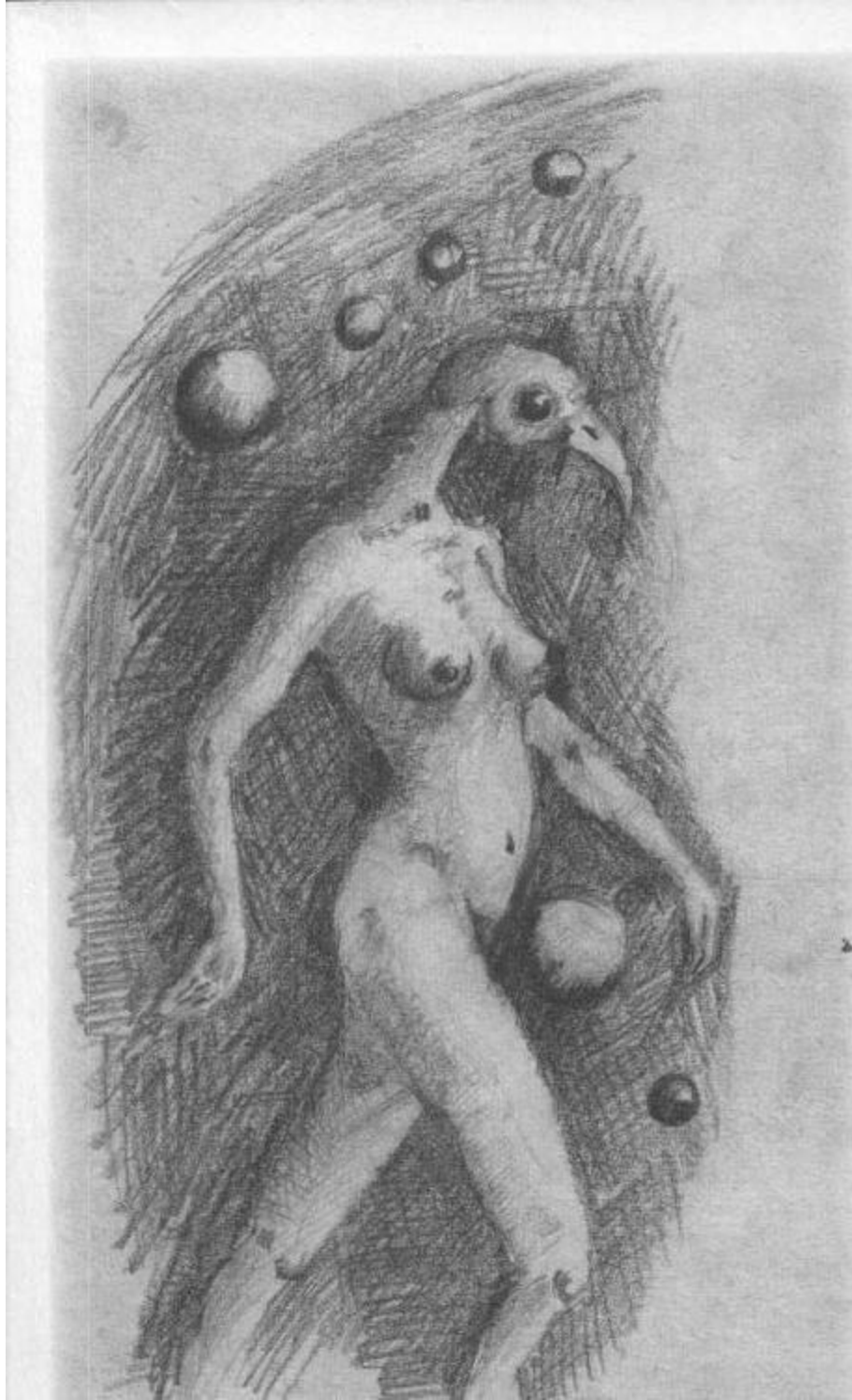
Powoli, jak we śnie podniósł broń.

- Musicie mnie puścić wolno - powiedział cicho.

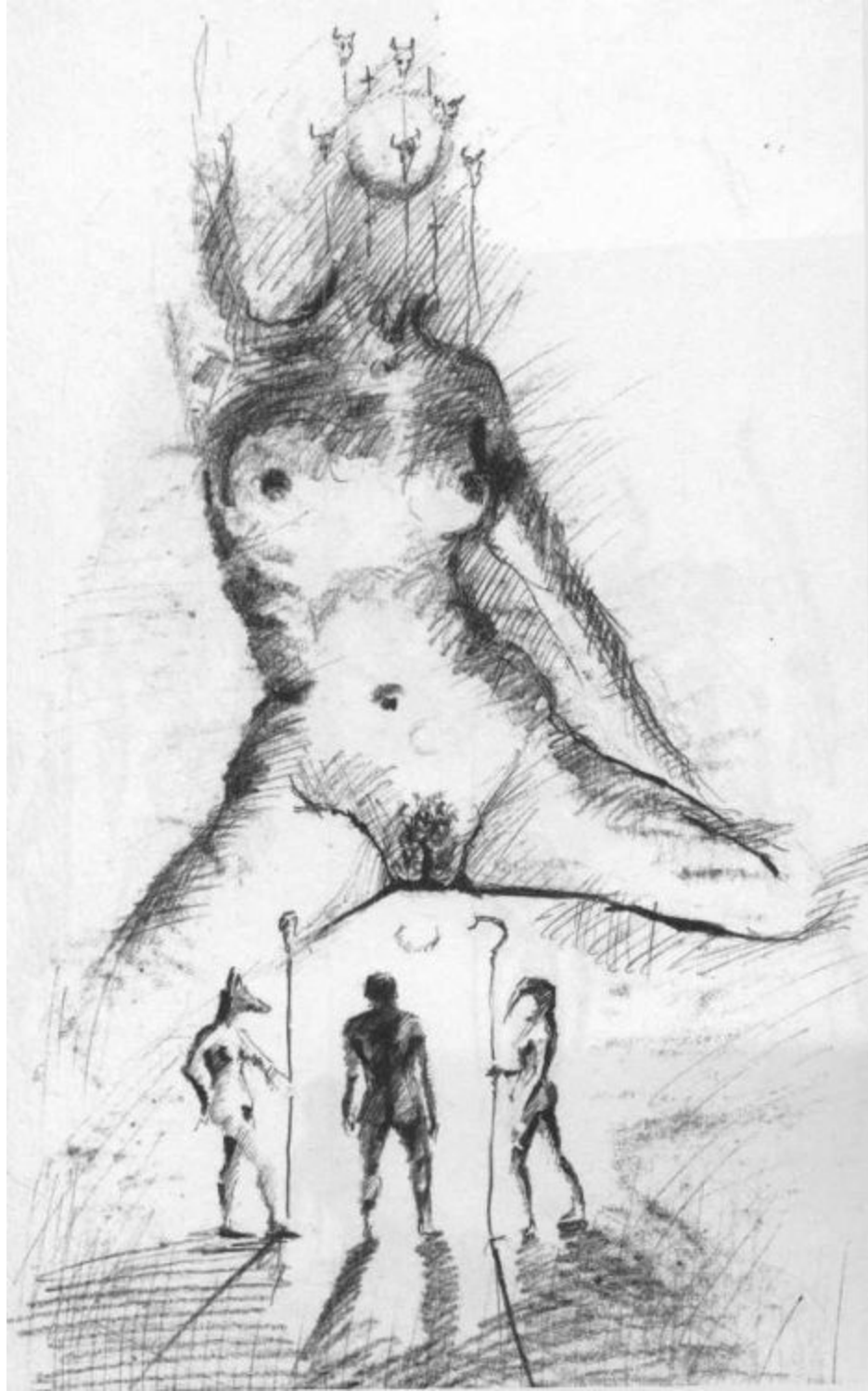
ANEKS

Rysunki znalezione w rzeczach doktora Heinricha von Treppfa podczas palenia akt obozowych na rozkaz Obergruppenfuehrera SS Schmausera w dniu 26 stycznia 1945 roku.

Dar byłego więźnia Auschwitz, Emila Dawida Rostoffa.









Przypisy

)

Bhagawadgita, czyli Pieśń Pana, przekł. Sachse
J., Wrocław 1988. ↵

)

Eliot T.S., *Wydrążeni ludzie*, Wybór poezji,
tłum. Miłosz Cz., Warszawa 1988. ↵

)

Krasiński Z., *Nie-boska komedia*, Warszawa
2005. ↵

.)

Kutasek ze snów. ↵

)

Piosenka ukraińska: *Hej, dziewczyno,
dziewczyneńko Napój, napój mego konia Gdy
zaśpiewasz Pocałuję Jakaś ty cudowna. Żenić
się chcę, by wzlecieć w słońce* ↵

i) Rozumiecie?... Jak młotek... Zrozumiano? ↵

) Kurewskich Polaczkach. ⇐

) Śmierć musi być pokonana. ↵

)
Wszystkie siły dla Związku Radzieckiego. ↵

0)
Czarny Anioł. ↵

1)
Jak by był Polak, to by był orzeł. ↵

2)
Že co? ↵

3)
Oliwa z oliwek. ↵

4) Ogórki. \leq

5)
Żyd... wieprzowinę. ↵

6) Piosenka w Jidysz, odpowiednik Dziesięciu małych Murzynków. ↵

7)

Cygańska piosenka ludowa: *Tam, Cyganie
stoją Szczęścia dużego szukają Gdzie mamy go
szukać Szczęście ty nasze Pokaż drogę wielką
Drogę nam Dam dari dam ↵*

8)

Bełza W., *Katechizm polskiego dziecka*,
Warszawa 1938. ↵

9)

Tradycyjna piosenka w jidysz: *Pogódźmy się
Czemu stoisz przy drzwiach? Pogódźmy się
Chodź do mnie. Idę, widzę sinije Oj sinije
cygańskie Daję pieśni Cyganom Żeby byli
szczęśliwi.* ↵

0)

Tradycyjna piosenka cygańska: *Idę, widzę
sinije Oj sinije Cygańskie Daję pieśni Cyganom
Żeby byli szczęśliwi. ↵*

1)

Akband, 2003: *Gdzie są kwiaty, odpowiedz?
Gdzie one zostały? Gdzie kwiaty, odpowiedz?
Gdzie one rosną? Gdzie kwiaty, odpowiedz mi?
Dziewczęta je zerwały i już ich nie ma. Kiedy
wszyscy to rozumieją? Kiedy wszyscy w końcu
to pojmą??* ↵

2)

Esesmani?... Tu się ukryli? No, proszę...

Szukajcie! ↵

3) Przypominasz sobie mnie, Świnio? ↵

4)

Nie znam Pana... ↵

5)

Ot, niespodzanka! No, pies... weźcie kanalię...
wiecie, co robić... ↵

6)

No, chodź z nami. ↵

7) Nie, pomyliliście się... to nie ja! ↵

8)
Tak jest... Nie chcę pamiętać. ↵

9)

Lebiediew-Kumacz W., tekst z niedatowanego
śpiewnika *Rodnie wsio!* ↵

0)

Psalm 27 Dawidowy, 11-14, *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Poznań Warszawa 1971. ↵

1)
Słowacki J., *Poezje*, Kraków 2003. ↵

2)
Wyspiański S., *Wesele*, Poznań 2001 ↵

3) *Protokoły Mędrców Syjonu:* druk
powielaczowy, niedatowany. ↵

4)

Dni mesjaszowe (Talmud, Sanhedryn 97A-99A) ↵

5)

Dni mesjaszowe (Talmud, Sanhedryn 97A-99A) ↵

6)

Puszkin A., *Wolności siewca*, tłum. Tuwim J.,
Poezje wybrane, Warszawa 1999. ↵

7) *Talmud*, Sanhedryn 97A-99A. ↵

8)

Sęp Szarzyński M., *Pieśń I na Psalm Dawidów*
XIX, Poezje wybrane, Warszawa 1976 ↵

9)

Krasiński Z., *Nie-Boska komedia*, Warszawa
2005 ↵

.0)

Talmud, Sanhedryn. ‏

1)
Dewarim. \leq

2)
Talmud, Sanhedryn. ⚡

3)
Król Zmarłych. ↵

4)

Ludowa piosenka cygańska: *Ej swaty ej swaty
Do żony braci wstąpiłem Dużo wódki, dużo
wódki Oj dużo wódki ze swatami wypięm Aj
daram daj daraj dam... ↵*

5)

Marks K., Engels F., *Manifest komunistyczny*,
niedatowana broszura partyjna. ↵

6)

Goethe J.W., *Faust*, przeł. J. Paszkowski,
Kraków 2006. ↵

7) *Hagada, reprint z 1991 r.* ↵

8)
Słowacki J., *Poezje*, Kraków 2003. ↵

.9)
Boy Żeleński T., *Słówka*, Kraków 1954. ↵

0)
Vulgata, Księga Hioba. ↵

1)

*Deuteronomium. Piąta księga Mojżesza, Księga
powtórnego prawa, Lipsk 1908* ↵

2)

Nietzsche F., *Poza dobrem i złem*, Warszawa
1907 ↵

3)

Ludowa piosenka w jidysz: *Oj, bracia, weselcie się Oj, weselcie Będziemy ucztować Będziemy weseli Będziemy radośni Bracia, Żydzi Wszystkim wam szczęścia! Pijcie i tańczcie. Przecież u nas dzisiaj radość. Przecież u nas dzisiaj święto Mamy być wszyscy szczęśliwi, Że dożyliśmy do święta Bracia, pijcie i tańczcie Nadeszło święto Havanagila... ↵*

4)
Kalecy - występ! \leq

5)

Rammstein: *czekam tu... czekam tutaj Nie
umrzyj przede mną.* ↵

6)

*Rammstein: Przychodzą do was w środku nocy
i kradną wasze łzy gorące... Czekają na wzejście
Księżycy, by wstrzyknąć je w moje wyziębłe
tętnice... ↵*

7)

Rammstein: *Ja, za dziesięć dni powrócę. Jako cień, odnajdę cię. Zmartwychstanę, byś o łaskę skamlał. Klęknię na twarzy twej i wetknę palce w popioły. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz...* ↵

8)
Zawsze Twój. ↵

9)
Pod jednorozcem \leq

i0)
Śląsk dla Ślązaków] ↵

1)

Ludowa piosenka niemiecka: *I opowiedział Anusi o świętej Górze Synaj I sięgnął jej ku udom, ku Ziemi Obiecanej Dobądź mi pastorału, Myszko, ku mojej sławie I wtedy ja cię chętnie, jak chętnie pobłogostawię... ↵*

i2)

Puszkin A., *Skargi podróżne, Poezje wybrane*,
Warszawa 1999. ↵

3) Zeszytik komunisty. ↵

4)

Shakespeare W., *Juliusz Cezar*, Warszawa
Kraków Lublin Łódź Paryż Poznań Wilno
Zakopane 1926. ↵

5)
Milton J., *Raj utracony*, Warszawa 1963 ↵

i6)
Kochany Stalin - szczęście Narodu! ↵

7)

Oto jesteś poślubiona mi tym pierścieniem
według prawa Mojżesza i Izraela - słowa
przysięgi małżeńskiej w tradycyjnych,
żydowskich zaślubinach ↵